

JILL KARGMAN

Mamzille

mamuški
z Manhattanu

Przełożyła
Agnieszka Paschke



Wydawnictwo Nasza Księgarnia

*Corinne Kopelman,
najlepszej matce na świecie, która nie jest mamzillą*

oraz

*Sadie i Ivy - jeśli kochacie mnie choć w połowie tak,
jak ja kocham Waszą babcię, to mi się udało*

MAMZILLOWY SŁOWNIK

WYRAŻEŃ I SKRÓTÓW

ANOREKTOMAMA: matka, która wraca do wagi sprzed ciąży w ciągu dwóch tygodni lub nawet szybciej.

BRAMKARZ: środek antykoncepcyjny; przykładowe zastosowanie: „Jesteśmy gotowi na drugie dziecko, dlatego zwalniamy bramkarza”.

CiD: Ciężarna I Dumna; przyszła mama nosząca sięgające połowy brzucha koszulki i/lub głaszcząca się po wypukłości co dwie sekundy; często wspomina, jak „ożywiona” się czuje.

FNPDI: Fioł Na Punkcie Drugiego Imienia; matka, która mówi o swoim dziecku, używając pierwszego i drugiego imienia, na przykład: Julia Charlotte uwielbia zajęcia z mandaryńskiego”.

GORĄCA MAMUŚKA: seksowna, atrakcyjna matka, zobacz MKBP.

HIPOCHONDROMATKA: matka, która ciągle uważa, że jej dziecko jest chore i/lub inne maluchy są chore i zarażą jej potomka.

IMIENNY KŁUSOWNIK: złodziej, który kradnie wcześniej przez kogoś wybrane imię, na przykład: „Pragniemy nazwać dziecko Mabel, ale nie mów nikomu, nie chcemy, żeby jakiś Imienny Kłusownik nam je ukradł”.

J-ROSY: sandały (zwykle w metalicznym odcieniu) od Jacka Rogersa, podstawa wiosennego/letniego mundurka mamzilli, razem z białymi spodniami rurkami i wyszywaną koralikami tuniką.

KARMICIELKI PSYCHOPATKI: brygada hałaśliwych matek, konkurujących ze sobą w kwestii tego, która dłużej karmi piersią; często negatywnie oceniają/lżą matki karmiące butelką.

LÓDMAMA: zimna, beznamiętna matka, która nigdy nie przytula swoich dzieci; do swojego syna zwraca się: „synu”, a on do niej: „matko”.

MAMOLOG: zjawisko występujące, gdy matka nawija bez przerwy o swoim potomku, jakby było jedynym dzieckiem na świecie.

MDO: Mama Dwa Obiady; jeden około szóstej z dziećmi, zwykle makaron z serem lub paluszki z kurczaka; drugi później, z mężem.

MANIA POSIADANIA: choroba bardzo bogatych ludzi; do symptomów należą: panika w chwili wyboru koloru wózka Bugaboo i poty nocne wobec konieczności wytypowania odpowiedniego przedszkola za dwadzieścia tysięcy dolarów; symptomatyczne jest częste niezadowolenie mimo wygodnego trybu życia.

MK: Matka Kłamczucha; przykładowy cytat: „Madison przesypia całą noc, od kiedy skończyła dwa tygodnie!”.

MKBP: Mamusia, Którą Bym Przeleciał.

MORALMAMA: moralizująca matka, która uważa, że wie, co jest najlepsze nie tylko dla jej dziecka, lecz także dla dzieci innych ludzi.

NiANiEK: niania rodzaju męskiego; zwykle młodszy i atrakcyjniejszy od mamy i taty malucha.

ODTWARZANIE PORODU: niekończące się, minuta po minucie odtwarzanie nagrania porodu; zwykle okraszone niechcianymi, krwawymi szczegółami, jakby to był pierwszy poród w historii ludzkości.

PICIE HERBATY I OGLĄDANIE: herbatka na cześć nowo narodzonego dziecka przywiezionego do domu ze szpitala,

kiedy goście piją herbatkę, oglądają noworodka i przynoszą prezenty.

PIŁKA NA PATYKU: wyjątkowo chuda przyszła mama, która gimnastykuje się jak szalona i liczy kalorie, w rezultacie ma kościste ciało i jedynym dowodem jej ciąży jest powiększona macica; często nosi szpilki.

PORYWACZKA NIAŃ: matka, która nie jest w stanie sprawdzić/zatrudnić niani, idzie więc na plac zabaw i próbuje podkraść czyjąś opiekunkę do dziecka.

PREZENT ZA PARCIE: drogi podarunek od męża dla żony za wypchnięcie dziecka na świat, zwykle w formie biżuterii; liczą się też cesarki, choć technicznie nie wymagają parcia.

RODZĄCA Z NAGRODĄ BŁĘKITNEJ WSTĘGI: mama, która chwali się naturalnym porodem i uważa, że zasługuje na nagrodę za obejście się bez leków znieczulających; zobacz: ZO.

ROZMNAŻANIE NA WYŚCIGI: próby posiadania większej liczby dzieci szybciej niż inni.

SANTA MAMUŚKI: gatunek matek z Los Angeles, dzielnica Santa Monica; zobacz: Karmicielki Psychopatki.

SOBOTATA: tata desperacko starający się zabawiać swoje dzieci w weekendy; często członek KRO (Klubu Rozwiedzionych Ojców); zwykle widzi się go z potomkami bez towarzystwa mamy w te dni, kiedy sprawuje opiekę nad dzieckiem.

SPERMINATOR: facet, który ma co najmniej czwórkę dzieci.

sUICIDE HOurs: najczęściej od piątej po południu do chwili, gdy mąż wróci z pracy. Dla reszty świata trwają wówczas „happy hours”.

ŚWIEŻE PIECZYWO: zobacz *Słownik wyrazów, które wyszły z użycia*.

TECHNOBLIŹNIĘTA: bliźnięta poczęte in vitro; ich matki często twierdzą, że mają „naturalne” dzieci.

WO: Warte Opiekunki; przykładowe zastosowanie: „Nie czytałam recenzji tego filmu, nie wiem, czy jest wart zatrudniania opiekunki” (ponieważ bilety + popcorn + napoje + opiekunka = 100 \$)

ZBYT WYTWORNA, BY PRZEĆ: kobieta, która nie radzi sobie z porodem i/lub perspektywą rozciągniętej pochwy, wobec czego prosi o cesarkę, często dziesięć dni przed terminem, aby uniknąć dodatkowego tygodnia okropnego przybierania na wadze.

Z O: Znieczuleniowa Opozycjonistka; kobieta przeciwna użyciu znieczulenia w trakcie porcia; zwykle chwali się swoim długim, naturalnym porodem.

Gapię się na krystaliczną, zamarzniętą tundrę na oblodzonej Alasce. Otoczona bezkresną, śnieżną pustynią mała eskimoska dziewczynka idzie, zmagając się z gwałtownym wiatrem miotającym płatki śniegu, a w tle gra wesoła muzyka.

- Włóż swoje *kami-kluk*, żeby było ci ciepło i sucho...

Nie, nie przyleciałam do Juneau. Oglądam *Ulicę Sezamkową* z moją córką Violet. To jeden z tych przyjaznych dla świata odcinków z Groverem, w których kultury globu oglądamy naiwnymi i niewinnymi oczami dziecka. Odwiedzamy chińskiego chłopca, świetnego akrobatę, potrafiącego kręcić czternastoma talerzami na twarzy, oraz małą Indonezyjkę, która umie balansować sześcioma miskami umieszczonymi na głowie. I z nimi tańczyć.

Dzisiaj Grover zabrał nas do czterdziestego dziewiątego stanu i miejscowa dziewczynka ubiera się, zanim stawi czoła arktycznym mrozom, a pomaga jej w tym mama, która zajmuje się łączeniem futrzanych skór i szyciem *tikiyook*, czyli płaszczy chroniących przed niskimi temperaturami. Mała wybiega na rześkie, świeże powietrze, by spotkać się z innymi dziećmi, także odzianymi w najgorszy koszmar PETA, i wskakuje w puszyste zasy śnieżne, śmiejąc się uroczo.

To wszystko wydawało się tak zdrowe, proste i nieskomplikowane. Żadnych wymyślnych szkół, do których wypa-

da się dostać, ani mieszkań, które trzeba porównać. Bardzo przyjemnie wyglądał ten ponury, a jednocześnie dziwnie powabny widoczek z lśniącym szronem i kilkoma rozbawionymi dzieciakami niosącymi swoje domowe lunche w rozkołysanych torbach.

Ale zaraz znowu dał o sobie znać ten paskudny ucisk w brzuchu i nieodparta, okropna, straszna myśl: na pewno jedna z mam przygląda się *kami-kluk* innego dziecka i patrzy, czy jest lepiej zszyte. Albo czy worek na książki zrobiony przez jedną z mam ma aż tak wymyślny krój jak ten drugi. Jestem pewna, że igloo jednej z rodzin okazałoby się większe, sanie innej bardziej imponujące.

Oglądałam program w swoim telewizorze, w swoim mieszkaniu, bynajmniej nie w białym, puszystym pejzażu, ale w jaskini lwa, w siedzibie najbardziej konkurujących ze sobą mamusiek na świecie: w dzielnicy Upper East Side w Nowym Jorku. W Kalifornii, skąd mój mąż Josh i ja miesiąc temu przenieśliśmy się dość niespodziewanie, jedyna pomarańczowa spacerówka firmy Bugaboo na naszej ulicy stanowiła tak dziwny widok, że ludziom zdawało się, iż to kosmici dostarczyli ją swoim latającym talerzem. W Nowym Jorku ten rolls-royce wśród dziecięcych wózków okazał się tak normalnym pojazdem jak żółta taksówka, ulice były ich pełne, choć w odróżnieniu od samochodów wózki nie pachniały przytłaczająco odświeżaczami powietrza i curry, ale dziećmi wypielęgowanymi kosmetykami marki Kiehl.

Doszło do tego, że nie mam nawet ochoty spacerować Madison Avenue, bo podczas gdy mój dzieciak wygląda jak modelka firmy Baby Old Navy, ciągle wpadam na sąsiadów z maluszkami pięknie wystrojonymi w sukieneczki, płócienne bluzeczki z tasiemkami u kołnierzyków, lśniące buciki z lakierowanej skóry, koronkowe skarpetki

i ogromne kokardy w wymodelowanych włoskach. Teściowa kupuje nam dziecięce ubranka z metkami CZYŚCIĆ CHEMICZNIE. Jeśli są płócienne, wtedy trzeba rozkładać deskę do prasowania. Mam ochotę uciec. Może trzeba było zadzwonić do Air Alaska.

Wszystko zaczęło się, kiedy do mojego męża zadzwonił Parker Elliott, najlepszy przyjaciel z Harvard Business School. Wiedział, że Josh miał serdecznie dosyć swojej roboty w San Francisco i nienawidził pracy według czasu na Wschodnim Wybrzeżu oraz wstawania przed świtem. Ludzie z banku, dla którego pracował Parker, złożyli Joshowi propozycję nie do odrzucenia, więc nagle nasze spokojne życie w Kalifornii przeszło do historii. Tuż przed narodzinami Violet robiłam doktorat z historii sztuki na Uniwersytecie Berkeley, ale pozostałam magistrem, bo: a) bocian był w drodze i b) sama nie wiedziałam, co do diabła miałabym począć z tytułem doktora. Kiedy więc Josh został wezwany, byłam już idealnie przystosowaną do transportu, w pełni wyedukowaną, siedzącą w domu mamą.

Dorastałam w deszczowym Seattle, zatem nie reagowałam przerażeniem na burzową pogodę Wschodniego Wybrzeża jak większość mieszkańców Kalifornii. Tak naprawdę, chociaż urodzona i wychowana na Zachodnim Wybrzeżu, zawsze lepiej czułam się w klimacie północno-wschodnim - rześkie jesienie spędzając w domu oraz unikając słońca z powodu bladej i wrażliwej na słońce cery. Kiedy poznałam Josha i zaczęliśmy się spotykać, od razu oznajmił mi, że planuje pewnego dnia powrócić do rodzinnego Nowego Jorku i tam założyć rodzinę. Nie miałam nic przeciwko temu, nie mogłam jednak przewidzieć, że ten dzień nadejdzie tak szybko. Lubiłam nasze kolorowe, beztrudne życie w San Francisco, z dala od jego bywającej na salonach mamuni. Mieszkaliśmy sobie

wygodnie w naszej samotni, wśród bliskich przyjaciół, z ulubionymi miejscami spotkań i łagodnymi zwyczajami dnia codziennego. Uwielbiałam Manhattan i odwiedzałam go każdej jesieni, ale dla mnie stanowił tylko lśniący, paździerkowy kolaż złożony ze sztuk na Broadwayu, luksusowych pokoi hotelowych, designerskiego sushi i pocątków wśród liści koloru burgunda w Central Parku.

Przemiana z romantycznej turystki w okopującą się mieszkankę była bardziej bolesna, niż się spodziewałam. Propozycja i przygotowania nastąpiły tak szybko; miałam wrażenie, że w ciągu kilku dni spakowałam się do pudeł, wsiadłam do samolotu i wprowadziłam do firmowego „apartamentu”, nie miałam nawet szansy przyzwyczać się do samej myśli o przeprowadzce.



Tego wieczoru, kiedy przyjechaliśmy do Nowego Jorku, Josh zamówił ucztę złożoną z chińszczyzny i gdy utuliliśmy Violet w jej łóżeczku, zabraliśmy się do zarcia na wynos, z kurczakiem generała Tso, którego pochłanialiśmy w świetle tańczących płomyków niearomatycznych świec.

- Hannah? - zagaił Josh, uśmiechając się nad pałeczkami.

- Tak, kotku?

- Dziękuję.

Podszedł i objął mnie, ja zamrugałam, żeby stracić pojedynczą łzę, a on wytarł ją delikatnie. Nagle nasza sytuacja się zmieniła: byliśmy daleko od przyjaciół, mojej rodziny, mojego wybrzeża. Znaleźliśmy się w nowym, elitarnym świecie - wraz z jego mamą i wymyślnymi szkołami. Pojawiło się więcej łez.

- Jakby mi było mało soli z tego jedzenia - zaśmia-
łam się, kiedy pocałunkami osuszał moje policzki. -
Już jestem najgrubszą laską w tym mieście, a widoki na
Madison Square Garden wcale nie pomagają.

- Przestań. Jesteś piękna.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością i westchnęłam.

- Będzie nam tu dobrze - pocieszał, głaszcząc moje
włosy. - Lepiej niż dobrze. Pokochasz Nowy Jork, Han,
obiecuję.

Joshie zawsze chciał, żebym kochała jego miasto ro-
dzinne tak gorąco jak on - i robił wszystko, by rozpalić
we mnie tę pasję: poczynając od festiwali filmów Woody'ego
Allena, które organizował w naszej norce, oraz muzeal-
nych maratonów, a kończąc na ekscytujących degustacjach
jego ulubionych potraw (idealny bajgiel, najlepszy hot
dog), prezentowaniu najbardziej wysublimowanych alej
czy wskazywaniu zróżnicowanych mieszkańców - zinte-
lektualizowanych, stanowiących barwny wachlarz eklek-
tycznych, czasem dziwacznych osobowości. Był urodzo-
nym nowojorczykiem, uwielbiającym szarość, dobrze
znoszącym zgiełk i rozkoszującym się zapachami sprze-
dawanego na ulicach jedzenia. Od kiedy go poznałam, co
kilka miesięcy odwiedzał to miasto dla swoich wariactw,
jak ćpun dający sobie w żyłę mieszankę zgiełku, tempera-
tury i siły napędowej wyspy o długości dwudziestu kilo-
metrów, którą uważał za centrum wszechświata. Był tak
zachwycony faktem, iż w końcu się tu przeprowadził, że
cieszyłam się razem z nim. Ale nie miały już wrócić dni,
gdy do domu wracał o 16.30, a potem chodziliśmy na ro-
dzinne spaceracje wieczorne i jedliśmy wczesne obiady w na-
szych ulubionych knajpkach. Już wcześniej ostrzegł mnie,
że tutaj nie zdoła tak sobie zorganizować pracy i będzie
zawalony robotą, przykuty do biurka na jakiś czas. A ja

miałam sama pływać po niespokojnych morzach. Po morzach z rekinami - noszącymi torebki od Hermesa, obleczonymi w kostiumy od Chanel i pchającymi wózki Bugaboo.

- Bee zadzwoni do ciebie jutro, żeby się umówić - powiedział Josh, starając się poprawić mi nastrój. - Parker twierdził, że ona chce zabrać cię na jakiś pokaz ubrań dla dzieci czy coś w tym stylu. Przedstawi ci wszystkich swoich przyjaciół.

- Dobrze - odparłam, wypuszczając powietrze i kiwając głową.

Chciałam być dla niego oparciem. Był załamany swoją starą pracą i nie mogłam patrzeć, jaki czuł się nieszczęśliwy. Teraz miał szansę na nowy start i pragnęłam podzielać jego entuzjazm. Ale na sam dźwięk imienia Bee stałam się nerwowa.

Bee Elliott była chyba największą porażającą pięknoscią, jaką kiedykolwiek w życiu oglądałam z bliska - była niczym ta niedotykalna laska w liceum, dwie klasy wyżej nad tobą, na którą wraz ze wszystkimi przyjaciółkami gapiłaś się na głównym korytarzu szkoły. Z długimi, sięgającymi ramion blond włosami (które prawdopodobnie same się układały, kiedy tylko przeciągnęła się i ziewnęła o wschodzie słońca, ohyda) i z figurą modelki utrzymała swoje ciało-szkielet (albo, jak to ujmowała stara ekipa ze szkoły, „piękną figurę”, czyli patyk z cyckami) po urodzeniu syna Westona Burke'a Elliotta. Wydawała się po prostu supermamą, ale nie tą przerażającą matką z przedmieścia, spędzającą większość czasu na odwożeniu swoich dzieci na zajęcia pozaszkolne. Nie nosiła mamuszkowych dżinsów z zaszewkami jak w tej pseudoreklamie z *Saturday Night Live*, przedstawiającej aseksualne, jeżdżące minivanem królowe wypieków z fryzurami typu prezenterka telewizyjna.

Była zachwycającą, nowojorską ikoną mody, prezentowaną w czasopiśmie jako ciężko pracująca filantropka, która potrafiła prace na rzecz innych wcisnąć między bycie klasową mamą w przedszkolu syna, bieganie wokół jeziora w Central Parku każdego ranka, chodzenie na uroczyste lunche z paniami z towarzystwa, by dbać o sprawy bliskie jej sercu i wygląkanie niezwykle pięknie, kiedy towarzyszyła swojemu mężowi Parkerowi na przyjęciach czy galach dobroczynnych.

Nie zrozumcie mnie źle, nie była żoną ze Stepford. Nie zdenerwowałaby mnie jakaś bezmózga i nieatrakcyjna lalunia. Bee chodziła do Princeton, o czym informowała cię bardzo szybko, i pracowała dla Lazard Frères aż do narodzin syna, zanim poszła na niekończący się urlop macierzyński. Przez rok karmiła piersią, zrzućcie ciężowych kilogramów zabrało jej sześć tygodni, po czym w bikini wystąpiła w weekend, kiedy brałam ślub w Kalifornii.

W trakcie wesela, najpiękniejszego dnia mojego trzydziestoletniego życia - zaraz po narodzinach małej Violet - jedną nanosekundę prawdziwego stresu (oprócz chwili, gdy teściowa uczyniła uwagę, że moja sukienka jest „taka prosta”) przeżyłam, kiedy przywitałam się z Bee. Wszyscy - naprawdę wszyscy, nie przechwalałam się - zachwycali się uroczystością ślubną, tym, jaka była piękna, wzruszająca, idealna, a Bee rzuciła tylko lakoniczne „gratulacje”. Wiem, że moja reakcja to mój własny problem i prawdopodobnie zbyt wielkie znaczenie nadawałam słowom tej kobiety, może nawet w jakiś pokręcony sposób szukałam jej aprobaty, ale oczywiście było, że przy jej przytłaczająco pięknym ślubie z wyższych sfer mój okazał się zapiaszczoną, niezorganizowaną plażową imprezą z bosą panną młodą i banalnym zachodem słońca.

Epicki, skąpany w piwoniami i zaplanowany przez Colina Cowiego ślub z Parkerem Elliottem odbył się w Nowym Jorku, gdzie obydwójce dorastali. Ona chodziła do Chapin, on do Collegiate - obie szkoły z tradycjami, jedna dla dziewcząt, druga dla chłopców. Poznali się w trzeciej klasie w Knickerbocker na zajęciach tańców towarzyskich. Zgadza się, tańce towarzyskie, w białych rękawiczkach. Kiedy mieli osiem lat. Wtedy ja byłam zajęta nieco mniej szykownie, smażąc robale za pomocą szklanej powiększającego na naszym trawniku. Ale ścieżka życia

Bee zdawała się wytworna od chwili, gdy stawiała pierwsze kroki, prawdopodobnie w satynowych baletkach. Jej rodzice, starzy przyjaciele mamy Josha, posiadali apartament w Paryżu, domek narciarski w Aspen i majątek ziemski nad oceanem w Southampton. Nikogo nie powinno dziwić więc, że ślub Bee, podobnie jak ślub Lady Di, który jako dzieciak widziałam w telewizji, był obrazem najbardziej spektakularnej ekstrawagancji, jaką kiedykolwiek oglądałam.

Zaślubiny w University Club mieszczącym czterystu gości przedstawione zostały na błyszczącym papierze magazynu „Town & Country”: czternaście lśniących druzhen w purpurowych kreacjach od Very Wang, cztery dziewczynki sypiące kwiatki w tiulowych sukieneczkach i z wiankami z hortensji na jasnoblond główkach oraz dwaj chłopcy niosący obrączki, odziani w garniturki od Ralpha Laurena z szeleczkami i muszkami. Joshie w roli drużby stał przy ołtarzu, więc w trakcie ceremonii siedziałam sama, pozycja „plus jedna osoba towarzysząca” na liście gości. Dziwne uczucie, kiedy twój mąż otrzymuje imienne zaproszenie, a ty nie; to doznanie typu „jestem z nim”, gdy pozostajesz poza ścisłym kręgiem znajomych panny młodej i nie czujesz się na miejscu. Tkwiłam obok mamy Josha, która zachwycała się „przepiękną” i „kosztowną” suknią ślubną od Oscara de la Renty, niebotyczną liczbą piwonii oraz piętrowym, czterometrowym tortem od Sylvii Weinstock. Dajmy sobie spokój ze ścisłym kręgiem panny młodej, czułam się, jakbym nie należała nawet do tych czterystu gości.

Półtora roku później, kiedy Josh i ja pobieraliśmy się, spotkałam Bee po raz drugi, a ona promieniała zupełnie jak w dniu swego ślubu, ale tym razem była już nie tylko pociągającą kobietą, lecz także matką. W dodatku chudsza

niż ja, która przechodziłam właśnie przedślubną anoreksję, a jeszcze nawet nie rodziłam. Parker to precudowny facet, prawdziwy brat dla Josha, zawsze życzliwy, uroczy i zabawny kumpel. Przyjeżdżał w interesach do San Francisco co kilka miesięcy i nasze zabawne, pełne śmiechu wspólne obiady przyprawiały mnie o ból brzucha. Prawdziwy skarb, zawsze serdeczny i słodki, kochający ojciec, który od razu wyciągał albumy ze zdjęciami Westa i żalił się, jak bardzo za nim tęskni. A więc jej mąż był mi bardzo bliski, a Bee zawsze stanowiła dla mnie coś w rodzaju tajemnicy. Dziwne, bo zwykle trzymałam się z dziewczynami, niechętnie kumplowałam się z chłopakami; nigdy nie przedkładałam facetów nad laski. Z Parkerem wszystko szło gładko. Rozmowy z Bee wydawały się wymuszone.

Kiedy urodziła się moja córka, dostaliśmy ekstrawagancki srebrny kubeczek dziecięcy z wygrawerowanymi imionami VIOLET GRACE i z dołączoną karteczką o treści: „Witaj na świecie - Elliottowie”. Nagle zrobiło mi się strasznie wstyd, bo rok wcześniej wysłałam Bee idiotyczne śpioszki kupione dla Westona w Baby Gap. Na pewno pomyślała, że mój prezent jest taki... zwyczajny. Nie chodziło o różnicę klasy czy coś w tym guście, nie chodziło o to, że ona miała mnóstwo pieniędzy, chodziło bardziej o doskonałość. Bee była taka idealna, poukładana, że czułam się przy niej jak jakaś pieprzona fleja. Poznałam jej przyjaciółki z Chapin, wszystkie takie stylowe, zawsze robiły to, co wypadało, według reguł. W zestawieniu z ręcznie tłoczoną papeterią Bee moja wyglądała na tanią podróbkę.

Weźmy na przykład kartkę świąteczną. Jej drukowana na tak cienkim papierze, że można było podciąć sobie nią żyły. Moja nieciekawa, wykonana za pomocą stempelków jak niedojrzałe naśladownictwo stylu Marthy Stuart. Zdję-

cie Westa stanowiło kompletny, czarno-biały, profesjonalny portret uchwycony na zalanych słońcem plażach Southampton Bathing Corp. Nasze? Przypadkowe, pstryknięte przeze mnie, kiedy Violet bawiła się z mewami przy Fisherman's Wharf - pozdrowienia z tandetnego turystycznego miejsca. Zdaję sobie sprawę, że przesadzam z tymi analizami i robię wrażenie wariatki, ale to były takie małe symbole, krótka wiadomość przesłana z jej świata do mojego, opatrzona równo przyklejonym na kopercie znaczkiem, przez którą bałam się stawić czoła swemu nowemu życiu. Bardzo się bałam.

3

Istniało jednak jeszcze jedno humanoidalne wcielenie szyku, które przysporzyło mi stresu zaraz po przeprowadzce. Zaledwie zainstalowałam naszą cyfrową sekretarkę (co niemal wymagało dyplomu instytutu technologii i zabrało mi diabelnie dużo czasu), kiedy zadzwonił telefon. Akurat zmieniałam Violet pieluchę - tym razem poważna sytuacja o kryptonimie Brązowy Kod - więc nie mogłam odebrać i gdy wróciłam do salonu ze świeżo przewiniętym maluchem, na sekretarce migiała czerwona jedynka. Wcisnęłam PLAY i w tej samej chwili aż się wzdrygnęłam, słysząc trujący ton dobiegający z głośniczka. Dzwoniła pani Lila Allen Dillingham, mama Josha.

Wiem, wiem: większość ludzi nie znosi swoich teściowych; to zasada, nie wyjątek. Teściowe we wszystko się wtrącają. Podobno wiedzą, co jest najlepsze dla dzieci. Lista ciągnie się bez końca. Ta kobieta była nie tylko solą w moim oku, ale całym jej kilogramem wżerającym się w moją tkankę. Typ z Mayflower. Wyszła za serdecznego i słodkiego mężczyznę z miłości w wieku dwudziestu jeden lat, jednak urodzona w Greenwich i należąca do elity Lila zorientowała się z czasem, że samym uczuciem nie zapłaci się rachunków w ekskluzywnym klubie. Ojciec mojego męża, którego roziskrzona oczy i wesoły uśmiech widniały na zdjęciach w naszym domu, umarł, kiedy Josh miał osiem lat. Zostawił niewiele pieniędzy - podobnie jak moi rodzice był nauczycielem z pasją. Rodzice Lili z racji swojego rodowodu (choć z kontami topniejącymi

z powodu trzech pokoleń graczy w racquetballa, którzy nie zniżali się do tego, by podjąć pracę), gwałtownie sprzeciwili się temu małżeństwu, ponieważ on był żydem. I chociaż z pewnością go kochała (we wspomnieniach wszystkich pozostał niezwykle czarującym mężczyzną obdarzonym ogromnym poczuciem humoru), narastająca złość Lili z powodu tego, co miały jej przyjaciółki, oraz presja dorównywania przyjaciołom z dzieciństwa kumulowały się. Z czasem coraz wyraźniej zaczęła hołdować materialnym wartościom swoich rodziców. Josh opowiadał, że w końcu tak jej odbiło, iż po śmierci ojca zaczęła obsesyjnie wozić go po Lauder Way. Oglądali wypasione domy w Greenwich, zanim przenieśli się z powrotem do miasta, żeby mogła - jak tłumaczyła swojemu małemu synkowi - zaledwie kilka miesięcy po pogrzebie pierwszego „zna-leźć następnego męża”. Arystokratyczna blondyna o twar-dym sercu, ta jedyna, która nie zareagowała ekscytacją na wieść o naszych planach małżeńskich.

Płakałam mu potem w rękaw, bo jej zaciśnięte szczęki dowodziły, że zdruzgotała ją ta wiadomość. Jej jedynak, jej książę, marnował się ze mną, dziewczyną z klasy śred-niej, a byłam przekonana, że miała wokół siebie stada ła-będzic z towarzystwa, w których widziałyby kandydatki na jego żonę. Zawsze była dla mnie zimna jak lód (w to-warzystwie Mooshu Mafii, czyli wśród moich przyjaciół w San Francisco, z którymi w każdą niedzielę jedliśmy chińszczyznę, nazywałam ją Soplem Lodu) i mierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, bez wątpienia w duchu po raz kolejny krytykując mój strój. Jestem pewna, że nawet Christy Turlington nie przetrwałaby jej prześwietlającej na wylot inspekcji, bo przecież żadna śmiertelna panna nie zasługiwała na jej „aaaaaniołka”. A nie chcę się chwalić, lecz wszystkie matki wszystkich moich facetów po

prostu przepadały za mną - zawsze superuprzejmą, uważną, otwartą, pełną szacunku i pierwszą chętną, kiedy trzeba posprzątać ze stołu czy pomóc w kuchni. Jestem równą laską. Oglądam *Lifetime*, uśmiecham się, nawiązując znajomości. I idealnie rozumiem tę relację między matką a synem typu: „on jest moim syneczkiem”. Ale to niestety było zupełnie co innego, całkiem inny problem. Mama Josha wielbiła go w dziwny sposób, który wydawał mi się nieco chory. On stanowił dla niej szansę przedłużenia rodowodu, szansę utrzymania się na poziomie, zaprzeczoną przez pierwsze małżeństwo. Gdyby Josh wybrał odpowiednią kandydatkę z wyższych sfer, jego matka miałaby okazję naprawić błędy przeszłości, wprowadzając wnuki do elity. I najwyraźniej chciała go ustrzec przed pomyłką, którą sama popełniła.

Nie powtórzyła jej zresztą: drugie małżeństwo zawarła dla zimnej, twardej kasiory. Watson Dillingham okazał się wartym sto milionów Brytyjczykiem i byłym mistrzem polo. Kupił Lili weekendową posiadłość na Conyers Farm w Greenwich i luksusowy apartament na ostatnim piętrze budynku przy Piątej Alei z widokiem na kołysane wiatrem drzewa Central Parku, który z tej perspektywy wyglądał jak ich prywatny ogród. On był bliski osiemdziesiątki - dwadzieścia lat starszy od niej - i kiedy ona używała sobie za pomocą masy kart kredytowych, Watson, „Watts”, miał w Anglii dwie córki, które z pewnością dostaną lwią część jego kasy, gdy on wybierze się na mecz polo z aniołkami. Pewnie dlatego tak jej zależało, żeby Josh bogato się ożenił. A może zwyczajnie myślała, że nie jestem godna jej synka. Może chciała mnie zdręczać, aż zwariuję.

Ale dzięki Bogu za Josha. Jest wspianiały. Tyle kobiet ma problemy z teściowymi - ja, z moją trudną do przejścia teściówką, nie jestem oczywiście osamotniona w nie-

szczęściu. A osładza mi życie sposób, w jaki daje sobie z tym wszystkim radę mój mąż. Najgorsze, co może się zdarzyć, to sytuacja typu Jokasta-Edyp, kiedy zaślepiiony miłością do rodzicielki facet broni zachowania swojej mamy albo czuje się „rozdarty”. Josh nie był taki. Zawsze powtarzał mi, że zdaje sobie sprawę z szaleństwa swojej matki - dorastał z nim: niekończąca się pogoń za tym, by przebywać w odpowiednim towarzystwie, rozmowy na temat fortun innych rodzin, wieczne plotki o rozstaniach tych czy tamtych albo czyje dziecko wyrzucili z Groton, czy też akcje czyjej firmy rodzinnej poleciały na łeb, na szyję. „Nie bierz sobie tego do serca, ona jest walnięta - powtarzał mi Josh uspokajająco. - Hannah, jesteś kobietą mojego życia”. To prawda. Przynajmniej dopóki znajdowaliśmy się w naszym kalifornijskim gniazdku, tysiące mil z dala od Sopła Lodu. Dopóki nie usłyszałam z sekretarki jej gardłowego głosu, który zmroził mnie kompletnie.

- Joshie! Witaj z powrotem, kochany aniołku - brzmiała z gównianego głośnika sekretarki. - Mam nadzieję, że przyjedziesz do Greenwich w ten weekend na obiad z okazji moich urodzin. Watts i ja świetnie się tu bawimy. Planuję jutro albo pojutrze wpaść do miasta, mam kilka spotkań. Zadzwoń do nas rano, mój aniołku.

Żadnego „witaj, Hannah” czy nawet słowa o Violet, jedynej wnuczce.

Wiedziałam, że musimy stawić temu czoła i pojechać do niej w weekend. Ostatecznie kończyła sześćdziesiąt lat. Nic nie przerażało mnie bardziej niż ta wizyta - za każdym razem, kiedy jeszcze przed ślubem odwiedzaliśmy wiejską posiadłość teściów, czułam się kompletnie obco w tym domu w stylu Lilly Pulitzer. Gdyby Greenwich było Hadesem, mama Josha okazałaby się diabłem siedzą-

cym nad ognistą jamą. Ale sytuacja miała się znacznie pogorszyć, bo jej wysokość zamierzała wrócić do stałej rezydencji kilka przecznic stąd. Musiałam jednak wziąć kilka głębokich oddechów, pozbyć się frustracji i być silna. Chyba mogłam to zrobić. Oczywiście! Mogłam to zrobić. Tylko że w jej towarzystwie minuty ciągnęły się jak godziny, a ja czułam się niczym więzień.

W tym samym czasie kilka przecznic na północ...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliott: Bonjour – jesteś tam?

Maggs10021: Oui, chère. Jak się mamy?

BeeElliott: OKROPNIE.

Maggs10021: Czemu?????

BeeElliott: Byłam dziś u swojego dermatologa i objechał mnie totalnie za opaleniznę z Lyford.

Maggs10021: Dr Phillip? Co ci powiedział?

BeeElliott: Że wchodzenie do jego gabinetu z taką skórą to jak przyjście na spotkanie grupy AA z butelką wódki Grey Goose w ręku.

Maggs10021: Zabawne.

BeeElliott: Maggs, mam wielką prośbę.

Maggs10021: Jasne, wal.

BeeElliott: Ta laska, której mąż przyjaźni się z Parkerem, właśnie się tu z nim sprowadziła i muszę ją poznać z kilkoma osobami. Ach... Przyjdziesz?

Maggs10021: Dobra, co to za jedna?

BeeElliott: Nic ciekawego. Mieszkała we Frisco, dorastała w Seattle. Chyba. Może być, chociaż niefajna. Ubiera się tak, że tylko puścić pawia. Nie jest MKBP jak my ☺

Maggs10021: Ha! Rozumiem. Będę na pewno, żaden problem.

BeeElliott: Znam jej męża i teściówkę od wieków – poznałaś ją? Lila Allen Dillingham? Jest przewodniczącą komitetu na rzecz WJ.

Maggs10021: Walka z Jaskrą? A, tak! Widziałam jej zdjęcie w T&C. Żona Watsona Dillinghama?

BeeElliott: Tak. Spotkałam ją u Swifta i prawie mnie błagała, żebym przedstawiła jej synową ekipie; babka najwyraźniej się zestresowała, bo ta laska jest taka bardzo z Zachodniego Wybrzeża i niefajna... Fatalna, ale proszę, pomóż!

Maggs10021: Pewnie, ma chère.

BeeElliott: Jesteś kochana, dzięki! Może nasi chłopcy spotkają się w tym tygodniu – poproszę moją nianię, żeby zadzwoniła do twojej.

Jest w bajce *Dora poznaje świat* coś, co sprawia, że mam ochotę odrąbać jej tę przerośniętą główkę z włosami przypominającymi mop. Okej, jestem wredna. W końcu to tylko dziecko, chociaż rysunkowe. Ale słysząc jej melodię po raz, powiedzmy, jedenasty, nieco mi odbiło i zapragnęłam rozpląszczyć ją w stylu Toma i Jerry'ego za pomocą patelni oraz innych morderczych narzędzi z bogatej oferty Acme. Wyłączyłam telewizor i zaczęłam wygrzebywać, co się dało, z walizek Violet. W końcu wydobylam białą azurową sukieneczkę, która była elegancka nawet według nowojorskich standardów.

Skończyłam czesać córkę, włożyłam jej najlepszy sweter, różowy, ozdobiony brązowo-białą jedwabną karkardką, i wyszliśmy na spacer do Central Parku. Lipcowe słońce przeświecało przez korony drzew rosnących wzdłuż wyznaczającej granicę parku Piątej Alei, a ja pchałam wózek z Violet, mijając rzędy sześciobocznych kamieni pod baldachimem zieleni. Mam na myśli drzewa. Wzdłuż drugiej strony Piątej Alei też ciągnął się zielony baldachim: markiz z modnym adresem wypisanym kaligraficznym pismem - *Piąta Aleja 825*.

- Mamusiu, mamusiu? - zawołała moja kochana córeczka, spoglądając na mnie.

- Słucham, moja słodka?

- Ptasielik!

- Bardzo dobrze! Tak, taki ptaszek nazywa się gołąbek. Powiesz „gołąbek”?

- Łąbek!

- Świetnie, Vi! Gołąbek - powtórzyłam, głaszcząc ją po delikatnej główce. - Tutaj będzie ich dużo.

Przyszło mi do głowy, że nawet Woody Allen, autorytet Josha, nazywał je skrzydlatymi szczurami.

Oczka Violet zaczęły się kleić, bo nadeszła pora drzemki, a ja spojrzałam na nadpływającą w naszym kierunku falę nian; niektóre wózki były niczym wyjęte z *Mary Poppins* - wielkie silver crossy z moskitierami, jakby schowane pod nimi piesszczoszki przemierzały dzikie lasy nad Amazonką. Niektóre nianie okazały się Filipinkami, ubranymi w wykrochmalone i wyprasowane białe uniformy, inne Latynoskami lub Afroamerykankami. Wszystkie pchały wózki z bobasami o włosach tak platynowych, jak w filmie *Dzieci kukurydzy*. Patrzyłam na te blond dzieciaki i ich różne opiekunki i zastanawiałam się, co Marsjanie umieściliby w raporcie przesłanym do statku-matki, gdyby wylądowali swoim pojazdem w pobliżu Central Parku w środku tygodnia. „Kapitanie, kapitanie! Znaleźliśmy życie! Te stwory najpierw są małe i jasne, a potem robią się duże i ciemne!”.

Zbliżałam się do Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, gdzie miałam spotkać się z Bee. Przysłała mi esemesa, że spotkamy się przy ławce nieopodal wejścia do parku, i oczywiście już była, nienagannie ubrana, w plisowanej spódnicy, butach na niewysokich obcasikach i białej bluzce, z torbą w romby od Vuittona. Obok w wózku spał jej syn Weston.

Witając się z Bee, od razu zdałam sobie z czegoś sprawę: w powietrzu wisiała wojna. Szepty na wschód od ciemnej, kipiącej gniewem siły, dobiegające z zachodu echo zagrażającego konfliktu, straszne dudnienie dochodzące z głębi ziemi pod naszymi stopami, wywołujące dreszcze

u każdej wędrującej po tym świecie duszy, która nie uniknie przeznaczenia.

Znam te dźwięki z *Władcy Pierścieni* - walka dobra ze złem. Problem polega na tym, że każda ze stron uważa, iż to ona jest dobrem, a ta druga złem. I nie mówię tu o Frodzie oraz jego ekipie walczącej przeciw orkom i innym bestiom, które wyłaniają się z tego cholernego czegoś o kształcie waginy. Mówię tu o epickiej walce na miecze, heroicznym wysiłku, skręcającej flaki, gwałtownej i ostrej bitwie między zawziętymi wrogami: pracującymi matkami i tymi, które siedzą w domu.

W Kalifornii, podczas gdy mnie się poszczęściło i udało obronić magisterkę, zanim Violet skończyła rok, większość moich przyjaciółek pracowała i często rzucała uwagi na temat siedzących w domu mamusiek, które były tak znudzone, że robiły się złośliwe i zaczynały kochać ploty. Nie oglądałam tego na własne oczy, ale znałam kilka matek z placu zabaw uwielbiających gadać o niczym. Lecz bez przesady! W Nowym Jorku natomiast każdy wydawał się nakręcony i wiedziałam, że dwie spierające się frakcje nie były jedynie przeciwnymi stronami: były odległe jak bieguny.

Bee oraz jej równie dzielna i uśmiechnięta przyjaciółka w zaawansowanej ciąży, Maggie („jadałyśmy razem lunchy w Princeton!") Sinclair, przywitały się ze mną. Stanęłam obok, a one zrobiły przegląd mam na placu zabaw i przypuściły atak, zgarniając mnie do swoich okopów, uzbrajając w stanowcze opinie oraz wydając szorstkie odgłosy dezaprobaty dotyczące tego innego gatunku matek, które codziennie odbywają podróż do Hadesu. To znaczy do biura.

- Tylko na nią popatrzcie, biedna Caroline Simmons
- powiedziała Bee, kręcąc głową i spoglądając w kierunku

huśtawek z opon, gdzie atrakcyjna kobieta w szarym garniturze machała do synka, którego huśtała mocno zbudowana czarna niania.

- Wpada tu na piętnaście minut - rzuciła zimno Maggie, głaszcząc się po wydętym brzuchu. - Podobno pracuje dwanaście godzin na dobę. Możecie to sobie wyobrazić?

- To naprawdę smutne - odparła Bee. - Te kobiety poświęcają dla pracy najważniejszą rzecz w życiu: wychowywanie dzieci! Cały dzień są nieobecne, przychodzą do domu wykończone i pozwalają, by ominęły je najcenniejsze chwile. To naprawdę tragiczne. - Bee rozejrzała się po placu zabaw i dojrzała kolejną kobietę, która sprowokowała następną myśl.

- O, Hannah, widzisz tę dziewczynę w różowym bliźniaku? Nazywa się Molly McBride i kiedyś była naprawdę gruba! Ale potem urodziła dziecko i miała coś z tarczycą, a teraz jest szczupła i nosi takie spódniczki. Co ona sobie myśli, że jest trzecią siostrą Hilton? Nie mamy już dwudziestu czterech lat.

- Moim zdaniem robi to, żeby flirtować ze Scottem z Mini Mozarts - stwierdziła Maggie. - Ona się w nim kocha.

- Wszystkie kochamy się w Scotcie z Mini Mozarts - dodała Bee, odgarniając opadające pasmo włosów. - Hannah, Scott to ten seksowny gitarzysta mieszkający w centrum miasta, prowadzi zajęcia muzyczne dla dzieci i już spał z trzema matkami! - ekscytowała się Bee. - Podąża szlakiem sypialni na Park Avenue.

- O trzech wiadomo. Może ich być o wiele więcej - mruknęła Maggie z błyskiem w oku. - A przy okazji... - Wyciągnęła jakieś ustrojstwo z napisem „BeBe Sounds”, założyła sobie na brzuch gigantyczne słuchawki i wcis-

nęła PLAY na odtwarzaczu. - Mozart dla dzieci - wyjaśniła z uśmiechem. - Badania udowodniły, że stają się od tego mądrzejsze.

- Ach, idzie Molly w swojej spódniczce od młodszej siostry - rzuciła Bee, bacznie przyglądając się długonogiej kobiecie, która wywoływała poruszenie na placu zabaw. - Dziwne, jak bardzo zeszczupiała. Nie mogę pozbyć się obrazu jej poprzedniej figury. Miała wtedy kilka podbródków, Hannah, kilka.

- Cóż, tak to jest, kiedy się chudnie i przestaje być tłuściochem - stwierdziła Maggie. - Każdy, kto cię zna, zawsze pamięta ciebie sprzed lat. Nie sposób pozbyć się otyłego cienia przeszłości.

Spojrzałam w dół na swoje uda rozpląszczone na pomalowanej na zielono ławce. Cholera, co one sobie pomyślały o moich kiełbaskach? Okej, nie uważałam się za beczkę smalcu, chyba można mnie było nazwać średnio zszczupłą. Ale „średnia” w tym nowym środowisku oznaczało rozmiar cztery, a nie moje krągłe osiem.

- I przyjaźń Molly z tą Lulitą DeVeer, która ma dziecko z nieprawego łoża ze swoim, hmm, partnerem - zdrwiła Bee. - Zawsze powtarzam: wózek przed ślubem jest nieprzyzwoity.

- W końcu nie znajdujemy się w Kalifornii - poparła ją Maggie. Zaraz potem opamiętała się nieco; ostatecznie ledwo przed momentem wysiadłam z samolotu, który przywiózł mnie z wyżej wymienionego stanu grzechu. - Bez urazy... - dodała potulnie.

- Spójrzcie, Caroline Simmons rozmawia z Tokio przez telefon. Idzie! - Bee obserwowała, jak udręczona kobieta odebrała dzwoniącą komórkę, gorączkowo pomachała ręką i wysłała całusa swojemu dziecku, które kręciło się na huśtawce z opony. - Już jej nie ma. Pędzi do kieratu.

Stwierdziłam, że lepiej nie wspomnę, iż desperacko pragnę wrócić do pracy. Potrzebowałam czegoś w życiu, żeby nie przedawkować rozpakowywania kartonów i zastanawiania się, czym wypełnić dzień.

- A więc, Hannah - Maggie zlustrowała mnie wzrokiem. - Bee i ja pomyślałyśmy, że może chciałabyś wziąć udział w naszych sesjach z doktorem Pondschlosserem. To geniusz dziecięcej psychologii i spotykamy się z nim co tydzień, żeby przedyskutować rozwój dzieci. To właśnie on powiedział mi o Mozarcie przez słuchawki. Pomaga zrozumieć wiele zagadnień i umożliwi Violet wyprzedzenie innych dzieci, jeżeli chodzi o rozmowy w sprawie przyjęcia do przedszkola tej jesieni.

- Och... to bardzo miłe. Uhm, jasne, pewnie - wystękałam i spojrzałam na drugą stronę parku, gdzie kilka sympatycznie wyglądających niań śmiało się histerycznie, kołysząc swoich małych podopiecznych na kolanach.

- Te tam? - zainteresowała się Bee, idąc za moim wzrokiem w stronę grupy na ławkach. - To Mały Trynidad. Miejsce dla niań. Matki zwykle siedzą po tej stronie.

- Och - odparłam cicho, nie bardzo wiedząc, jak mam to rozumieć. - Wydaje się, że dobrze się bawią.

- Oj, oj - przerwała nam gwałtownie Maggie. - Na godzinie szóstej, popatrzcie, kto idzie.

Bee zerknęła szybko.

- Tak, ktoś powinien zanucić melodię ze *Szczęk*.

Obróciłam się i zobaczyłam drobną kobietę, ozdobioną siedmioma znakami firmowymi. Wyglądała, jakby alfabet eksplodował nad jej drobną figurką, zalewając ją morzem liter LV, H, podwójnym C i D&G.

- Cześć, dziewczyny! - zawołała właścicielka małej główki zdominowanej przez wielkie okulary od Gucciego.

- Sześć tygodni do szybkiego wybierania. Dostają już szafu. Tego lata chłopcy w biurze Lestera próbują stworzyć kod, który pomoże połączyć się z liniami telefonicznymi. Modlę się! - Złożyła ręce z pierścionkami na każdym palcu w geście przesadzonej modlitwy do nieba, a błysk biżuterii prawie mnie oślepił. - Jeżeli nie dostaniemy się do Carnegie, mój Boże, po prostu umrę. U m r ę !

- Jak to mówią, jeśli twoje dziecko nie dostanie się do przedszkola Carnegie, cóż, możesz zapomnieć o Princeton. - Bee uśmiechnęła się urażliwie.

Co? Jakie szybkie wybieranie?

- Trzymajcie kciuki za mnie i małą Stellę Scarlett, dobrze? - rzuciła damulka, oddalając się w blasku złota, klejnotów i zamków błyskawicznych.

- Jezu - jęknęłam, z rozbawieniem patrząc, jak w swoich szpilkach drobi w stronę huśtawek. - A kto to?

- Kabaret - odparła Bee.

- Najgorszy - dodała Maggie.

- Tessa Finch-Saunders. Strasznie rozpuszczona. Podobno właśnie kupiła swojemu mężowi obraz Jaspera Johnsa na trzydzieste piąte urodziny - szepnęła konspiracyjnie Bee. - On siedzi w inwestycjach *private equity*. Ma kasy jak lodu. A ona lata i wydaje jak szalona, tandeta. To takie nowobogackie.

Skinęłam głową. Byłam zaintrygowana tą kobietą, ale jeszcze bardziej zainteresowało mnie to, co mówiła na temat tego miejsca, Carnegie.

- Tak, hm, o co chodzi z tym przedszkolem?

- Carnegie. Najlepsze. Mieści się na Osiemnastej Ulicy - wyjaśniła Bee. - Wszyscy chcą się tam dostać, lista chętnych to kopia rankingu najbogatszych!

- Aha... - Czułam, jak poca mi się dłonie. - A to szybko wybieranie?

- Mają tysiące zainteresowanych rodzin. Dosłownie tysiące - kontynuowała wyjaśnianie Bee. - Ale jest tylko czterdzieści miejsc. Dlatego drukują jedynie pięćset podań dla chętnych i uruchamiają linie telefoniczne o ósmej rano dzień po Świącie Pracy. Trzeba mieć nadzieję, że się dozwonisz. Musisz zaangażować całą rodzinę do pomocy.

- Och. West tam chodzi?

- Tak - odparła dumnie Bee. - I Ford, syn Maggie. To najlepsze przedszkole w mieście. Trudniej się tam dostać niż na studia prawnicze w Yale, ale kiedy cię wreszcie zapiszą, możesz robić, co chcesz. Lecz pierwszą przeszkodą do pokonania jest dodzwonienie się i uzyskanie podania.

- Boże, nie miałam pojęcia, że aby dostać samo podanie, muszę wygrać konkurs - wyjąkałam wstrząśnięta.

- Tak, wariactwo. Cieszę się, że mam to za sobą - westchnęła Maggie. - Nie zazdroszczę ci tego początku. Do dupy.

Przełknęłam ślinę.

- Ale Tessa Finch-Saunders nie będzie miała problemu - stwierdziła Bee, patrząc na kobietę po drugiej stronie placu, przy huśtawkach. - Wysłała swoją córkę na odpowiednie kursy. Oni zawsze pytają, na co mamusia chodziła z maleństwem.

- Na przykład jakie? - zapytałam pełna obaw, że moje hipisowskie zajęcia *Muzyka zbliża* na Berkeley nie będą odpowiadały rygorystycznemu sylabusowi rozwiniętych dwulatków z Nowego Jorku.

- Cóż, jest kilka naprawdę ważnych warunków dla tego wieku: muzyka, sztuka, gimnastyka, języki. Może powinnaś zapisać Violet na letni kurs?

- Okej, to znaczy... a co wy robiłyście?

- Cóż, ja wybrałam *Wolność przed trzecim rokiem życia...* lista oczekujących pełna na trzy lata naprzód.

Świetnie.

- Jak lista może być na trzy lata, skoro to kurs dla dwulatków? Zanim się dostaniesz, jesteś już za stara! - zartowałam. Żadna się nie zaśmiała.

- Dzwonisz i się zapisujesz, a potem zachodzisz w ciążę - stwierdziła zupełnie serio Bee.

- Ja zadzwoniłam, zanim powiedziałam mężowi, że jestem w ciąży - wyjaśniła Maggie. - Nasikałam na patyczek ze stringami wokół kostek, a sekundę po tym, jak test zrobił się niebieski, już wybierałam numer.

- Czyli... czyli odpada. - Uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie Violet przechodzącą przez bramkę z wykrywaczami metalu w publicznym przedszkolu, bo spóźniłam się z przedprzedwczesnym zapisem. - Moja córka pewnie będzie edukowana w domu, w stylu seryjnego mordercy. - Potem pomyślałam o Maggie w stringach. Czy stringi wypierały zwykłe majtki? Nie znosiłam ich. Były niczym nitka w tyłku.

- Cóż, jest jeszcze letni program w instytucie językowym, możesz się zapisać - zasugerowała Maggie. - To ważne w procesie nauki języka obcego w tym wieku, bo kształci się słuch w zakresie akcentu.

- Ach, a Szkoła Muzyczna Milford Prescott? Oni chyba też mają letni program - zastanawiała się Bee.

- Mówimy na nią Juilliard, bo oni wszystko traktują tak poważnie. Dzieci od razu uczą się rozpoznawać różnicę między dźwiękami skrzypiec i wiolonczeli. Ale to najlepszy wstęp do przedszkola. - Maggie przerwała i spojrzała na mnie. - Hannah, wszystko w porządku?

Błada cera znowu uzewnętrzniła szalejące we mnie uczucia. Kiedy dopadał mnie stres, rumieniec wylewał się na policzki jak dwa ekraniki przedstawiające światu wszystkie moje emocje w technikolorze.

- W porządku, tylko... powinnam już iść, jeszcze chyba nie doszłam do siebie po samolocie i jestem nieco ogłupiała.

- Ach, okej - westchnęła Bee. - Może powinnaś odpocząć. Zdaję sobie sprawę, że to zbyt dużo dla ciebie jak na jeden raz.

Pośpiesznie wstałam, żeby jak najszybciej ruszyć w kierunku domu, chociaż nie do tego przytulnego, jaki kiedyś miałam.

- Trzymajcie się, do jutra.

- Hej, zaczekaj! - krzyknęła Bee, wstała z ławki i ruszyła ze mną. - Wiem, że to wszystko wydaje ci się bardzo przytłaczające. Parker i ja jesteśmy z tobą. Naprawdę. I twoja teściowa też pomoże - zna mnóstwo ludzi. Jest urocza.

- Przepraszam - wyjąkałam, powstrzymując łzy. Zdecydowałam się zignorować te pochwały pod adresem Sople Lodu. - Trochę się czuję zagubiona. Chcę, żeby Violet miała wszystko, co najlepsze, ale odnoszę wrażenie, że zbyt późno się do tego zabieram.

- W porządku - powiedziała Bee pocieszająco. - Posłuchaj. Mam coś dla ciebie. Pośrednika. Chodzi o mieszkanie dla was.

- Och, naprawdę? Byłoby świetnie...

- Nazywa się Troy Kincaid. Jego żona, pani Kincaid, jest dyrektorką Carnegie. Jestem pewna, że jeżeli kupicie przez niego mieszkanie, ona dopilnuje, żebyś przynajmniej dostała podanie.

Zatrzymałam się i otarłam pot z czoła.

- Czy za coś takiego nie idzie się do więzienia?

- Nie! Tak się to załatwia. Weź wizytówkę. - Wyjęła z torebki małąskórzanąportmonetkę i podała mi kartonik. - Zadzwoń do niego. I do zobaczenia jutro na pokazie mody w hotelu Pierre!

Skinęłam głową i odeszłam tak szybko, jak pozwalały mi moje niemodne buty.

...a na najbliższym tytanowym Powerbooku...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliott: No i co sądzisz?

Maggs10021: Wydaje się raczej w porządku.

BeeElliott: SERIO? Tak myślisz? Nudziara.

Maggs10021: Żal mi jej - zdecydowanie potrzebuje naszej pomocy ze szkołami i tak dalej.

BeeElliott: Wiem, czuje się zagubiona! Podobno jej teściowa jest przerażona, bo laska nie ma o tych sprawach pojęcia i jest taka mdła.

Maggs10021: A mnie się podoba jej styl - taki trochę miejski, ale co tam, spoko ubrana.

BeeElliott: Jak się chodzi do klubu punk rockowego. To Upper East Side, a nie klub rockowy.

Maggs10021: Zamierzasz pisać w jej sprawie do Carnegie?

BeeElliott: Nie wiem. Chyba mogłabym szepnąć słówko, ale nie będę przepuszczać kasy na nieznaną.

Maggs10021: Czy jej mąż nie był drużbą Parkera? Nieźle ciacho.

BeeElliott: Nie przepadam za nim. Nieudacznik.

Maggs10021: Naprawdę? Pamiętam, że zdawał się słodziutki!

BeeElliott: Kiepszczyzna.

Maggs10021: Hmm.

Jeżeli jest coś, czego nie cierpię, to na pewno wpadanie z niezapowiedzianą wizytą. Kiedy w telewizji widziałam dzielnice-sypialnie zamieszkane przez wspaniałych sąsiadów z koszyczkami na babeczki wyściełanymi kraciastymi serwetkami, kuliłam się w sobie i obiecywałam, że nigdy nie wyprowadzę się z centrum. Nie byłam więc zachwycona, gdy pochylona nad jakimś pudłem i ocierająca kapiący z czoła pot usłyszałam dzwonek. Portier zapowiedział nieoczekiwanego gościa jako „panią Dillingham” (broń Boże, nie jako moją teściową). Na szczęście dostrzegłam i zdążyłam schować do szuflady poranny pożegnalny liścik Josha - to była lista tytułów pornosów, które lubiliśmy wymyślać podczas spacerów, kiedy mijaliśmy sklepy z multimediami albo kina, takie nasze figle, żartobliwe ćwiczonka (na przykład *Fiut Gump*, *Chętna i Bestia* czy *Indiana Jones i Świątynia Dymania*). Schowałam spis i w tempie pędzącego cyklonu chwyciłam płaskie buty z klamerkami, włożyłam klasyczną szarą koszulkę z napisem „Blondie”, czarne dżinsy oraz przecesałam włosy tak gwałtownie, że prawie wszystkie wyrwałam. Właśnie nakładałam balsam na usta, kiedy rozległ się dzwonek.

- Cześć! - wypaliłam. - Witaj w naszej nowej tymczasowej siedzibie! Przepraszam, jestem, jeszcze w przyszłości...

Nie zakwestionowała mojej samooceny.

- Dzień dobry.

Przeszła obok mnie, lustrując proste, zwyczajne lokum. Widok z okna na tym piętrze hipnotyzował, pokoje wyglądały przestronnie i czysto, ale to było jedno z tych mieszkań, gdzie same zalety i tak tworzyły gównianą całość. Na przykład w ścianie salonu ktoś wyciął prostokątny otwór, a sufity wydawały się niezwykle niskie przy górach kartonowych pudeł. Kiedy patrzyłam, jak teściowa przygląda się temu, co na pewno uważała za totalny bałagan, zdałam sobie sprawę, że wcale nie czuję się dobrze - wszystko podchodziło mi do gardła i nie chciało się za-trzymać. Czy prześladował mnie jakiś rodzaj lęku społecznego jak w tej reklamie z powykrzywianymi i rozciągniętymi twarzami? Dlaczego zawsze się denerwuję w jej towarzystwie?

- Tak. Hannah, kochanie, na pewno nie możesz się doczekać wyprowadzki! Tutaj jest zdecydowanie klaustrofobicznie! Nie znoszę tych dołączających powojennych budynków. Ohyda.

A, tak. Już wiem czemu - ona rzadko mówiła coś miłego.

- Właśnie rozpakowywałam pudła w kuchni. Violet śpi, chcesz ją zobaczyć? Jest taka słodka, zasnęła w swoim małym...

- Widziałaś się już z Bee Elliott? Obiecała mi, że pomoże ci z przedszkolami. Boże, to potrafi być męczące.

- Tak, tak, wczoraj spotkałam ją i jej przyjaciółkę, były bardzo miłe...

Lila usiadła na naszej starej kanapie z Ikei, ale najpierw oczywiście spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby sprawdzała, czy nie siedzą w niej czerwie. Starła się robić wrażenie, że jest jej wygodnie, chociaż wiedziałam, że nie było. Miała ogromny apartament przy Piątej Alei, nie-

skazitelnie czysty i pięknie urządzony przez Ellie Cullman, i byłam przekonana, że aż krzywi się w środku na widok naszej zdecydowanie nieeleganckiej chaty. A jeżeli dałoby się znaleźć coś jeszcze gorszego od domu, który tworzyłam dla jej syna, był to na pewno mój strój.

- Twój styl jest zawsze taki... eklektyczny - stwierdziła, przyglądając mi się, jakbym była próbnym egzemplarzem mebla.

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Nie cierpię złośliwych uwag ubranych w fałszywe komplementy.

- A mówiąc o stylu - kontynuowała, delikatnie otwierając różową torbę na zakupy. - Mam dla Violet kilka sukienek. Wiem, że zwykle wolisz... wygodne rzeczy. Ale wiesz, nie jesteśmy na Zachodnim Wybrzeżu. Tu ludzie się ubierają. W tym roku czeka cię kilka rozmów w sprawie przedszkoli, więc pomyślałam, że pomogę ci zadbać o jej... bardziej konserwatywny wygląd.

Pokornie podziękowałam Lili. Śliczne, wyprodukowane w Portugalii sukieneczki były naprawdę pięknym i zdecydowanie hojnym prezentem, wiedziałam bardzo dobrze, że w ten sposób starała się wystroić moją córkę. Podobał mi się sposób, w jaki powiedziała, że ludzie tu się „ubierają”, jakby w dżungli Kalifornii nasze dzieci biegały gołe, sikając na siebie nawzajem. Wiedziałam oczywiście, o co jej chodziło; rzeczywiście na Zachodnim Wybrzeżu nie kupowało się dzieciom tak staroświeckich strojów. I naprawdę podobały mi się te sukienki. Ale ktoś mógłby pomyśleć, że Violet nosi na co dzień legginsy w lamparci wzorek i koszulki z ułożonym z kryształków napisem „Córeczka tatusia”. Nie ubierałam jej tandetnie, tylko... na luzie, w sztruksy i urocze bluzeczki Gapa. Niech mnie ktoś poda do sądu.

- Ja tylko chciałabym, żeby Violet tu pasowała, no wiesz, do odpowiednich kręgów - dodała Lila.

Skinęłam głową i wstałam, żeby przynieść wieszaki na sukienki, które następnie starannie powiesiłam.

- Violet jest przecudowna. Rzecz jasna to tak naprawdę klon Joshiego! - Zaśmiała się. - Ale czasem, kiedy nas odwiedzaliście, wydawała się nieco... zaniedbana. Te ciuszki może i są słodkie, lecz nie na ulicę, moja droga. Przecież nie chcemy, aby chodziła na rozmowy w sprawie przedszkoli, wyglądając niczym *une filie des rues*.

Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam wolno i spokojnie pozbyć się pary, która we mnie wzbierała. Czuję, że za chwilę wybuchnę jak Wezuwiusz. *Fille des rues*?! Mój francuski nie był doskonały, ale wiedziałam, że to znaczy „dziewczyna z ulicy” - łobuziara. Zupełnie, jakbym specjalnie się starała, żeby moja zaniedbana córka przypominała obdartą Cosette z *Nędzników*.

- Nie możemy się doczekać twoich urodzin - skłamałam, starając się dobierać miłe słowa dla kobiety, której twarz miałam ochotę stłuc kijem do polo z kolekcji jej starego męża. - Cieszę się na wyjazd z miasta.

- Tak, weekend na pewno okaże się wspaniały. Na szczęście będziemy tylko my. Córki Wattsa miały przylecieć z Londynu, ale dzięki Panu Bogu zdecydowały, że spotkają się z nim w Bath w przyszłym miesiącu.

Z jakiegoś chorego powodu poczułam się dziwnie podniesiona na duchu, bo istnieli ludzie, których najwyraźniej nie lubiła bardziej niż mnie.

- Co u nich słyhać? - zapytałam z pozorowanym zainteresowaniem. Raz spotkałam córki Wattsa, wydawały się urocze, ale oczywiste było, iż pozostawały nieobecne w życiu ojca, jakby oddzielał ich od siebie nie tylko Atlantyckie Ocean, lecz także pustka emocjonalna - dzie-

ki macosze, która wolała udawać, że one wcale nie istnieją.

- Koszmar. Po prostu koszmar - odparła, kręcąc głową.

- Kiedy w maju przyjechały do Nowego Jorku, Fiona kazała nam usiąść, by zaraz dramatycznym głosem oznajmić, że według niej Victoria cierpi na anoreksję.

- To straszne! - zawołałam.

- Ach, proszę cię. To bzdura. Watts zmartwił się i już prawie sięgał po telefon, żeby zarezerwować bilet na samolot, ale powiedziałam: „Wiesz, Fiona, co ja myślę? Po raz pierwszy w życiu Victoria jest chudsza od ciebie. I nie możesz tego znieść!”. Rozumiesz, one ze sobą rywalizują.

- Ale... jest chora czy...

- Nie, nie, nie, te dziewczyny ciągle tyją i chudną. Victoria ma dwadzieścia cztery lata i w końcu bierze się za siebie, a Fiona najwyraźniej jej zazdrości.

Zdecydowałam, że lepiej nie zgłębiać tego najwyraźniej drażliwego zagadnienia.

- A jak zdrowie twojego męża? - zapytałam, zmieniając temat. Przed rokiem Watts przeszedł lekki wylew i pamiętam, jak Lila zadzwoniła do nas nie ze szpitala, ale od Swifta'ego, gdzie, zgodnie z wcześniejszymi planami, jadła obiad z przyjaciółmi. Fajnie.

- Dobrze, wiesz, dobrze. Niedługo skończy osiemdziesiąt lat, więc...

- Mamusiu? - usłyszałam ciche wołanie. Zerwałam się i poszłam do pokoju Violet, żeby ją przynieść.

- Zgadnij, kto do nas przyszedł? Lila! - Teściowa nalegała, żeby wnuczka mówiła jej po imieniu. - Lila przyszła! Przywitaj się, słoneczko!

Ale Violet wybuchła płaczem.

- O Boże - mruknęła Lila. - Ile łez...

Normalna sprawa, dopiero co obudziła się po drzemce i w końcu miała tylko dwa latka.

- Przepraszam - powiedziałam. - Jeszcze się nie obudziła i jest trochę...

Violet wrzeszczała, a jej drobne ciało trzęsło się w spazmach.

- Cicho, kotku, Lila tu jest! Popatrz! Lila do ciebie przyszła!

AAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!!!

Zaczęłam się pocić, zupełnie jakby krzyki Violet odzwierciedlały moje uczucia.

- To ja chyba już pójdę - oznajmiła Lila, wstając i sięgając po swoją pikowaną torbę.

- Przepraszam, ona jest... dopiero co się obudziła i jest trochę...

AAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!!!

- Cóż, no dobrze, widzimy się w weekend, mam nadzieję, że mała będzie w lepszym nastroju - odparła, otwierając drzwi.

I wyszła, niezmiennie elegancka w swoich sandałkach od Ferragamo.

Happy hours - czysty mit. Czas między piątą po południu a ósmą, kiedy yuppie wesolutko sączą drinki w licznych barach Manhattanu, ja nazywam *suicide hours* - jestem wtedy kompletnie wykończona i mam chęć walnąć się na kanapę, a mój mąż dotrze do domu dopiero za co najmniej cztery godziny. Oglądam okropne programy typu *Access Hollywood*, a kiedy zaczyna mnie interesować AngelinaJolie i jej szalony seks w Kongo, ochota na samobójstwo wzrasta.

Violet, mała kochana kruszynka, która w moich oczach nie jest zdolna zrobić nic złego, zmienia się w grymaśnego malucha i wtedy zajmuję ją książeczkami, ale po pięciu czy sześciu czuję się taka zmęczona, że w końcu pełna poczucia winy i tak się poddaję i wrzucam do odtwarzacza bajkę na DVD, czyli narkotyk dla maluchów.

Ale tego wieczoru, po niekończącym się dniu rozpakowywania pudeł oraz piekle, jakie zgotowały mi Bee i Maggie w kwestii wyboru przedszkola, utuliłam Violet w jej składanym prowizorycznym łóżeczku i uśpiłam ją, odśpiewując cicho kilka razy *Twinkle, Twinkle*. Cały czas z trudem opanowywałam podniecenie. Przyjeżdżała moja najlepsza przyjaciółka na świecie, łyżeczka miodu, która osładzała gorzkie doświadczenie przeprowadzki, i po raz pierwszy od chyba miesiąca zatrudniłam opiekunkę, żeby móc pójść na kulturalny obiad i nadrobić zaległości z jedyną siostrą, jaką miałam.

Spotkałam Leigh Briggs pierwszego dnia nauki na studiach. Niosła ogromnego fikusa, rozsypując ziemię na kamienną ścieżkę pod gotyckim łukiem bramy naszego akademika. Leigh to mój megapsychoanalityk/mędrzec/współsprawca w przestępstwie. Zrobiła na mnie wrażenie gwiazdy w starym stylu. Podobali nam się ci sami faceci, lubiliśmy te same filmy i żarcie, zatrybiłyśmy natychmiast. Zawsze mogłam liczyć na jej mądre (i czasem nieco retro) rady. Była prawdziwą „dama”, taką z dawnych lat, tylko z niewyparzoną gębą. Ludzie widzieli w niej dobrze wychowaną i porządną, a przy tym błyskotliwą dziewczynę o nieskazitelnej urodzie, ubraną z klasyczną elegancją oraz pełną wdzięku. Mimo dzielących nas od pięciu lat prawie pięć tysięcy kilometrów pozostałyśmy w bliskim kontakcie i obok Josha była moją najważniejszą powiernicą. Przy niej zawsze czułam się silna i gotowa na wszystko. A ona nie poznała mnie w moim obecnym stanie.

- Kurwa, co z tobą? - rzuciła prosto z mostu, zanim minęło pół godziny naszego spotkania. W jednej ręce trzymała kieliszek z winem, drugą przerzucała „Us Weekly”.
- Źle wyglądasz. Coś ty taka spięta? Tak, mieszkacie w norze, ale to chyba tak na chwilę! I co z tego, że twoja teściowa to prawdziwa suka, wszystkie takie są! Masz męża i dziecko, więc się zamknij.

- Wiem, wiem. Ale mieć dziecko tutaj to zupełnie nowe źródło stresu...

- P r o s z ę cię. A może wolałabyś jak ja zastanawiać się, czy mój popieprzony szefowie komuś po dziewięciu miesiącach posuwania mnie, że jesteśmy razem? Może chcesz zastanawiać się jak ja, czy nie umrę sama i kot nie zje mi twarzy, bo nie będzie nikogo, kto by go nakarmił? Kocham cię nad życie, ale weź się, kurwa, w garść.

Jak już wspomniałam, Leigh była jedyna w swoim rodzaju. Przywitałyśmy się z opiekunką, studentką z Bernard o imieniu Amber (odkryłam prowadzoną przez college agencję w książce *CityBaby*, która z dnia na dzień stała się moją biblią). Dałyśmy Violet buziaka na dobranoc i udałyśmy się do Fig & Olive, przytulnej restauracji w sąsiedztwie. Kiedy szłyśmy spacerkiem w ciepły, letni wieczór, poczułam się winna, że tak marudziłam o swoich problemach. W końcu Leigh miała rację; może i dotknęły mnie tutaj kłopoty, w morzu idealnych, wymuskanych ubermusiek, ale przynajmniej byłam mężatką. Dobrze pamiętałam, jak to jest być singielką. Samo wspomnienie tych czasów aż skręcało mi flaki.

Po studiach zakochałam się po uszy w Luke'u, współpracowniku z firmy internetowej, tuż przed jej upadkiem pod koniec ubiegłego tysiąclecia. Kiedy spółka przestała istnieć, wróciłam na studia, a on zatrudnił się w maleńkiej, dziadowskiej, dopiero co rozkręcającej się firmie nazwanej eBay. Po trzech latach bycia razem, wspólnego mieszkania i podróży on chciał się żenić. Ale jakaś część mnie się bała. Nie lękałam się zaangażowania, zwyczajnie nie byłam pewna. Wszyscy uważali nas za idealną parę, ale gdzieś w sercu czułam, że „póki śmierć nas nie rozłączy” to strasznie długo. Zwierzyłam mu się ze swoich wątpliwości i w konsekwencji Luke i ja się rozstaliśmy. Przedtem jednak spojrział mi w oczy i powiedział: „Hannah, wiedz tylko, że nigdy, nigdy w życiu nikt tak dobry jak ja cię nie pokocha”.

Au. Chciał, żeby zabołało, i zabołało. Ale nie aż tak mocno jak wtedy, kiedy pół roku później dowiedziałam się, że zaręczył się z blond lalką, którą poznał na pieszej wycieczce. Na wycieczce! Podobnie jak ja nienawdził zajęć na świeżym powietrzu. Zaręczyli się w tempie trąby

powietrznej i wzięli majestatyczny ślub w San Francisco cztery miesiące później, a ja byłam sama, samotna i zastanawiałam się, czego się naćpałam, że pozwoliłam, aby taki świetny facet mnie zostawił. Następne dwa lata minęły pod znakiem druzgocących, nieszczęsnych, potwornych randek i z góry skazanych na niepowodzenie związków. Facet, który zlizywał z palców swojej matki sos czekoladowy w restauracji serwującej fondue (hm, kelner, rachunek!), koleś próbujący zmusić mnie, żebym mu obciągnęła na pierwszej randce (chyba żartujesz), albo ten, który z kamienną miną oświadczył, że nie ma poczucia humoru. Co? Czy nie wszyscy, nawet ci nieśmieszni, myślą, że mają poczucie humoru? Chyba jednak nie. Taxi!

A potem poznałam Paula. Gościa, za którego miałam wyjść, blond maklera na studiach, grającego w lacrosse (czyli w tak zwany lax). Zamieszkaliśmy razem po miesiącu intensywnego randkowania. Był prawie największą miłością mojego życia, wolałam od niego jedynie Tate'a Hayesa, mojego promotora na uniwersytecie. Paul i ja zachowywaliśmy się jak te dziwne, złączone sercami syjamskie bliźnięta z filmu dokumentalnego. Mimo jego skłonności do alkoholu wielbiłam go i byłam nim totalnie oczarowana. A potem pewnego dnia wróciłam do domu i zastałam go, jak rzucał piłeczką do lacrosse o ścianę, łapał ją i wrzucał do siatki na końcu kija.

- Cześć, słodki - wyszczebiałam, pochylając się, by go pocałować. - Wszystkiego najlepszego z okazji sześciu miesięcy!

- Posłuchaj, Hannah... Musimy porozmawiać.

Notabene wszystko, co zaczyna się od „posłuchaj” lub „wiesz co”, zapowiada, że wybiła ostatnia godzina związku.

Gula w gardle.

- Co się stało... wszystko okej?

Niekończący się wydech. Kolejna zła wróżba zaraz po „posłuchaj” lub „wiesz co”.

- Nie. Dziś rano przyszedłem do pracy i Natan zapytał: „Jak tam żona?” i... - piłeczka rzucona o ścianę, wrzut, wrzut - i zwyczajnie mi odbiło. Nie jestem gotowy na małżeństwo, zdałem sobie z tego sprawę, no wiesz, jak... - piłeczka o ścianę, przechwycenie, wrzut. - Zwolnijmy nieco i chyba powinniśmy... - wrzut, wrzut do tej cholerniej siatki na długim kiju do najgłupszej gry na świecie - zacząć spotykać się z innymi i nieco ochłonać.

Nieco, kurwa, ochłonać?

Tak. Zostałam porzucona podczas rzucania piłeczką o pokrytą makatą ścianę przez pieprzonego studencika ubranego w polar firmy Patagonia i białą czapkę do bejsbolu. Powiedzenie, że moje łkania nieomal sprawiły, iż Zatoka wystąpiła z brzegów, nie byłoby przesadzone. Istna histeria.

W ciągu następnych kilku dni (które, szczęściara, musiałam spędzić, pisząc długą pracę semestralną), zamknęłam się w sobie i dosłownie zaliczyłam emocjonalnego doła pod tytułem „już nigdy się nie zakocham”. Czy kiedyś jeszcze kogoś poznam? Byłam uwalona. Zszokowana. Zdruzgotana. Wiedziałam, że bycie porzuconym kształtuje charakter, ale kiedy ryczałam przez parę tygodni, pocieszył mnie fakt, że doświadczam kolei życia; nagle znalazłam się na liście przebojów o złamanym sercu. Teraz wiedziałam to, czego nie wiedzieli szczęśliwi, głupi ludzie: na świecie są miliony nieszczęśliwych i bycie jednym z nich jest megafajne! Słuchałam The Smiths na cały regulator. Odkopałam swoją kolekcję ilustracji Edwarda Goreya. Rozmyślałam. Rozkwitałam w ciemności, w końcu każdy miał kiedyś złamane serce, nie? Teraz przyszedł czas na

mnie. Mogłam słuchać ogłuszającej muzyki i żywić nie-nawiść do tego dupka, a świat był po mojej stronie. Bo, hej, każdy opowie się za porzuconą. Ale i tak nie było łatwo. Dzięki Bogu nie wiedziałam chociaż, że wtedy właśnie Josh Allen wprowadził się do domu w sąsiedztwie i mieliśmy się poznać za dwa miesiące.



Razem z Leigh weszliśmy do restauracji i usadowiliśmy się na ławce przy stoliku we wnęce okiennej. Dobrze pamiętałam kłopoty samotnego życia i teraz poczułam się okropnie dlatego, że w ogóle przyszedł mi do głowy pomysł, by skarżyć się z powodu swoich niemądrych zmartwień. Zwłaszcza że teraz byliśmy starsze, a z wiekiem poziom stresu spowodowanego pozostawianiem bez pary wzrasta. Obiecałam sobie, że nie pisnę słowem na temat głupich kłopotów matczynych - przecież mogłam pomarudzić na ten temat Jenny, najlepszej przyjaciółce z Kalifornii, nawet jeśli różnica czasu stanowiłaby problem. No i byli jeszcze moi rodzice, świetni i wyrozumiali, chociaż teraz, kiedy tata przeszedł na emeryturę, odbywali podróż swojego życia dookoła świata (obecnie brali udział w czteromiesięcznej wędrowce z plecakami po Nowej Zelandii). Czułam, że reszta moich znajomych gdzie się rozproszyła, zajęta swoimi sprawami, i nie powinnam zawracać im głowy. Tylko Leigh mogłam powiedzieć o wszystkim - no i oczywiście Joshowi (wszyscy troje byliśmy jedykami) - ale ona miała absolutną rację: bycie mamą stanowiło błogosławieństwo, tak jak bycie żoną kochanego Josha, i choć problemy ludzkie są zawsze względne, nie miałam prawa narzekać. Leigh była najfajniejszą, najcudowniejszą i najpiękniejszą kobietą, lecz zdawało się, że wszyscy faceci są

już zajęci. Miałam wiele szczęścia, że znalazłam Josha. Mimo to w głębi duszy zawsze chętniej identyfikowałam się z samotnymi dziewczynami, a nie z mężatkami - to całe zamieszanie z małżeńskimi obiadami i sformułowania typu „to wspinała para, musicie ich poznać” wydawały mi się wymuszone. Nigdy nie byłam uganiającą się za mężem Bridget Jones, ale wciąż jeszcze dobrze miałam w pamięci samotność i cierpienie tamtych lat. Nigdy w życiu nie świeciłabym swoim małżeńskim szczęściem w oczy komuś samotnemu, bo przecież sama mogłam się minąć z Joshem tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, i wtedy odbijałoby mi tak samo jak Leigh. Spotykała się z setkami facetów, ale żaden z nich nie był tym jedynym, i zaczynała wpadać w depresję. Zrobiła więc coś, czego się nie robi: zaczęła pieprzyć się z szefem.

- A więc - zaczęłam ostrożnie, bo doskonale znała mój stosunek do jej związku - co u Craiga?

Wydech.

- Ach, totalne wyparcie - odparła i pokręciła głową. - Na początku kręcił mnie ten potajemny romans w pracy, to było takie seksowne mieć tego typu sekret. Numerek na schodach, te sprawy. Teraz wydaje mi się to odrażające - stwierdziła, popijając koktajl. - Czuję, że zegar tyka. Co ja, kurwa, robię? Mam trzydzieści jeden lat. Za pięć lat w macicy pojawią mi się pajęczyny.

- Nieprawda. Mamy XXI wiek, jedna babka urodziła bliźniaki w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Tym się nie musisz martwić. Ale myślę, że powinnaś skończyć z Craigem. Nic z tego nie masz. Zasługujesz na kogoś, kto będzie cię uwielbiał i będzie chciał o tym krzyknąć z dachu, a nie na gówniane dymanko po kryjomu.

- Wiem, wiem. - Popatrzyła przez okno na mrugające światła. - Hannah?

- Tak?

- Jesteś w Nowym Jorku!

Zaśmiałam się, a ona się przechyliła, żeby serdecznie mnie objąć, i obie zachichotałyśmy jak podekscytowani zdobywcy pierwszej nagrody w programie *Zgadnij cenę*.

- Czy nie o tym marzyłyśmy przez te wszystkie lata?

- zapytała cała rozpromieniona. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że tu jesteś. I mała Violet. Tak tęskniłam za tym kochanym maleństwem.

- Ona też za tobą tęskniła.

Leigh spojrzała na mnie wzrokiem przewiercającym na wskroś w stylu Robocopa.

- Hannah, wiem, że niełatwo ci się przeprowadzać. I wybacz, że przesadnie reaguję na twoje problemy. Oczywiście, że to są problemy. Wiem, że wszystko jest względne.

- Nie, masz rację. Nie powinnam narzekać.

- Czyli co? W porządku?

Wypuściłam powietrze. Nie za bardzo chciałam się wdrażać w rozmowę na temat tego wszystkiego, co nie dawało mi spokoju. Ale Leigh już stała się nowojorskim ekspertem i w tym względzie górowała nade mną.

- Czuję, że to jest takie miejsce...

- Tego musisz się nauczyć natychmiast - przerwała mi Leigh stanowczo. - Nie ma żadnego „miejsca”. Ono jest tylko w twojej głowie. To znaczy, oczywiście, takie miejsca też tu mamy, ale oprócz tego milion innych. To nie Seattle, gdzie twoja mama wszystkich zna. Tutaj możesz robić, co ci się podoba - próbować akrobacji na trapezie, uczyć się fińskiego, założyć kółko krawieckie, cokolwiek! Istnieje nieskończona liczba możliwości poznania ekscentryków i nowych ludzi.

- Nie mogę już nikogo poznawać - odparłam leniwie.

- Lista przyjaciół została zamknięta.

- Co? - Zaśmiała się, o mało nie wypluwając oliwki, którą miała w ustach. - Jaka lista przyjaciół?

- Nie ma wolnych miejsc. Zamknęłam interes permanentnie. - Wzruszyłam ramionami. - Nie mam czasu! Jestem wykończona, odmóżdżona i nie czuję się... sobą. Jak zombi. Chcesz, żebym w tym stanie się zaprzyjaźniała?

- No, znam co najmniej jedną osobę, która chętnie się z tobą spotka... - rzuciła złośliwie, unosząc brew.

- Kogo?

- Już ty wiesz kogo - powiedziała, patrząc na mnie figlarnie. - Profesora Hayesa.

Już na sam dźwięk jego nazwiska przeszył mnie dreszcz.

- Leigh, ja mam męża. Kocham Josha, zapomniałaś już?

- Jesteś mężatką, ale nie umarłaś! Coś tam się kiedyś z nim zdarzyło! Do tego teraz ma żonę i dwójkę dzieci, czyli możesz... spokojnie do niego zadzwonić.

- Nie - odparłam, kręcąc głową. - Nie ma mowy, żebym do niego dzwoniła.

- Dlaczego? Mówiłam ci, kiedy wpadłam na niego w zeszłym roku, pytał o ciebie. A teraz oboje mieszkacie w Nowym Jorku. Zawsze byliście blisko.

- Tak, ale... dostałam obsesji na jego punkcie i raczej nie powinnam się z nim kontaktować. Po co miałabym to robić?

- Wtedy wydawaliście się nierozłączni - Leigh nie przedstawiała mi kusić. - Może wyniknąć z tego coś fajnego, na przykład prawdziwa przyjaźń... Zawsze tego chciałaś.

Wzięłam głęboki wdech i kręcąc głową, wypuściłam powietrze. Pozwoliłam, by wraz z nim wyparował mi z głowy ten pomysł.

- Nie będę go szukać, zszarga mi nerwy. Już samo to, że jest teraz na Columbii, jest dziwaczne. Najmłodszy profesor z etatem na wydziale... - Mój głos zamarł, gdy dostrzegłam, że Leigh wpatruje się we mnie z przebiegłym wyrazem twarzy. Zbyt dużo słyszała kiedyś moich zwierzzeń na temat Hayesa. - Tak długo był moim idolem... nie chcę go widzieć.

- Wyglądacie jak para plotkujących nastolatek w kafece - wtrącił Josh, odstawiając teczkę i zmierzając do naszego stolika.

- Josh! - Leigh pobiegła w stronę drzwi i objęła mojego męża, który był totalnie wykończony, ale wydawał się nad wyraz uroczy z poluzowanym krawatem i w garniturze nieco pogniecionym po całym dniu pracy. Podszedł i mnie pocałował.

- Cześć, kochanie. Wyglądasz seksownie. Apetyczna z niej mamuśka, nie, droga Leigh?

- Palce lizać - odparła z uśmiechem i objęła mnie wolną ręką.

- Proszę was. Moja twarz jest taka tłusta, że mogłabym usmażyć na niej jajko - poskarżyłam się. - Kotku, zamówisz coś? Jestem najgorszą z żon. Od przeprowadzki ani razu nie zrobiłam ci obiadu.

Nie żebym była dobra w kuchni, ale przygotowuję świetne zapiekane kanapki z serem.

- Hej, przyjechaliśmy do Nowego Jorku - odparł z uśmiechem i objął mnie oraz Leigh. - Jedyna rzecz, jaką tu muszą robić żony, to rezerwacje w restauracji.

...a w Bee-landzie...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott.

BeeElliott: Przychodzisz jutro na pokaz mody?

Maggs10021: Jasne! To mój ulubiony, mam zamiar poważnie zaszaleć z kartą kredytową.

BeeElliott: Ja też. Chodźmy zaraz na zakupy, chciałabym przejrzeć Christiana Louboutina i Michaela Korsą, potrzebuję stroju na przyjęcie MoMA.

Maggs10021: Nie mogę, ćwiczę z instruktorem...
A jutro?

BeeElliott: Sorry, mam pilates.

Maggs10021: Ostatnio ciągle to ćwiczysz.
Uzależniłaś się?

BeeElliott: Muszę zjechać do 54 kilogramów. Chcemy zacząć starać się o dziecko numer dwa. Park bardzo chce, żebym teraz zaciążyła, ale najpierw zamierzam zrzucić ostatnie półtora kilo.

Maggs10021: Bee, ty = patyk! Wariatka.

BeeElliott: Dobra, już lecę! Georgio przyszedł, będzie mi robił pasemka. To do jutra. Ach, nie zapomnij, że ta Hannah Allen też przychodzi. Pozbądźmy się jej, zanim ruszymy w Madison.

Maggs10021: Umowa stoi.

7

Nazajutrz rano, podbudowana wieczorem spędzonym z Leigh, włożyłam Violet do wózka i poszłyśmy do pobliskiego hotelu Pierre na spotkanie z Bee i Maggie. Wykopałam kilka fajnych strojów z moich zakurzonych pudeł i poczułam się bardziej stylowo niż poprzedniego dnia, kiedy wyglądałam jak świeży import z San Francisco - czyli kobieta bez klasy.

Dotarłam do hotelu i weszłam przez podwójne, złoczone drzwi. Maggie była w środku, wachlowała się swoją torebką Fendi.

- Ach, już goręcej nie mogłoby być? - zapytała sarkastycznie w tonie Chandlera Binga, delikatnie osuszając chusteczką swoje ledwie wilgotne brwi. Jej blond włosy wyglądały na dopiero co ułożone i, niczym większość matek w okolicy, używała swoich wielkich okularów a la Jackie Onassis jako przepaski przytrzymującej włosy.

- Wiem, nie cierpię lata - odparłam.

- Co? - zapytała Bee, która właśnie weszła i zamknęła telefon z klapką. - Czy dobrze usłyszałam, że nie cierpisz lata?

Wiem, że to dziwnie brzmi, jak coś nie z tego świata, ale tak. Nie cierpię lata. Zawsze czuję się ospała, apatyczna i brudna. Gdy wszyscy dookoła chudną i się ożywają, ja jestem zdolna tylko do pochłaniania lodów i drzemania, a w mieście panuje tak ohydny odór, że nad wszystkim powinny się pojawiać takie rysunkowe pofa-

lowane kreski oznaczające smród, jak w komiksach. Z moją jasną cerą i ciemnymi włosami w paskudnych letnich pastelach wyglądam jak świeżo ekshumowane zwłoki. Uwielbiam za to rześkie, zimne, ożywcze powietrze, golfy i mroczne popołudnia. Orzeźwiająca pogoda w San Francisco bardzo mi odpowiadała, nawet kiedy padało.

- Robi się tak wilgotno i parno, że czuję się tłusta i brzydka - wyjaśniłam, wzruszając ramionami. Spojrzały na mnie, jakbym była obłąkana. - Chyba jestem typem jesienno-zimowym - dodałam nieśmiało.

- Zauważyłam - odparła Bee i zlustrowała mnie od stóp do głów. - Masz w sobie coś z Wednesday Addams.



Kiedy wyszliśmy z windy, wpadliśmy prosto na tablicę z napisem „Pokaz mody Mały Książę i Księżna, apartament 2415”. Firma odzieżowa została założona przez prawdziwą księżnę. To znaczy przez dziewczynę z Nowego Jorku, która wyszła za burgundzkiego księcia. Na jego szczęście była multimiliarderką, bo jej ojciec wynalazł aksamitne liny. Tak przynajmniej stwierdziła dobrze poinformowana Bee. Kiedy weszliśmy do głównej sali, ujrzałam hordy nieskazitelnych matek wybierających oszałamiające ubranka dla pociech, które zostały w domu, zapewne z nianiami w uniformach, podczas gdy ich mamunie kupowały ciuszki na zimę. Nie miałam pojęcia, że będę jedyną matką z dzieckiem.

- Mamusiu! - zawołała Violet.

- Tak, kochanie?

- Stać, stać!

- Dobrze, moja słodka.

Odpięłam szelki wózka, żeby mogła poszaleć w ogromnym salonie składającym się z sześciu gigantycznych pokoi z imponującym bufetem z kanapeczkami, ciasteczkami, wodą Perrier w kryształowych szklankach i kawą w wielkich srebrnych dzbanach.

- Słoneczko, możesz się tu pobawić, ale nie odchodź daleko, dobrze?

- Dobrze. Mamusiu, mamusiu?

- Słucham, skarbie?

- Kocham cię.

Prawie się rozpląnęłam ze szczęścia. Uklękłam, żeby ją mocno objąć. Kiedy spojrzałam do góry, patrzyły na nas Bee i Maggie. Założyłam, że wzruszyła je ta pełna czułości chwila, ale gdy wstałam, Bee zapytała:

- Hannah, jakie masz zamiary w kwestii pomocy?

- Ach, masz na myśli kogoś do opieki nad małą?

- Tak, szukasz niani?

Przysłuchiwała nam się wysoka, obwieszona biżuterią kobieta o południowoamerykańskiej urodzie, z torebką ze skóry aligatora od Hermesa.

- O, potrzebuje pani guwernantki? - wtrąciła, a w jej głosie zabrzmiał europejski akcent.

- G u w e r n a n t k i ? - Ledwie powstrzymałam śmiech.
- Jak w rodzinie Von Trapp?

- Znam jedną, która poszukuje zatrudnienia. Zamieszka z rodziną - odparła.

- Nie, dziękuję, obejść się bez guwernantki - odrzuciłam propozycję. - Ale dziękuję pani.

Odeszła, a Bee zwróciła się w moją stronę:

- Flora de Monteva jest okropna. Sama dodała sobie to „de” przed nazwiskiem. Nieważne, zapomnij o guwernantce. Potrzebujesz niani. Jak ty w ogóle dajesz sobie radę? Ja bym umarła.

- Fajnie byłoby zyskać trochę wolnego czasu, kilka godzin dziennie, może parę razy w tygodniu...

- Na to nie licz - ostrzegła Maggie. - Porządne opiekunki zawsze pragną mieć stały rozkład dnia. Musisz zadzwonić do Agencji Pani Brown. Zatrudnia najlepsze nianie. Wszystkie z nienagannymi referencjami, odpowiednie dla najlepszych rodzin Nowego Jorku. Moja pracowała dla Bronfmanów.

- Aha - odparłam, udając, że mi to imponuje.

- Ja mam świetną hinduską dziewczynę. Ale myślę o Malajce, choć one są dosyć wymagające - zauważyła Bee. - Trafiłam na jedną zaraz po urodzeniu Westona, była najlepsza.

- Wydawało mi się, że Noona jest Tajką - mruknęła Maggie.

- A co to za różnica? - Bee wzruszyła ramionami. - W każdym razie wybierz Azjatkę.

Zaczynałam się czuć bardzo nieswojo.

- Lecz unikaj dziewczyn z wysp - dodała po chwili. - Miałam kiedyś taką z Trynidadu. Fatalne zachowanie. A jaka leniwa! Ruszała się jak mucha w smole i była ogromna. Na wszystko musiałam jej zwracać uwagę: „Halo! Ta srebrna ramka nie mogłaby już być bardziej zaśniedziała?!”. Z kolei nianie z Ameryki Południowej nic tylko plotkują i gadają po hiszpańsku, a dzieci w tym czasie zwisają sobie z najwyższego szczebelka na drabince.

Siedziałam bez słowa, kompletnie oszołomiona.

- Nikt nie jest idealny. Nawet Malajki. Zachowaj ostrożność - kontynuowała Bee. - Potrafią być podstępne. Zawsze znajdzie się jakiś chory krewny albo inny powód, żeby ni z tego, ni z owego potrzebować wolnego dnia czy więcej pieniędzy.

- Ostatnio modna stała się Islandia - wtrąciła Maggie.
- Tysiące niań z Rejkiawiku. Słyszałam o nich dużo do-
brego.

- Ale w tym przypadku też bądź ostrożna - ostrzegła
mnie Bee. - Niania nie może być atrakcyjniejsza od ciebie.
"Wszyscy słyszeli o mężu Janie Ribicoff, który posuwał ich
szwedzką nianię. Radziłabym ci trzymać się z daleka od
Skandynawii. Nawet frazesy nie biorą się znikąd, Hannah.
Nie zatrudniaj dziewczyny, która mogłaby się spodobać
Joshowi.

Co? Czy one dają mi do zrozumienia, że jakaś laska
mogłaby się spodobać Joshowi? Okej, żadna ze mnie Miss
Ameryka, ale o to akurat się nie martwiłam. Mówiąc zu-
pełnie szczerze, i tak nie zatrudniłabym żadnej supermo-
delki, a zarówno Bee, jak i Maggie ledwo znałam i przy-
słuchiwanie się tej rasistowskiej przemowie sprawiło, że
zrobiło mi się niedobrze. Jak one mogły tak generalizować
na temat całych wysp, nie wspominając już o kontynen-
tach?

Bee chyba uważała się za lepszą od swojego personelu.
U mnie w domu nigdy nie było nikogo „do pomocy”.
Rodzice wszystko robili sami, a kiedy chcieli gdzieś wyjść,
prosilili jakąś studentkę, żeby została z nami - żadnych
wykrochmalonych białych fartuszków w zasięgu wzroku.
A więc pomysł zostania czyjąś szefową wydawał mi się co
najmniej dziwny. Patrzyłam, jak roześmiana Violet biega
pod wieszakami z ubraniami.

- Przepraszam was na moment - powiedziałam. Sie-
dzenie mojego fotela powędrowało w górę. Pognałam,
żeby pobawić się z córką.

Usiadłam po turecku obok niej, ale kiedy spojrzałam
w górę, dostrzegłam kilka blond paziów spoglądających
na mnie wymownie i pomyślałam, że może nie powinnam

sadzać tyłka na dywanie. Podniosłam Violet, oparłam ją sobie na biodrze i zaczęłam przeglądać ubranka.

Ręcznie robiona koronka przerastała stylem i jakością wszystko to, co miałam w swojej szafie. Kołnierzyki były niezmiernie delikatne, a małe kaszmirowe sweterki mięciutkie jak skóra Violet. Ceny? Dwieście siedemdziesiąt pięć dolców za sweterek, nawet na siebie nigdy tyle nie wydałam, chyba że chodziło o kompletny strój. Ale za samą górę? Ile razy jej to założę, trzy? Jezu. Maleńka aksamitna sukieneczka kosztowała trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów, a wełniany bezrękawnik dwieście pięćdziesiąt. Płaszczyk z wełny z aksamitnym kołnierzykiem i obciążanymi guziczkami czterysta pięćdziesiąt. Ciekawe, czy wypadałoby zwać, niczego nie kupując. Zdążyłam już pochłonąć pięć maleńkich kanapeczek i czułam się zobligowana do tego, by trochę wydać. A do tego wszystko było takie słodkie. Jaka szkoda, że Josh pociąłby moją kartę kredytową na maleńkie kawałki, gdybym tylko ośmieliła się zamówić coś tak bajecznie drogiego.

- Cześć! - usłyszałam skądś mi znajomy nosowy głos.
- Tessa Finch-Saunders. Nie spotkałyśmy się przypadkiem na placu zabaw przy Siedemdziesiątej Drugiej?

- A, tak, cześć, jestem Hannah Allen.

- Właśnie strasznie zaszalałam! - przyznała się, udając przerażenie. - Ale te rzeczy są boskie, najśliczniejsze ze ślicznych.

Obwieszona znakami firmowymi kobietka obdarzyła mnie szerokim uśmiechem, kiedy jej zakupowa konsultantka podliczyła wydatki na podkładce z przezroczystego plastiku.

- Razem to będzie trzy tysiące sześćset siedemdziesiąt dwa razem z podatkiem - oznajmiła i zręcznie przechwy-

ciła czarną kartę American Express Tessy. Ta tylko skinęła i wyciągnęła długopis.

- Idę poszukać Bee - powiedziałam. - Miłego dnia. - Czmychnęłam zszokowana jej zakupami. Nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem dziewczynom o tym „szaleństwie”, zaraz jednak zauważyłam, że Bee i Maggie kupowały tyle samo, jeśli nie więcej.

Zainteresowałam się działem dla chłopców, pełnym marynarskich blezerków, malutkich krawatów w paski i odprasowanych koszul, miniaturowych wersji tego, co nosili tatusiowie pracujący na Wall Street i zarabiający tyle, żeby mamusie mogły chodzić na takie zakupy. Bee i Maggie trajkotały oraz gromadziły naręcza ubranek, które chciały zamówić.

Podeszłam do nich, żeby się pożegnać.

- Te rzeczy są powalające. Dzięki za zaproszenie.

- Do widzeeeenia! - powiedziała Violet.

- O, do widzenia, Violet. Już wychodzicie? - zapytała Bee. - Zamówiłaś coś chociaż?

- Tak, tę śliczną koszulkę - zademonstrowałam jedyną rzecz, której cena wydała mi się strawna. I tak musiałam wydać mnóstwo banknotów z nieżyjącymi prezydentami. Może Violet nie była „Małą Księżną” odpowiednią dla małych książąt, ale monarchie i tak wychodzą z mody.

- Dobrze, zjedzmy jutro razem lunch. Może podrzucisz Violet, by moja niania zaopiekowała się nią i Western? Powiedzmy w południe? Zarezerwuję nam stolik w La Goulue.

- Hm, okej, fajnie.

- To do jutra! - rzuciła Maggie, nie odrywając wzroku od wieszaka ze sweterkami w warkoczowe wzory.

...a po szaleństwie zakupowym...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliott: Chłopcy są o wiele lepsi, dziewczynki okazują się trudne i takie dzieciuchowate. Nie cieszysz się, że mamy chłopców?

Maggs10021: Och, oczywiście. Są kochani i kochają swoje mamusie.

BeeElliott: Dzięki Bogu za to, że urodzisz kolejnego. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam Talbotta Xaviera. Mam nadzieję, że gdy sama znajdę, to będzie chłopak.

Maggs10021: E tam, niech tylko będzie zdrowe...

BeeElliott: Nie, chcę jeszcze jednego chłopca. Wiesz, uwielbiam być jedyną kobietą w domu. Tylko ja i chłopcy. Nie zniosłabym biegającej po domu dziewczynki. Dziewczynki stają się oczkiem w głowie tatusiów.

Maggs10021: Ale są słodkie... Violet Allen jest absolutnie przesłodka.

BeeElliott: Tak uważasz? No nie wiem. Hannah potrafi być irytująca.

Maggs10021: Dlaczego?

BeeElliott: Widziałaś, że kupiła tylko jedną rzecz?

Maggs10021: I co z tego? Cieszę się na jutrzejszy lunch.

BeeElliott: Tak, obiecałam Parkowi, że przedstawię ją ekipie. Nie chcę tylko, by się do nas przyczepiła. Oby nie okazała się natrętna.

8

Kiedy pojawiłam się w mieszkaniu Bee o dwunastej, moim oczom ukazał się obrazek jak wyjęty z magazynu z wnętrzami: obfite wzorzyste draperie, zawalone poduszkami aksamitne kanapy, cudowne olśniewająco białe dywany. Moja Violet zdecydowanie zniszczyłaby to wszystko w sekundę. Przyzwyczajona była do nieco skromniejszych wnętrz.

- Coś pięknego - zachwyciłam się, szeroko otwierając oczy. - Jakie wspaniałe mieszkanie, Bee.

- Ach, dzięki. Huniford i Sills przerobili je dla nas w zeszłym roku - wyjaśniła.

- O, moimi dekoratorami są Karton i Pudło! - zażartowałam.

Nawet się nie uśmiechnęła.

- Cześć, Hannah - rzuciła Maggie, wychodząc z kuchni z litrową butelką wody Evian w rękę. - Idziemy?

- Cześć, Weston! - przywitałam się i poklepałam dziecko po główce.

Pokazał mi język i uciekł.

Uściskałam Violet na do widzenia i poczułam się winna, że zostawiam ją z obcymi, ale ona chciała już tylko czmychnąć do pokoju Westona.

W czasie lunchu Bee i Maggie przedstawiły mnie dwóm niespodziewanym współbiedniczkom: rudowłosej Hallet, podobnej do Julianne Moore, i przypominającej szkielet Larze z brylantowym pierścieniem wielkości lodowic

ska, na którym Sasha Cohen mogłaby wykonać potrójnego axla i zostałyby jeszcze mnóstwo miejsca na podwójny piruet.

Lara nosiła małe okulary bez oprawek i ręką przeczesywała grzywę platynowych włosów.

- Ach, moje włosy strasznie się skręcają. Dopiero co wyszłam z Fekkai, a już nic nie widać - narzekała.

- Nieprawda, wyglądasz pięknie - zaprzeczyła Bee, popijając mrożoną herbatę ze świeżą miętą. - OP. - Dopiero po kilku sekundach zorientowałam się, że chodziło o „oszałamiająco pięknie”.

- Moje raczej każdy w inną stronę - dodałam, wskazując falujące loki na swojej głowie.

Zero reakcji.

- Lila Allen Dillingham jest teściową Hannah - wyjaśniła Bee swoim kumpelkom.

- Ach, ona jest taka stylowa - westchnęła Hallie. - Modlę się, żeby w jej wieku wyglądać równie oszałamiająco.

Wcale jej nie powiedziałam, że jeżeli miałyby ochotę, zawsze może wybulić kasę na doktora Dana.

- Tak, zupełnie jakby zeszła ze stron „Vogue'a” - potwierdziłam za to. - Mam wrażenie, że zaniżam rodzinny współczynnik stylu. - Żadna nie zaprzeczyła. Panie przestudiowały menu i wszystkie jak jeden mąż zdecydowały się na sałatki z osobno podanym dressingiem. Nic dziwnego, że ważyły tyle, ile ich dzieci.

Kiedy zamówiliśmy lunch, siedziałam cichutko, prawie nie biorąc udziału w rozmowie o szkołach, klubach i ludziach, o których pierwszy raz słyszałam. Po jakimś kwadransie zebrałam już sporo informacji o towarzystwie. Plotkowały o mamusiowych sprawach - ostatnich narodzinach, brzydkich imionach, kto schudł, a kto w tym względzie miał przed sobą jeszcze długą drogę. Podczas

gdymy Bee zdecydowanie przewodziła, Lara, matka Maxwella, zarozumiale wygłaszała swoje opinie („to takie dziwne, kiedy kobieta nawet nie próbuje urodzić bez znieczulenia zewnątrzoponowego” - miała nawet słowa „naturalny poród” wygrawerowane w lewym dolnym rogu zawiadomienia o narodzinach jej syna Cartiera). Ciekawe, co pomyślałaby o tym, że jej przyjaciółka Bee zdecydowała się na cesarkę w połowie dziewiątego miesiąca. Znawczynie wszystkich trendów... Przypomniałam sobie, jak kilka lat wcześniej Bee prowadziła kampanię na rzecz ruchu Zbyt Wytworna Żeby Przec, konspiracyjnym szeptem tłumacząc mi, że jeżeli dam się otworzyć, Josh mi za to podziękuje. Do dzisiaj prześladowało mnie wpojone przez nią przekonanie, że teraz moja pochwa wielkością przypomina tunel pod rzeką Hudson.

A potem rudowłosa Hallie zaczęła mnie drażnić. Miała dwuletnią córkę Julię Charlotte. Nie Julię. Julię Charlotte. Podobnie jak Sarah Jessica, jedna z tych wielbicielek podwójnych imion, i to nie tylko wtedy, kiedy dzieci są niegrzeczne, jak powiedzmy: „Violet Grace, proszę zaraz przestać!”. Nic tylko: „Julia Charlotte być może wystąpi w reklamie Gapa” albo „Julia Charlotte jest absolutnie dwujęzyczna” i „Julia Charlotte okazuje się tak mądra aż strach”. Coś mi mówi, że mama Julii Charlotte, Hallie, jest wyjątkowo ambitna.

Kiedy tylko dowiedziała się, że obie mamy córki, zaczęła mnie bombardować pytaniami dotyczącymi statystyki. Jaki jest wzrost Violet na siatce centylowej? Jaka jest waga Violet na siatce centylowej? Jaki jest obwód głowy Violet na siatce centylowej? Podałam szybko te odpowiedzi, które znałam (naprawdę nie śledziłam takich rzeczy; mój lekarz w Kalifornii nie miał obsesji na punkcie wykresów, grafów i zestawień), a potem przyszło naj-

gorsze. Hallie zapytała, zupełnie poważnie, jaka była ocena Violet w skali Apgar. Najpierw musiałam się zastanowić, co to za diabeł, i wtedy przypomniałam sobie, że o testach przeprowadzanych tuż po porodzie czytałam w *Przewodniku po ciąży*, mojej biblii w czasie, kiedy zaciążyłam.

- Jezu, nie pamiętam - przyznałam całkiem szczerze.
- Wiem, że zabrali mi Violet, żeby umyć ją ze śluzu i położyć pod to coś do ogrzania - przypomniałam sobie. - Potem ją przynieśli i powiedzieli, że jest idealnie zdrowa.

- Ale czy osiągnęła idealny wynik? Bo Julia Charlotte dostała maksymalne dziesięć punktów. Całe dziesięć. To zabawne, że we wszystkim jest taka świetna!

Słabiutkie „och, super” to było wszystko, co udało mi się wystękać.

Potem Lara zaczęła rozwodzić się nad tym, jakież to utalentowany jest jej syn Maxwell.

- Mówię wam, dziewczyny, Maxwell jest taki mądry aż strach. Dosłownie, czasem mówi takie rzeczy, że się boję. Jego nauczyciel mandaryńskiego powiedział, że uczy się szybciej niż Azjaci! Jest strasznie mądry. Lepszy od azjatyckich dzieci!

Chyba każda matka w głębi serca uważa, że jej potomek jest najmądrzejszy i najwspanialszy, ale i tak nigdy nie wygadywałabym takich rzeczy. Nie posłałabym też malucha na zajęcia chińskiego, no chyba że przenosilibyśmy się do Hongkongu. Pomyślałam oczywiście o tych wszystkich słodkich i mądrych rzeczach, które mówiła Violet i które naturalnie zdawały się słodsze i mądrzejsze niż przechwałki Lary o tym, jak roczny Maxwell zapamiętuje sekwencję kolorów w widzialnym spektrum światła, albo że kiedy skończył dwadzieścia sześć miesięcy, opanował tabliczkę mnożenia. Po chińsku. I o co do cholery chodzi z tymi dwudziestoma sześcioma miesiącami? Nie mogła

po prostu powiedzieć: w wieku dwóch lat? Możemy dać sobie spokój z matematyką? W tym momencie nawet najprostsze dzielenie jest dla mnie problemem. Żadnych miesięcy. Dwa lata. Dwa i pół. Trzy.

- Moje drogie, Thatcher i ja obejrzeliliśmy wspaniały film w ten weekend - zaczęła Hallie. - Zatytułowany jest *Wspomnienia człowieka bez znaczenia*. Słyszeliście o nim?

- Ach, tak! Bardzo chciałabym go zobaczyć - powiedziała Bee, czym mnie zdziwiła. - Czytałam o nim w „Wall Street Journal”. Robi wrażenie mocnego.

- O tak! - zawołała Maggie. - To ten z Sundance zrobiony na iMacu za czterdzieści dolarów?

- Tak, to ten - potwierdziła Hallie. - Dwa dni płakałam, taki jest poruszający.

Nigdy nie słyszałam o tym dziele. Tak naprawdę to nie byłam nim wcale zainteresowana, nie orientowałam się w ostatnich głośnych przebojach kinowych, nie mówiąc o filmach dokumentalnych kina niezależnego. Te laski pewnie dużo czytały. Ja ostatnio miałam tak mało energii, że jedyne, co kartkowałam, to magazyny z modą i tandetne brukowce pełne plotek o gwiazdach. Moje towarzyszki byłyby przerażone, że wiem tak mało o dokumentach, a tyle o małżeństwie Britney i K-Feda, o tym, kto nagle utył albo jakie imiona dla dzieci były na topie w Hollywood.

- Słyszałam, że ten obraz jest druzgocący, po prostu porażający. Ale i bardzo prowokacyjny.

- To zabawne - wtrąciłam, starając się włączyć do rozmowy. - Tyłu ludzi poleca filmy, które im się podobają, ale zawsze są po nich tacy rozstrojeni. Jestem emocjonalnie niestabilna, więc nie oglądam ich, bo nie chcę się załamać.

Milczenie.

- Co masz na myśli? - zapytała Lara takim tonem, jak-
bym właśnie oświadczyła, że jadam robaki.

Spojrzenia czterech par oczu przewiercały mnie na
wylot.

- No, kiedy ktoś mówi, że coś jest niepokojące, to my-
ślę sobie, że to nie dla mnie. - Nerwowo wzruszyłam ra-
mionami. - Zwyczajnie nie mam ochoty płakać przez dwa
dni.

- Jakie to smutne! - zawołała zdziwiona Hallie, patrząc
na Bee, jakby zastanawiała się, jak do licha jej znajoma
mogła doprowadzić na ich lunch takiego gamonia. -
Masz na imię Hannah, tak?

Przytaknęłam.

- Nie chcesz, by cię coś stymulowało i prowokowało,
żebyś była lepszą matką dla swojego dziecka, kobietą
z mózgiem, a nie papką?

Moje serce waliło jak oszalałe. Dobrze, miałam pap-
kę zamiast mózgu, przyznam się. Ale nie byłam opóz-
niona.

- Od kiedy mam Violet, nie lubię denerwujących i tra-
gicznych rzeczy oraz przemocy - odparłam obronnym
tonem. - Może dlatego, że, no, urodzenie córki sprawiło,
że czuję się wrażliwa.

- Dobrze - ucięła Lara, wracając do swojego menu. - Jak
wolisz. Jeżeli chcesz „dobrze się czuć” i do końca życia
tylko siedzieć i oglądać *Shreka*, to proszę bardzo.

Aj.

- Cóż, chyba rozumiem, o co ci chodzi - powiedziałam
zraniona jej poniżającym komentarzem.

- Och, jest nasze jedzenie - zmieniła temat Maggie. -
Umieram z głodu.

Kiedy opowiedziałam Joshowi o swoim dniu, wydawał się zainteresowany - zwłaszcza gdy zacytowałam śmieszniejsze kawałki - ale kompletnie wykończony. Nowa praca wysysała z niego wszystkie soki, lecz wiedziałam, że radość z powrotu do domu przyćmiewała całą resztę. Widziałam tylko jeden problem: mnie się to nie podobało. Bardzo za nim tęskniłam. Mimo że w głębi duszy nie znosiłam Greenwich i czułam się zagubiona w posiadłości Lii, byłam szczęśliwa, że rodzina jest znowu w komplecie.

Ale w sobotę rano, po przebudzeniu, kiedy Violet skakała po naszym łóżku, a potem Josh bawił się z nią w „łatającego malucha” (kładał ją sobie na uniesionych stopach, a ona chichotała), nie mogłam zapomnieć o ściskaniu w żołądku. Gdybym grała w filmie, najlepszą muzyką do tej sceny byłyby odgłosy towarzyszące śmierci Ms. Pac-Man, stworka z gry komputerowej: ciche gaśnięcie, a potem put-put i żółte biedactwo znika. Wsiadliśmy do naszego rozklekotanego volvo i podjechaliśmy do Connecticut, mojego najmniej ulubionego ze wszystkich stanów. Pieprzona *Burza lodowa*. Po drodze się zatrzymaliśmy, żeby kupić bajgle, i zrobiliśmy zapas węglowodanów na drogę - zawsze robiłam zapasy, bo Dillinghamowie byli tak megaskąpi, że w ich lodówce znaleźć można było jedynie sałatkowy dressing i butelki białego wina, serio. Pogłaskałam Josha po słodkiej główce; wyglądał uroczo, chociaż wiedziałam, że wciąż był zmęczony. Podkręciliśmy radio ze stacją K-Rock,

a kiedy zjechaliśmy na FDR Drive i jak zwykle duży ruch na Dziewięćdziesiątej Szóstej zmusił nas do ograniczenia prędkości, nastawiłam głośność na jedenaście i w stylu kapeli Spinal Tap „tańczyłam” na fotelu do piosenki Nine Inch Nails. Josh uśmiechnął się, a ja jak oszalała rzucałam głową i „grałam” na perkusji jak Zwierzak z Mapetów. Wybrałam sobie bajgla i otworzyłam sok jabłkowy. Ach... Nektar bogów. Jak płynny miód.

Po drodze karmiłam męża kawałkami bajgla. Jechaliśmy dosyć szybko i moja ukochana stacja radiowa zaczęła zanikać na Merritt Parkway. Wiedziałam, że jesteśmy w Creepsville, Suburbia, gdy dźwięki piosenki Thoma Yorke'a umilkły. Tak się zawsze działo, kiedy ta paskudna pirania pojawiała się w mojej głowie i zaczynała podgryzać moje poczucie wolności - zanikająca muzyka nieodzwonnie oznaczała, że dotarliśmy na miejsce. Wjechaliśmy na kręte drogi prowadzące do rodzinnego domu Josha. Zawsze wolałam jeździć tam zimą - wtedy chociaż bezlistne, ponure drzewa dawały po oczach na tle zimowego nieba jak kadr z filmu Tima Burtona, wyraźne, zuchwałe i dumne, nie tęskniące za swoimi banalnymi i niezręcznymi zielonymi liśćmi, które teraz tworzyły nad nami usychający, zielony baldachim.

Wjechaliśmy na wielki podjazd i zaparkowaliśmy, a moje serce waliło jak oszalałe. Wyjęliśmy rzeczy z bagażnika, uwolniliśmy Violet z jej fotelika i zapukaliśmy do ogromnych, podwójnych drzwi wielką kołatką w kształcie lwiej głowy. Otworzyła nam śliczna Latynoska w czarno-białym stroju pokojówki. Pani Dillingham zmieniała „pomoc” (jak nazywała służbę) tak często, że Josh i ja nigdy nie zdołaliśmy zapamiętać imion - wszyscy ci ludzie byli dla nas wyprasowanymi i wykrochmalonymi mundurkami.

- Witajcie! - zawołała Lila, schodząc **po** olbrzymich, białych, marmurowych schodach. - Josh, mój aniołku, chodź do mnie. - Podeszła do niego i uściskała go, kompletnie mnie ignorując. - Violet, kochanie, masz na sobie nową sukienkę! Wyglądasz bosko!

- Pani Dillingham! - Śmieszne, ale wciąż nie wiedziałam, jak się do niej zwracać. Mnie nigdy nie poprosiła, bym nazywała ją Lila, to było wolno tylko Violet. Dlatego zwykle mówiłam „cześć” albo „dzień dobry”, próbując dostosować się do okazji.

- Wiesz, Hannah - zwróciła się do mnie zaniepokojona - powinnaś oddać mi pięć dolarów. Wczoraj wieczorem wypożyczyliśmy ten film, który nam poleciłaś, o tym kubańskim poecie. Był horrendalny. Po prostu okropny! Najbardziej przygnębiający, jaki znam.

- Och... przykro mi. - Nie wiedziałam, co powiedzieć. - Według mnie był smutny, ale genialnie zrobiony. - Przełknęłam ślinę i brnęłam dalej: - Nie żebym była filmowym ekspertem, to znaczy wiem, że zabrzmiało pretensjonalnie, ale został tak wspaniale nakręcony. Każdy kadr mogłabym oprawić i powiesić na ścianie.

- Nie na ścianie w moim domu - zadrwiła. - Chodźmy na górę, rozpakujesz się - oznajmiła, patrząc tylko na Josha, który spojrzał na mnie i puścił oczko, bo wiedział bardzo dobrze, że mam ochotę pogruchotać jej to kościaste ciało.

Kiedy się rozpakowaliśmy, Lila zapytała, czy nie mamy ochoty pojechać z nią do „domu towarowego” i pomóc w sprawunkach. Dorastałam w mieście, więc miałam obsesję na punkcie centrów handlowych, które tylko pani Dillingham nazywała „domami towarowymi”. Broń Boże nie nazwałaby ich centrami handlowymi. Nie mogłam się doczekać opuszczenia tej posiadłości - już **po** godzinie

poczułam ogarniającą mnie panikę, jak Diane Keaton schwytana w pułapkę w posiadłości rodziny Corleone w *Ojcu chrzestnym II*.

Kiedy dotarliśmy do centr... przepraszam, do domu towarowego, obeszłam sklepy, napawając się ludźmi i aromatami z licznych restauracji. Kupić sobie gigantycznego precla z cynamonem czy torebkę frytek? Uwielbiam też jedzenie na patyku, a wybór był duży. Ogromną przestrzeń wypełniał pulsujący tłum papierowych torebek, serwetek i gęstego sosu, który pachnie apetycznie, gdy umierasz z głodu, i równie upajająco, kiedy jesteś pełna. Wiecie, jak się sączy ocet do tej intensywnej, megapotężnej pasty? Centra handlowe są balsamicznym modelem samej Ameryki, trójwymiarowym kawałkiem życia, od starych ludzi, którzy przychodzą, by nacieszyć się klimatyzacją, i spacerują ubrani w swoje szykowne ciuchy, po „hałaśliwych młodzieńców”, którzy, też elegancko ubrani, rozrabiają i latają za spódniczkami. Violet była wniebowzięta, kiedy wręczyłam jej gorące ciastko. Pochłonęła je w rekordowym tempie, na dowód pożarcia smakołyku rozsmarowując czekoladę po całej buzi. Właśnie miałam pójść po serwetkę, gdy zza rogu wyłoniła się Lila i zobaczyła ten cały bałagan.

- O Boże, Hannah, naprawdę, czy ona musi objadać się słodyczami o tej porze?

- Była głodna, a tutaj jest tyle tego wszystkiego, że nie miałam serca jej żałować - broniłam się.

- Jedzenie między posiłkami to zły zwyczaj, nie powinnaś na to pozwalać...

- Mamo, wyluzuj - przerwał jej Josh obładowany nową suszarką matki i torbami z apteki. - Wszystko okej! - Rzucił mi współczujące spojrzenie i uśmiechnął się. Ale nawet fakt, że był po mojej stronie, nie osłodził mi gorzkich komentarzy.

Wróciliśmy do samochodu, bo przyszedł już czas na prysznic i przebranie się do urodzinowego obiadu Lili. Byłam nakręcona, ponieważ w torbie chowałam coś, co miało stopić lód z jej serca, kartę atutową synowej, której nie mogła się spodziewać - idealną, lśniącą, srebrną ramkę od Tiffany'ego z ręcznie wygrawerowanymi inicjałami. A w ramce umieściłam prześliczne zdjęcie Josha z Violet na ręku. Beze mnie, tak jak by chciała. W roli wisienki na torcie występowała Violet ubrana w bluzeczkę z zaszewkami od Ralphi Laurena, prezent od Lili. Muszę przyznać, że uważałam to za doskonały podarunek. Ramka była pioruńsko droga, ale pomyślałam, że może okazać się czymś w rodzaju inwestycji. No wiecie, może wreszcie teściowa przestanie mnie traktować jak piąte koło u wozu. To by było warte tych pieniędzy. Teraz musiała mi trochę odpuścić!

Poszłam do swojego pokoju, żeby się ogarnąć w stylu Greenwich, czyli ulec całkowitej transformacji. Pełna metamorfoza, bardziej spektakularna niż ta, którą przeszedł Jeff Goldblum w filmie *Mucha*. Zabawnie było mieszkać teraz z Joshem w jednym pokoju. Kiedy składaliśmy tu pierwszą wizytę, dostaliśmy osobne sypialnie i tak bardzo bałam się jego matki, że dosłownie zabroniłam Joshowi zakradać się do mnie, bo nie chciałam, żeby Lila użyła przeciwko mnie argumentu „Hannah-to-dziwka”. Teraz spakowałam same grzeczne ciuchy i nawet wrzuciłam do torby nową (ach!) przepaskę na włosy. Czułam się jak zdrajca. Kolory większości moich ubrań to czarny, grafit i czekoladowy brąz, więc mama mówi, że ubieram się jak sycylijska wdowa. Trudno odmówić jej racji, ale w końcu mam cycki i tyłek, a ciemne barwy wyszczuplają. Założyłam nową sukienkę w kolorze czerwonego wina (zamierzam się w niej rzucać w oczy!).

- Wyglądasz slicnie, mamusiu! Slicna sukienka! - krzyknęła Violet, sama wystrojona jak królowa. - Biedactwo, była przyzwyczajona do oglądania mnie w czarnych dżinsach i małych koszulkach i nawet ta zwyczajna kiecka musiała się jej wydawać balową suknią Kopciuszka.

Kiedy zeszliśmy na dół, Lila zareagowała zupełnie inaczej niż jej wnuczka.

- Och - westchnęła, a jej blada umalowana twarz nasyłała mi na myśl kartkę papieru. - Tak masz zamiar być ubrana?

Przejrzałam się w lustrze. Miałam gdzieś dziurę? Rozpruty szef? Zagniecenie? Plamy od miesiączki? Widać było tyłek?

- Hm, tak, chciałam... Dlaczego?

- Nie wiem, ja tylko... Dajmy spokój.

- Nie, o co chodzi?

- Mówiąc szczerze, pomyślałam, że może powinnaś włożyć... jeden z moich kostiumów? Ta sukienka jest nieco... nie, w porządku, w porządku. Naprawdę.

Zbiła mnie z tropu.

- Och, okej, no to... co mam robić? Mam jeszcze jedną sukienkę, ale...

Josh właśnie schodził, zapinając spinki u mankietów, i zapytał, co jest grane.

- Właśnie miałam pobiec na górę i się przebrać... - wyjaśniłam.

Przełknęłam ból i wściekłość i poszłam na górę. Kiedy wróciłam odziana w rezerwowy zestaw, Lila, jak zwykle w stylu kwiatowo-pastelowym z narzuconym szalem z paszminy, powoli zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem.

- Hm. Jak zwykle czerń - zauważyła.

Mam nadzieję, że umrze straszną śmiercią. Mam nadzieję, że jakiś dźwign na budowie spadnie na nią i ją zabi-

je. Pójdę do piekła. Okej, Hannah, przestań życzyć swojej teściówce śmierci.

Spuściłam wzrok, kiedy potargała Joshowi włosy i delikatnym ruchem zdjęła nitkę z jego kłapy. „Ona naprawdę nienawidzi innych kobiet” -pomyślałam. Obecność drugiej macicy w tym samym pokoju po tych wszystkich latach sprawia, że jej odbija. Była jedną z tych, które potrafią nawiązywać więź tylko z mężczyznami, kobiety stanowią dla nich wyłącznie konkurencję. Znałam ten typ i zawsze się go bałam. Kim, kurwa, jest ta suka, żeby krytykować moje ubranie? Niech sobie nosi swoje markowe szmaty, moim zdaniem są totalnie aseksualne i ohydne. Od jej palety kolorów zbierało mi się na wymioty. Może i nosiłam się jak wdowa, ale czerń jest lepsza niż te wyblakłe, podrabiane odcienie. Seledynowy. Łososiowy. Koralowy. Sraczka.

Pan Dillingham zatrąbił na zewnątrz i wszyscy wpakowaliśmy się do samochodu typu kombi. Mimo protestów męża zaproponowałam, że usiądę na fotelu na samym końcu, podczas gdy Josh zajmie miejsce z Violet na tylnym siedzeniu. Mój królewski prezent miał złagodzić surowy wyraz jej twarzy, jak tylko otworzy małe, markowe, niebieskie pudełeczko. Czułam, że zostanę wówczas przyjęta do rodziny i zaśpiewam piosenkę z *Małej syrenki*... Kiedy ruszyliśmy, Lila zaczęła swoją gadkę na temat restauracji, w których zamówiła stoliki na ten wieczór. Zawsze niezmiernie mnie dziwiło, że za każdym razem robiła rezerwacje w trzech miejscach i w ostatniej chwili decydowała się na jedno z nich w zależności od nastroju wszystkich zainteresowanych. Jak można być tak pokreconym i samolubnym? Czasem nawet nie odwoływała pozostałych rezerwacji! To jakieś nowe wcielenie egoizmu. Nikt się nie liczy, tylko ona i oczywiście jej „anioo-oolek”.

- Mamy ochotę na The Bank w New Canaan czy Mediterraneo w Greenwich? Zarezerwowałam też Saku-

- Och, uwielbiam Sakurę - powiedział Josh.

- Cokolwiek zechcesz, kochanie,

- A ty, Hannah, dokąd chcesz pójść? - zapytał mój mąż.

- Och, hm... niech twoja mama zdecyduje, to jej urodziny.

- Nie, nie, ty wybierz, Hannah - rzuciła. - Ty najbardziej lubisz jeść.

Mam nadzieję, że lina windy, którą będzie jechała, trząśnie, a ona spadnie i zdechnie. Powiedziałam to głośno? Nie, dobrze, już w porządku.

- Nie wiem, wszystkie są świetne - odparłam. Cisza.

- To może, hm, tak, Sakura jest fajna, podobają mi się kucharze przyrządzający jedzenie przy stolikach.

- To się nazywa *hibachi* - wyjaśniła teściowa, jakby urodziła się w Kyoto. - Dobrze, skoro tego chcesz.

- Mnie wszystko jedno, pomyślałam tylko, że Josh...

- Cóż, jeżeli Hannah ma na to ochotę, świetnie. Wicie, tamtejsze jedzenie zawiera mnóstwo soli. I tak nie jestem głodna - oznajmiła Lila, wruszając ramionami.

Pasywna agresja tej pani sprawiała, że chciałam ją walnąć. Kilka razy, kiedy wyraziłam opinię czy chęć - w tym przypadku chodziło o restaurację - jej postępowanie wywoływało u mnie pragnienie ukrycia się gdzieś na następne trzydzieści lat.

- Nie, nie, mam... Watts, jedźmy do Greenwich, wiem, że mama uwielbia Mediterraneo - powiedział Josh, spoglądając na mnie z uśmiechem i przewracając oczami.

- Okej, jeżeli tego chcesz, kochanie.

Lila zawsze dostawała to, czego pragnęła. Udawała, że troszczy się o innych, ale powoli manipulowała nimi tak, że wreszcie osiągała swój cel. Pasywna agresja.

Dotarliśmy na miejsce, nawiasem mówiąc, nic specjalnego, i do tego ona prawie nic nie zeżarła, przeciwniczka jedzenia, przeciwniczka życia, zombi z *Nocy żywych trupów* - oto czym była. Zawsze porównywałam pasję przy stole z pasją w wyrku. Bez wątpienia Lila była totalnie zimną rybą. Oczywiście ledwie tknęła swoje szparagi z sosem winegret podanym osobno. Violet zjadła przystawkę, a potem, jak to maluch, zaczęła się nieco wiercić i Lila spozrzała na mnie, jakby chciała powiedzieć: „idź z nią na mały spacer”. Josh zaproponował, że wstanie, ale pomyślałam, że na chwilę zostawię go z mamą i Wattsem, poza tym zabiłabym za minutę z daleka od stolika. Razem z Violet przespacerowałyśmy się wzdłuż Greenwich Avenue do pierwszej przecznicy i wróciłyśmy do zatłoczonej restauracji. Wystrój był bladobrzoskwiniowy i różowy, czułam się, jakbym jadła obiad w gigantycznym pudełku po tamponach. Okręciłam moje raczej nie *al dente* cappellini na widelcu za pomocą łyżki we włoskim stylu i w nagrodę dostrzegłam błysk zainteresowania w oczach Sopla Lodu, a po makaronie Lila zaczęła otwierać prezenty. Nareszcie: moment mojego odkupienia.

Odpakowała podarunki, dodam, że bez przyjemności (kolejne odniesienie do sytuacji w sypialni). Ja robiłam to w stylu Freddy'ego Kruegera: drąc papier, rwąc wstążki, wybałuszając oczy, z uśmiechem podekscytowania i wylewnymi podziękowaniami. Lila otwierała każde pudełko, jakby spodziewała się znaleźć w nim strzykawkę albo bombę domowej produkcji. Watts ofiarował jej brylantowe kolczyki Van Cleefa i weekend w Cliveden. Od nas dostała kupiony przez Josha szal od Hermesa i wreszcie

miała sięgnąć po mój prezent; niebieska sygnowana torba już przyciągnęła jej wzrok i wywołała uniesienie wyregulowanej brwi. Kiedy rozwiązywała klasyczną wstążkę Tiffany'ego, moje serce waliło szybko, Kirstie Alley przed dietą wiedziałyby, o czym mówię, po wejściu na pierwsze piętro. Lila spojrzała na ramkę; Watts i Josh, którzy jej wcześniej nie widzieli, rozpływali się w ochach i achach. Violet zachichotała.

- To ja i tata! - Uśmiechnęła się, małym paluszkciem wskazując na zdjęcie.

Lila ledwie zerknęła na fotografię.

- Och, spójrzcie na to piękne ujęcie, to ja dałam Violet ten strój - powiedziała i włożyła ramkę z powrotem do torebki. - A teraz może zaszalejemy i zamówimy deser?

Żadnego „dziękuję”, nic! Teraz nie kryłam już wściekłości. Watts przestudiował menu z łakociami i zdecydował się na jeszcze jedną whisky z lodem, a reszta rodziny dostała Evian.

Następnego dnia rano obudziłam się strasznie smutna. Zawsze miałam w gardle gulę wielkości śliwki, kiedy odwiedzałam Dillinghamów, bo ich dom wydawał mi się tak przytłaczający i dziwaczny, że zaczynałam potwornie tęsknić za swoją rodziną. Może rzeczywiście jestem typem z Zachodniego Wybrzeża i nie nadaję się do tych klimatów napuszonego północnego wschodu.

Josh obudził się i dał mi słodkiego całusa. Kochałam go aż do bólu. Nasz wspólny, rodzinny weekend miał się za chwilę skończyć, kiedy Josh wróci do pracy następnego dnia rano. Włazł na mnie i mnie pocałował, zamierzając sięgnąć mi koszulkę, ale nie byłam w nastroju.

- Kotku, nie...

- Han, ten dom jest cholernie duży! Nie usłyszą nas. Watts i tak nosi aparat słuchowy.

- Nie o to chodzi, po prostu nie mogę. To zbyt dziwaczne. Twoja mama na pewno wszędzie zainstalowała podsłuch, aby się upewnić, że nie robię nic nieprzyzwoitego z jej aniołkiem.

Zaśmiał się, pokonany, i zsunął się ze mnie.

- Dobrze. Chodźmy zrobić naleśniki.

Wyjęliśmy Violet z łóżeczka i zeszliśmy na parter, gdzie Lila i Watts w swojej wyłożonej drewnem jaskini gapili się na *This Week*, jako że rutynowo oglądali kilka niedzielnych programów informacyjnych. Zjedliśmy brunch, któremu towarzyszyły zawzięte dyskusje na temat polityki (Lila i Watts byli oczywiście zatwardziałymi pravicowymi republikanami), a potem wsiedliśmy do samochodu, żeby wrócić do Nowego Jorku. Dzięki Bogu. Kiedy opuszczaliśmy podjazd, moje serce skakało z radości, a trzeszczący pod kołami żwir brzmiał jak ten utwór Mozarta w *Skazanych na Shawshank*. Odrobina wolności, która przywraca nadzieję.

Następnego dnia pocałowałam męża na do widzenia o szóstej rano, a potem z trudem zwlokłam się z wyłka, żeby przygotować śniadanie na ósmą. Na stole w kuchni znalazłam uroczą wiadomość od Josha z nowymi tytułami pornosów: *Władca penisa*, *Masz ogon*, *Posuwanie Johna Malkovicha* i, mój ulubiony, *Krokodyl Weż-mnie*. Uśmiechając się, usiadłam z Violet do naszej boskiej uczyty składającej się z płatków Cheerios. Spojrzałam na pudełko i pomyślałam o Lili, jej młodszej wersji Bee, jej przyjaciółkach oraz ich bezwęglowodanowej polityce i zakazie jedzenia produktów zbożowych. Przy lunchu tydzień temu Hallie i Lara dyskutowały o swoich zajęciach z organicznego gotowania dla mam i o tym, jak przygotować zdrowy posiłek dla dzieci. Oczami wyobraźni ujrzałam, jak linczują mnie za to, że karmiłam Violet słóiczkami Gerbera, kiedy była malutka. A te wszystkie słone precle i krakersy w kształcie złotej rybki, których zapachy wachała? Dożywocie w Piekielnym Kręgu dla Wyrodnych Matek. W ich mniemaniu zakazany paluszek z kurczaka był równie szkodliwy jak działka koki.

Na ekranie pojawił się Grover. Violet zaczęła wołać: „Gova! Gova!”, a ja karmiłam ją nielegalnymi pszennymi kółeczkami grzechu. Dzisiaj Grover leciał do Peru, wybierał się do wioski małych wytwórców cegieł. Gorące, równikowe słońce wypalało mieszanki błota wlewane przez dzieci do idealnie prostokątnych form. Czysta for-

ma i prostota cegieł oraz budowanych z nich domów podziały na mnie kojąco i dały motywację do tego, żeby zrzucić szlafrok i ubrać się, a następnie zabrać Violet na spacer. Wcześniej, na żądanie Maggie i Bee, zapisałam się z nią na zajęcia z muzyki, ale miały się zacząć dopiero za kilka tygodni. Szukając sobie czegoś do roboty, postanowiłam, że pójdziemy do Metropolitan Museum. Może tam znajdziemy jakieś miłe i chłodne miejsce do zabawy, zamiast stresującego placu zabaw z ławkami i plotkami matki alfa.

Dowiedziałyśmy się, że dzisiejszy program sponsorowały literka D i cyferka 7, włożyłam Violet do wózka i poszłyśmy do cudownego muzeum przy Piątej Alei pod numerem 1000. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam o tym adresie, pomyślałam, że jest *cool* i pewnie nikt go nie zna. Violet wyciągnęła rączki w stronę fontanny przed muzeum, krzycząc: „Mamusiu, woda, woda!”. Wjechałyśmy, korzystając z wejścia dla niepełnosprawnych, i skierowałyśmy się do głównej sali. Nieporęczny wózek i wąski podjazd sprawiają, że zaczynasz zdawać sobie sprawę z tego, jak to naprawdę jest być inwalidą. I nikt nie pomaga ci otworzyć drzwi, a już na pewno nie faceci. I to tyle w kwestii rycerskości.

- Jeju! - wykrzyknęła Violet na widok tej boskiej przestrzeni.

- Violet, kochanie, to jest Metropolitan Museum, jedno z najwspanialszych miejsc na świecie. Chcesz iść obejrzeć obrazy?

-Tak! Oblazy!

Violet polubiła sztukę. Zawsze pytałam, co widzi. W morzu kolorów odnajdywała słońce albo twarz, moim zdaniem jak na takiego malucha miała niezłe oko. Poszłyśmy na górę do galerii Starych Mistrzów. Po raz pierwszy

w Nowym Jorku poczułam się prawie jak w domu. Obrazy były niczym starzy przyjaciele, którzy witają mnie w nowym mieście, a ja aż drżałam z radości. Spacerowaliśmy pasażami, upajając się płótnami van Eycka, Breughla i Tycjana. Otaczał mnie kojący spokój. Spokój, który znikł, kiedy usłyszałam jego głos.

- Panna Hannah Greene. A raczej pani...

- Allen - mruknęłam, prawie się dusząc. - Profesor Hayes.

- Chyba możesz mi mówić Tate, w końcu ile to już lat temu skończyłaś Berkeley, dziesięć?

- Zgadza się. - Uśmiechnęłam się, spoglądając na Violet.

Nie rumień się, nie rumień się, nie rumień się...

- A kim jest ten uroczy aniołek?

- To Violet! - Zaczęłam się czuć, jakbym znowu była zdenerwowaną studentką pierwszego roku. - Violet, to Tate Hayes. Doktor Hayes.

- Cześć - przywitała się, wyciągając rączki, by go przytulić, to jej nowy zwyczaj. Objął ją z radością.

- Słyszałam, że ponownie się ożeniłeś - powiedziałam. - I masz dwóch malców?

- Tak, dwóch chłopców, cztery i sześć lat.

- Profesol Ayes - zaczęła go Violet z promiennym uśmiechem. Bezwstydnie z nim flirtowała. Zabawne, wyczuwała, kogo lubiłam, a kogo nie znosiłam. Bezbłędnie, kiedy wpadłyśmy na kogoś, kogo nie trawiłam, krzywiła się i nie chciała się przywitać. A teraz była córeczką swojej mamusi, gruchała jak gołąbek, gdy moja dawna miłość pochyliła się i delikatnie pogłaskała ją po policzku.

- Posłuchaj, Hannah - zaczęła i cała zamarła na dźwięk mojego imienia w jego ustach. - Muszę lecieć, ale bardzo chciałbym się spotkać i pogadać. Dasz mi swój telefon?

Wyrecytowałam numer, który zapisał eleganckim długopisem w małym notesie oprawionym w skórę koloru koniaku.

- 415, tak?

- Tak, jestem tu prawie miesiąc, a trzymam się pewnych rzeczy, jakby zależało od nich moje życie. Nie mogę się przyzwyczaić do nowego numeru kierunkowego.

- To rozumiałe. - Zachichotał i wyjął z kieszeni starą komórkę wielkości cegły. - Zawsze 415.

Uśmiechnęłam się.

- Zadzwoń. Może obejrzymy razem wystawę sztuchów u Morgana.

- Świetnie.



W domu, wciąż nieco poruszona, zadzwoniłam do Joshua. Jednocześnie gotowałam jajka dla Violet, bo - frajerka - przypomniałam sobie o obiedzie, dopiero gdy przyszedł czas coś przegryźć.

- Cześć, słonko! - rzuciłam.

- Cześć - odpowiedział przyciszonym głosem. - Han, przepraszam, mam tu kilka osób, czy mogę...

- Jasne, pewnie.

Klik.

Półtorej godziny później Violet zaczęła płakać za tatą, a Joshie jeszcze się nie odezwał. Zadzwoiłam ponownie, czując się jak paparazzo prześladowca, ale żeby zachować

zdrowe zmysły, musiałam poznać szacowany czas przybycia męża.

- Halo? - rzucił wyraźnie zestresowany.

- Cześć, słonko, przepraszam, że cię męcę, ale...

- Kochanie, naprawdę jestem bardzo zajęty, właśnie dowiedziałem się, że jutro mam prezentację i potrzebuję jeszcze kilku godzin.

- Kilku godzin? - nie wierzyłam własnym uszom.

- Przykro mi, kotku, nic na to nie poradzę. Robię to dla nas.

- Wiem, wiem.

Powiedział, że mnie kocha, czym mnie pocieszył, ale kiedy odłożyłam słuchawkę, poczułam powracający chłód samotności.

Ukołysałam Violet do snu za pomocą książeczki *Goodnight Moon*. Znałam ją już na pamięć, a mała odnajdywała myszkę na każdej stronie. Zaśpiewałam córeczce kołysankę i wymknęłam się po cichu. Oczywiście kilka kroków na paluszkach w korytarzu i ryk:

- Mamusiuuuuuuuuuu!

Wróciłam do niej, położyłam się na podłodze obok łóżeczka i jeszcze pośpiewałam. Kiedy skończyłam i zaczęłam powoli się podnosić, usiadła nagle i z desperacją malującą się na małej buźce patrzyła przez szczebelki białego łóżeczka. Zobaczyła, że wciąż jestem przy niej, więc się położyła. Josh zawsze był ekspertem w tych sprawach, usypiał ją swoim łagodnym głosem, uspokajającym, ale stanowczym. Sprawiał, że Violet, jak i ja, czuła się bezpieczna. Mistrz układania do snu wychodził z pokoju naszej córki, zostawiając ją oddychającą głęboko i spokojnie, pogrążoną w głębokim śnie.

U mnie z kolei proces trwał godzinę - mała tak protestowała, kiedy kładłam ją do łóżeczka, że kopała mnie

nózkami i drapała ostrymi paznokciami stópki wcale nie jak aniołek, ale jak Wład Palownik. Wykańczała mnie i zwykle kazała mi kłaść się obok niej na podłodze, co robiłam, po czym zasypiałam. Budził mnie jej głęboki oddech, te niewidoczne westchnienia dochodzące z jej małych płuczek.

Kiedy się położyłam - po telefonie do Leigh i raporcie na temat Tate'a Hayesa - zegarek wskazywał wpół do dwunastej. Chciałam poczekać na Josha, ale jak tylko zamknęłam oczy, zaczęłam się zastanawiać, jakie mam szanse na spotkanie z profesorem Hayesem. Podniecała mnie ta myśl, wciąż czułam to drzenie. Nigdy, prz e n i g d y nie zdradziłabym Josha, nawet nie spojrzełabym na innego, ale ten nauczyciel, ten mędrzec - nie, raczej guru - tkwił na piedestale od czasów studiów. Razem z Leigh nazwa-
liśmy go pan MNW - Miłość Na Wieki. Ale może Leigh się nie myliła - oboje zawarliśmy już związki małżeńskie i mieliśmy dzieci, więc sytuacja wydawała się bezpieczna. Robił wrażenie szczęśliwego i przyjacielskiego, chyba mogliśmy więc spędzić razem miłe, intelektualnie stymulujące popołudnie. I nie musiałabym oglądać żadnego „przygnębiającego” filmu albo zmuszać się do porzucenia „Vogue'a” na rzecz usypiającego „Wall Street Journal” tylko dlatego, że, podobnie jak przyjaciółki Bee, próbowałam dowiedzieć się wszystkiego, co właśnie działo się na świecie. Może spotkanie z nim i wsłuchanie się w moje bardziej awanturnicze ja pomogłoby mi zapomnieć o statusie mamy czującej się nieswojo w Nowym Jorku. Może sztychy u Morgana to było właśnie to, co przepisałby lekarz.

Profesor Tate Hayes, taki trochę Indiana Jones, był mężczyzną, na którego widok wszystkie studentki prawie mdlały, nawet gdy ze spuszczoneymi oczami wychodziły z sali. Wysoki, z jasnobrązowymi lokami, nosił małe okulary w złotych oprawkach i ubranie w stylu angielskiego dzentelmena, co zdawało się wyjątkowo seksowne, bo tweedowo-akademicki front zdradzał ogień płonący pod pasiastą koszulą i szytym na miarę garniturem. Powiedzenie, że był wielbiony przez moje przyjaciółki, okazałoby się niedomówieniem - Leigh i ja miałyśmy na jego punkcie bzika, a ja sama na pierwszym roku prawie zaczęłam za nim łązić po tym, jak zobaczyłam go na otwarciu wystawy w Nob Hill, na której trzymał za rękę młodą rzeźbiarkę. Ale to nie jego zielone oczy i dumny krok sprawiały, że po zajęciach z nim miałyśmy mokro w majtkach, nie, chodziło raczej o to, jak mówił. W całym wszechświecie nie było drugiego takiego jak on.

Na pierwszym roku uczył mnie analizy sztuki. Zajęcia prowadził z Bianką Pratt, seksowną panią profesor, z którą, jak wszyscy wiedzieli, miał romans. Plotka głosiła, że ten ognisty i burzliwy związek zakończył się, gdy celując w niego, wyrzuciła przez okno alabastrowe popiersie - rozpadło się na kawałki na Fillmore Street.

Wiedziałam, że dawno temu rozwiódł się ze swoją miłością z podstawówki, teraz zaś miał nową żonę i mieszkał w Londynie. Nie był typowym playboyem, żaden umięś-

niony pajac z kijem do lacrosse nie mógłby pochwalić się doktoratem z Yale i umową na trzy książki. Już na pierwszych zajęciach zrozumiałam, że moją specjalizacją zostanie historia sztuki. Wiele zajęć na Berkeley stanowiły wykłady prowadzone przez dziwacznych i zgorzkniałych studentów ostatniego roku, a wszelkie indywidualności tłamszono. Na wydziale historii sztuki w mojej grupie znajdowało się dwudziestu ośmiu studentów. To małe, kameralne grono brnęło przez studia pod czujnym okiem legendarnych profesorów. Ale żaden z nich nie mógł się równać z Hayesem. W wieku trzydziestu czterech lat był najmłodszym wykładowcą na wydziale, a jego kultowy status uczynił go niemal gwiazdorem w kampusie, przynajmniej wśród dziewczyn.

Jednak to nie jego akademicka i analityczna moc tak mnie osłabiała, ale fakt, że sam był artystą. Malował - słowami. Na każdych zajęciach moczył miękki i precyzyjny pędzel swojego melodyjnego, śpiewnego głosu w głębokich, spektralnych kolorach palety, czerpał ze słownictwa opatentowanego hayesizmu.

Na obrazie przedstawiającym scenkę rodzajową z hałaśliwymi, wzburzonymi bywalcami baru wskazywał „bez-nogie kaleki baraszkujące o kulach” i „bestialskiego wieśniaka odurzonego alkoholem, obłąpiającego kobiety w karnawałowej, szaleńczej, podobnej Falstaffowi pogoni za ziemskimi przyjemnościami”. Studium ptaka ukazane z trzech różnych stron było „bezkompromisowo precyzyjnym, neutralnym spojrzeniem na życie pulsujące w każdym pierzastym włóknie”. Według Hayesesa „serce biło w niebieskiej piersi, jakby obraz krzyczał »uwierzcie mi!«”.

Tego wieczoru, kiedy czekałam, aż Josh wróci z pracy, łóżko zmieniło się w prowadzony przez Michaela J. Foxa wehikuł czasu. Moje zwykle niespokojne i samotne ja zo-

stało kinematograficznie przeniesione dziesięć lat wstecz, na pierwszy rok. Ponownie przeżyłam wszystkie zajęcia z Hayesem i nasze wspólne chwile, kiedy pisząc swoją pracę, coraz lepiej go poznawałam. Był to kojący spacer po przeszłości - odpłynęłam do lat spędzonych na studiach, do bezpiecznego schronienia, do miękkiej, zamglonej strefy pierzastej nostalgii.

- Poproszę o następny slajd - powiedział profesor do operatora projektora i kiedy maszyna wyświetliła kadr, naszym oczom ukazał się promienny pejzaż pędzla Ruisdaela. Za każdym razem, kiedy Hayes widział nowy slajd, wyglądał jak facet pijany miłością od pierwszego wejrzenia do dziewczyny, która za kilka godzin miała wylądować w jego łóżku. Oddychał głęboko, pijąc bezmiar kolorów i ciepło dyszących wierzb płaczących, głębię falujących, pokrytych wrzosowiskami pagórków, a potem wypuszczał powietrze, prawie podniecony.

- Ten przestrzenny, mokry pejzaż cechuje owa poryjająca, transcendentalna, wibrująca zieleń - opowiadał, niemal pieszcząc kolor wskaźnikiem. - Wirujące ruchy stapiają opis z inwencją, gdy artysta zwiększa głośność szeptów natury i pławimy się w błyszczącym świetle milionów zalanych słońcem liści.

Żar jego słów palił mnie żywym ogniem, aż zamieniałam się w tost, spopielony czystą miłością i ślepym oddaniem. Dla mnie ten mężczyzna był idealny.

Kolejne obrazy i ich malowane słowem opisy opływały mój umysł jak gwałtowny, namiętny wodospad, odkrywając przede mną kompletnie nowe, podekscytowane ja, żadne piękna i artyzmu nauczania.

- Następny slajd - poprosił Hayes, delikatnie odsuwając pasmo włosów z oczu. Znowu pejzaż, „potężny, monolityczny klif i wzburzone morze”. A potem drzeworyt,

stworzony „brutalną, szorstką, dynamiczną siłą artysty wzmocnioną stanowczym spojrzeniem oraz mściwym dłutem”.

Na wyższych latach studiowaliśmy dworskie portrety; Karol Pierwszy Antona van Dycke'a miał „kawalerski krok króla”, a jego sylwetka („beztroska, niedbała, zwracająca uwagę”) „ubrana jest w półprzezroczyste barwy, materiały udrapowane ze zmysłowych pociągnięć koloru”.

Obłąkany *Ogród ziemskich rozkoszy* Hieronima Boscha pełen był „entropii zeszepeconych urojeniowych zabawowiczów”, widniały na nim „monstrualna, muskularna góra, dziwaczna menażeria, heraldyczny gryfon pożerający grzeszników w dionizyjskim uwolnieniu ekstazy”.

Ale oczywiście kręciło go ciało. Nawet gdyby obraz mógł sam mówić, Hayes użyłby dwukrotnie większej liczby słów, by go opisać. Pewnego chłodnego, listopadowego popołudnia, gdy byłam na drugim roku, na ekranie ukazało się dzieło Petera Paula Rubensa. W tej właśnie chwili poczułam, że - jak dawniej żartowałyśmy z Leigh - nigdy nie przestanę kochać tego mężczyzny.

Kiedy pojawił się slajd, Hayes jęknął, jakby właśnie zaczął się kochać. Jego głos miękko unosił się nad „intymnymi tonami ciepłego złota i skąpanych w słońcu brązów” w tle, potem zrobił zbliżenie i skoncentrował się na skórze.

- Rubens nie oferuje nam opisu ciała, ale samo ciało - powiedział i, nie żartując, ale przy tym dyszał. - To ciało o bogatej, kremowej fakturze, wabiące wcielenie miękkości.

Większość facetów masturbuje się przy „Playboyu” albo „Penthouse”, ale ten gość na pewno walił konia przy

Wenus i Adonisie i wolałby Metropolitan od PeepLandu na nowojorskim Times Square.

Spędzaliśmy razem czas, rozmawiając o tematach prac, na korytarzach albo niekiedy podczas jego dyżurów, a jego komentarze przez lata podsycaly płonący we mnie ogień. Na moim eseju na temat ukrytego erotyzmu instrumentów muzycznych w malarstwie holenderskim, *Muzyka jako pokarm miłości*, napisał: „Hannah, praca jak zwykle wspaniała”, czym oczywiście sprawił, że pisząc każdą kolejną, wypruwałam sobie żyły, żeby zrobić na nim wrażenie i stać się jeszcze wspanialszą. Ostateczny artefakt tej obsesji wisiał na mojej ścianie do dzisiaj i uważałam go za bezcenny.

Na moim ostatnim roku zbliżyliśmy się do siebie i wypuszczaliśmy się razem poza kampus, chodziliśmy na otwarcia muzeów i różne wykłady. Kiedyś przeszliśmy całe miasto w mżawce. Śmiał się z moich osobliwości i nawyków i często myślałam, że uważał mnie za totalne dziwadło, bo uwielbienie dla niego przelewało się przez moją twarz czerwoną falą. Ale nigdy nie rozmawialiśmy o życiu prywatnym, prawie zawsze tylko o sztuce. Razem opracowaliśmy plan mojej sześćdziesięciostronicowej pracy końcowej i pomógł mi przejść wszystkie straszne etapy. I gdy dostarczyłam już trzy wymagane kopie do dziekanatu (będę oceniana przez komisję - przerażające), jedną położyłam na jego biurku razem z wiadomością:

*Drogi Profesorze Hayes,
oto ona. Wielka całość, moje życie, moje dziecko:
wszechmocna praca końcowa. To odrąbany kawałek
mojej duszy, cały dla Pana - nie wiem, jak mam Panu
dziękować za mentorską i nieustrudzoną pomoc.
Ściskam,*

Hannah



Oddałam ją i poczułam żal, że może moja głupia notka była zbyt emocjonalna. Chciałam mu powiedzieć o wiele więcej. Coś typu „kurwa, kocham cię i myślę o tobie, kiedy uprawiam seks z moim chłopakiem”, którym wtedy był Clay Fisher, atletyczny i bosko wyglądający futbolista, ale szczerze mówiąc, nie dla mnie. Miałam za sobą dłuuuugi okres posuchy i desperacko chciałam po prostu kogoś spotkać, byłam taka samotna, 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu ślęczałam nad pracą - oglądając rozczochrane pary wyłaniające się zza półtek, gdzie niektóre laski częściej otwierały nogi niż książki. Pragnęłam uczucia, a wiedziałam, że nigdy nie zapłonę nim obiekt mojego niedorzecznego pożądanego, więc pozostałam przy tym, co wydawało się w moim zasięgu. Leigh kiedyś opieprzyła mnie za niemające szans na powodzenie, beznadziejne miłości, mówiąc: „Hannah, musisz lubić facetów, którzy lubią ciebie”. Cóż, Clay mnie lubił. Był nieco zarozumiały, ale słodki, bezpretensjonalny i niebrzydki.

Szliśmy sobie raz, trzymając się za ręce, miesiąc przed zakończeniem studiów, kiedy spotkaliśmy profesora Hayes na Shattuck Avenue.

- Hannah, właśnie wrzuciłem do skrzynki twoją pracę...
Zawał serca.

- O Boże, niemożliwe! Myślałam, że dostaniemy je z powrotem dopiero w przyszłym tygodniu,

- Cóż, twoja już wróciła. Chyba będziesz zadowolona.

Uśmiechnął się do mnie, a potem spojrzał na Claya, skinął głową, spojrzał znowu na mnie i się oddalił.

Poczułam się wtedy rozdarta między ekstatyczną radością, bo najwyraźniej dobrze mi poszło, a sprawiającym ból widokiem, jak wchodzi do kawiarni i znika z mojego życia. Słyszałam wcześniej, że przenosi się do Nowego Jorku, żeby wykładać na Columbii, bo durnie z Berkeley odmówili mu podwyżki. Nie wiedziałam, czy go jeszcze kiedyś zobaczę. Nigdy nie miałam szansy wyznać mu, że zmienił moje życie i że go uwielbiam! Powiedziałam Clayowi, że chcę wrócić i wyjąć pracę ze skrzynki.

- Hannah, ale z ciebie oryginał. A kogo to teraz obchodzi? Już wiesz, że zaliczysz z wyróżnieniem.

- Spotkamy się na imprezie. Muszę lecieć.

Wydawał się wkurzony, ale odwróciłam się i pobiegłam. Minęłam szumiące, targane wiatrem drzewa, ćpunów i hipisowskie sklepy, wróciłam do kampusu, który kochałam, i poszłam najkrótszą drogą do skrzynki. W niej, razem z pracą ocenioną na pięć, znalazłam swoją bezcenną pamiętkę. Właśnie z tego powodu w dupie miałam jednołośne „pięć” przyznane mi przez komisję.

Do pracy przyczepiona była prawie zabytkowym spinnaczem moja oryginalna notatka:

*Drogi Profesorze Hayes,
oto ona. Wielka całość, moje życie, moje dziecko:
wszechmocna praca końcowa. To odrąbany kawałek
mojej duszy, cały dla Pana - nie wiem, jak mam Panu
dziękować za mentorską i nieustrudzoną pomoc.
Ściskam,*

Hannah

Ale słowo „odrąbany” zostało zakreślone kobaltowym atramentem jego słynnego wiecznego pióra. Od kółka

biegła strzałka prowadząca do prawego marginesu na dole strony, gdzie napisał:

*Najdroższa Hannah,
dobór słowa „odrabany” sugeruje, że Twoja żywa dusza zrobiona jest z drewna. W pewnym sensie to prawda; jesteś silna, jasno określona i pełna ułożonego złotymi warstwami życia.*

Ale w innym sensie ta metafora wydaje się nie na miejscu. Twoja dusza, słodka dziewczyno, nie jest drewniana. No chyba że mówimy o miodopłynnym drewnie lakierowanych skrzypiec, rezonującym i śpiewnym.

TH.

Moje całe ciało zalała fala gorąca i poczułam się jak zebrak, który natrafił na skrzynię pełną sztab złota. Papier zdrzął mi w rękę, czytałam wiadomość w kółko, aż zrobiło mi się słabo. Nigdy w życiu nie byłam taka napalona. Chciałam go znaleźć i zgwałcić. Nie zdobyłabym się na to, by złożyć karteczkę, wyjęłam więc ze skrzynki tandetny lokalny magazyn o sztuce, wsunęłam ją między strony i zanosłam do domu, jakby to był oryginał Deklaracji Niepodległości. Cały wieczór w czasie urodzinowej imprezy w meksykańskiej knajpie, kiedy wszyscy dookoła strzelali sobie niezliczone szklaneczki tequili, czułam skórę swojej torby między kostkami nóg i myślałam o swoim skarbie.

Następnego popołudnia poszłam na wydział i nerwowo zapukałam do drzwi pokoju Hayesa. Uchyliłam je, a on gestem zaprosił mnie do środka. Kończył rozmawiać przez telefon. Usiadłam w jego fotelu pokrytym wytartą skórą w kolorze koniaku i zaczęłam nerwowo studiować tytuły książek na półce za biurkiem, wśród których były dzieła

Simona Schamy i ułożone w kolejności roczniki czasopisma „October”, zawierające opinie na temat sztuki współczesnej.

- Bardzo dobrze - powiedział do słuchawki i z uśmiechem przewrócił oczami, jakby rozmówczyni okazała się strasznie gadatliwa.

Słyszałam nosowe głoski w jej skrzekliwym głosie. Wreszcie odłożył słuchawkę. I spojrzał na mnie. Żadne z nas się nie odezwało.

W końcu przemówiłam:

- Pańska notatka... uszczęśliwiła mnie. Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Napisałem to, co myślę. I mówiłem ci, że dostaniesz piątkę. Praca zebrała najlepsze opinie.

- Dzięki, cóż, to dzięki panu. Tak się denerwowałam. Nie obchodziło mnie nawet, co oni pomyślą, naprawdę. Liczyło się tylko to, co pan pomyśli. Nie chciałam, żeby uznał pan, że jestem idiotką.

- Hannah - powiedział i wstał po swój blezer, który wisił na drzwiach tuż obok mojego fotela. - Jak w ogóle mógłbym dojść do takiego wniosku?

Też wstałam, bo pomyślałam, że chciał wyjść, i wzruszyłam nieśmiało ramionami. Moje serce mocniej zabiło. Tak blisko niego jeszcze nigdy nie stałam - może jakiś metr. Zerknęłam na niego i spieszyłam sprawę, bo spojrzałam nie na twarz, ale przez szkła małych złotych okularów prosto w jego zielone oczy. Żałowałam, że nie umiem wystawiać się tak pięknie jak on, by opisać tę zieleń. No dobrze, mogę spróbować: promienna, chlorofilowa zieleń dębu Albrechta Altdorfera. Nawet nie zbliżyłam się do ideału.

Zagubiona w jego źrenicach straciłam poczucie czasu - na jakieś trzy sekundy - i zanim się spostrzegłam,

on patrzył w moje. Staliśmy bez ruchu, gapiąc się na siebie, a tysiąc wyimaginowanych koni trzymało mnie z daleka od niego. Ale nagle on zbliżył się o milimetr, pochylił się w moją stronę i poczułam, że dystans między nami maleje, kiedy profesor postąpił niecierpliwie o krok.

Jednym szybkim ruchem, w którym było więcej pasji niż na przedstawiającym epicką wojnę żywym obrazie, położył dłoń z tyłu mojej szyi, podszedł bliżej i pocałował mnie. Objęłam go z siłą drwała, a on całował mnie prawie do bólu. Po jakiejś minucie napalonego, niekontrolowanego uniesienia, jakiego dane mi było doświadczyć, oderwaliśmy się od siebie i spojrzeliśmy sobie w oczy. Jego się nie zmieniły, ale moje... ojoj. Moje były radosne, wstrząśnięte i mokre z radości. I właśnie wtedy otrząsnął się z tej cudnej popołudniowej chwili. Nieśmiały czar gwałtownie prysł po tej oczywistej i psującej wszystko demonstacji mojego uczucia.

- Mój Boże, przepraszam - powiedział spłoszony, pocierając czoło.

- Nie, nie ma za co, ja...

- To nie w porządku. Jesteś moją studentką. To jest...

- To też moja wina - wyjąkałam. - To znaczy, w porządku.

- Nie, to nie jest w porządku - zaprzeczył i poprawił marynarkę, szybkim ruchem wygładzając kłapy.

- Ale... - na próżno starałam się zaciągnąć go z powrotem do naszego niebiańskiego kręgu.

- To nieetyczne i złe. Poza tym przecież się z kimś spotykasz? Ten mężczyzna, z którym cię widziałem...

- Clay to...

- Clay, właśnie. Wygląd satysfakcjonujący, na pewno, ale chyba słaby pokarm dla duszy.

Zaraz. Czy on był zazdrosny o Claya? Od pięciu tygodni mojego McFaceta?

- Proszę posłuchać, ja od dawna... - ciągnęłam ponizonna, czując się jak dziecko; przełknęłam, zanim dokończyłam zdanie - ...szaleję za panem.

- To mi pochlebia. Nie zaprzeczę, że istnieje między nami więź, ale nie licz na nic więcej. Przykro mi.

Podniósł swoją aktówkę, jeszcze raz na mnie spojrzął i wyszedł.

Nie zobaczyłam go już nigdy więcej.

Aż do dnia, kiedy wypatrzył mnie z Violet wśród holenderskich martwych natur. W morzu olejnych kwiatów ogniste barwy wydały się bardziej intensywne, gdy odszedł.

Następnego dnia rano Josh obudził mnie pocałunkiem i przeprosił za to, że wrócił do domu o drugiej nad ranem. Praca go dobijała, ale przynajmniej ludzie okazali się świetni (w Kalifornii nie znosił swojego upierdliwego, zaglądnącego do kieliszka, głupkowatego szefa) i mieliśmy nadzieję, że uda mu się zdążyć zjeść kolację z Leigh i ze mną. Był już w garniturze, ale wczołgał się do mnie pod kołdrę i przytulaliśmy się przez chwilę, od czego zrobiło mi się przyjemnie i ciepłutko na sercu.

Zaczęliśmy się całować i przytulanie sięgnęło tego momentu, kiedy nagle jak iskra pojawia się myśl (nie jesteśmy już przecież nastolatkami), że pójdziemy na całość. Moje wstydlive spojrzenie a la Marilyn w naszym prywatnym żargonie oznaczało, że zrzuci garnitur na szybki numererek. Ale z pokoju Violet, który znajdował się tuż nad naszą sypialnią, dobiegł cichutki szczebiot, co utrudniło przejście do konkretów.

Oboje westchnęliśmy w dobrze znanym stylu „przeleć cię później” i poszliśmy grupowo i w pionie poprzytulać się z Violet. Potem odprowadziłyśmy tatusia do drzwi, dostał buziaka przy windzie i powiedzieliśmy sobie do widzenia z nadzieją, że nie za czternaście godzin. Kiedy wróciliśmy do kuchni, w oczy rzuciła mi się wizytówka pośrednika od Bee, przyczepiona do drzwi lodówki jednym z magnesów Violet w kształcie literki. Wzięłam do ręki telefon i wybrałam numer, a Violet zaatakowała

wielkie pudło flamastrów, żeby sobie porysować. Byłam nieco zdenerwowana, wiedząc, że żona tego faceta była dyrektorką przedszkola Carnegie, więc czułam się tak, jakbym zamierzała go wy badać w jakiś pokrętny sposób.

- Troy Kincaid.

- Cześć, Troy, mówi Hannah Allen, znajoma Bee...

- A, tak! Cześć, Hannah, Bee mówiła, że będziesz dzwonić - odparł swoim niskim głosem z wyraźnym brytyjskim akcentem. - Już założyłem dla ciebie teczkę i mam kilka pozycji, które na pewno bardzo ci się spodobają.

- O, szybko działasz!

- Dysponujemy luksusowym mieszkaniem o przecznicy od Bee, na Piątej Alei numer siedemdziesiąt trzy. Przedwojenny budynek. Z portierem. Doskonały.

Jego królewski, szykowny londyński akcent zwiększył atrakcyjność oferty o kilka kresek.

- Świetnie - odparłam nieco zdziwiona. - Ile?

- Pięć trzy, ale zejda z ceny.

Na moment zapadła martwa cisza.

- P-p-p-pięć... milionów trzysta tysięcy?! - wyjąkałam.

- Ale nie jest to ostateczna cena.

- Hm, oj, Troy, posłuchaj, miło z twojej strony, że już się nami zająłeś, i mam nadzieję, że nie zmarnowałam twojego czasu, ale... to trochę ponad nasz budżet. To znaczy kompletnie ponad. - Było mi przykro. - Masz może jakieś tańsze oferty? Powiedzmy... cztery miliony tańsze? - zapytałam, prawie się czerwieniąc.

- Cztery miliony i poniżej? Pewnie!

- Nie, nie, nie - zaprotestowałam. - Nie cztery miliony i poniżej. Cztery miliony mniej niż pięć milionów trzysta tysięcy, to znaczy coś między milionem a półtora miliona.

- Och.

Niezręczna cisza.

- Na Manhattanie? - upewnił się.

- Tak. W „New York Timesie” widziałam mieszkanie z trzema sypialniami...

- Niemożliwe. W tej cenie nie znajdziesz lokalu z trzema sypialniami.

- Naprawdę? Bo...

- Nie. Ale będę czujny i odezwę się do ciebie. Pozwól, że się rozejrzę.

Jego początkowo uroczy, chrapliwy głos stał się zimny, kiedy połapał się w naszych najwyraźniej ograniczonych możliwościach finansowych, które mnie wcale nie wydawały się aż takie nędzne. Ale, niestety, w tym mieście mogliśmy sobie pozwolić na mieszkanie wielkości celi mnicha i z widokiem na mur. Miałam tylko nadzieję, że jego żona nie umieści naszego budżetu w profilu Violet, kiedy będziemy się starać o miejsce w tym elitarnym bastionie środowiska akademickiego. Dla maluchów. Szlag! Josh świetnie sobie radził i według mnie nasz budżet wyglądał dobrze - było nas stać na ładne mieszkanie w każdym mieście w kraju, poza Nowym Jorkiem, wyspą wielokrotnych miliarderów. Parker Elliott i wszyscy inni przyjaciele Josha mieli może dobre posady, ale poza tym posiadali bogate żony z milionem lub dwoma, nie mówiąc o ich własnych funduszach powierniczych. Ja do małżeństwa wniosłam siedem tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt jeden dolarów, które zostały na moim koncie oszczędnościowym w banku Wainwright, kiedy wyjechaliśmy z Kalifornii. Nie szykowałam się do zakupu dziesięciopokojowego mieszkania, jak to robiła Bee i jej kumpelki. Nic dziwnego, że Lila liczyła na strategicznie lepszy finansowo mariaż dla Josha - w Nowym Jorku nawet bogacze ledwo wiązały

jeden złoty koniec z drugim, jeżeli nie zwiążali się z innymi bogaczami. Zdecydowanie źle działałam na finanse jej rodziny.

Aby stłumić wzbierające we mnie nieprzyjemne uczucie, włączyłam *Ulicę Sezamkową*. Grover właśnie wrócił z wycieczki po Europie i nosił czarny beret, *très chic*.

- Witajcie, dziewczynki i chłopcy! - krzyknął ukochany przez dzieci futrzany, niebieski potworek. - Właśnie przeleciałem nad Atlantykiem i przekroczyłem most Triborough - a przybywam prosto z Paryża we Francji! - Pokazał małą dziewczynkę na spacerku *avec papa*, w trakcie którego kupili warzywa i wpadli do lokalnej *boulangerie*, gdzie wrzucali świeże produkty do ogromnego kosza, czyli *panier*. Kiedy oglądałyśmy z Violet sielankową scenkę kupowania jedzonka prosto z farmy na cały następny tydzień, podziwiałam idealną scenerię i zastanawiałam się, czy Josh zechciałby zamieszkać w takim miejscu. Czy nie byłoby wspaniale spacerować po skąpanym w kwiatkach Tuileries? Chodziłabym z Violet, mijając budynki tak bogato zdobione, że gdyby dało się kopiować i klejać domy, architektonicznie miejsce nie różniłoby się od Stanów. Znane z dyscypliny *écoles* - darmowe! - a Violet byłaby dwujęzyczna! I mogłabym co rano strzelić sobie zabójczy *pain-au-chocolat*. Czysta rozkosz!

Ale kogo ja czarowałam, nie wyjedziemy stąd, żeby zamieszkać we Francji. Fajnie czasem pofantazjować, wiedziałam jednak, że nie potrafiłabym żyć w innym kraju. Ten był pełen centrów handlowych, dziwacznych prawnicowców i śmieciowego jedzenia, ale ja byłam prawdziwą amerykańską dziewczyną. Zdałam sobie z tego sprawę w ciąży, kiedy wybraliśmy się z Joshem na dwutygodniową wycieczkę po Stanach. Obejrzeliliśmy wszystko - skaliste czerwone turnie na pustyni, miasteczko o nazwie

Zzyzyx z czterema mieszkańcami (serio), kręgi w zbożu, górę z wyrzeźbionymi podobiznami prezydentów (tradycyjną atrakcją turystyczną); natknęliśmy się nawet na zlot motocyklowy sześciuset tysięcy twardzieli na harleyach w Południowej Dakocie, a z tyłu koszulki jednego z nich dostrzeżliśmy następującą informację: „JEŻELI WIDZISZ TEN NAPIS, TO ZNACZY, ŻE DZIWKĄ ZLECIAŁA Z MOTORU”. Czas spędzony w samochodzie z mężem, który głaskał mnie po brzuchu i karcił pysznym, choć tłustym jedzeniem co kilka godzin, utwierdził we mnie obywatelskie poczucie tożsamości i przekonałam się o swojej czerwono-biało-niebieskiej krwi. Choć z drugiej strony, gdy wyjeżdżaliśmy za granicę, było mi wstyd, że pochodzę z tego samego kraju co ta hałaśliwa, otyła ekipa, która ciągle domaga się keczupu.

Elmo pożegnał się z nami w swojej narysowanej kredkami krainie, więc ubrałam Violet i poszliśmy na spacer do parku, gdzie miałyśmy się spotkać z Bee i Westem. Miałam cichą nadzieję, że Troy nie zdążył jeszcze zdać Bee relacji z naszych finansowych ograniczeń. Kiedy mnie do niego skierowała, pewnie pomyślał, że złapał jakąś grubą rybę z apetytem na wielkie zakupy. Szkoda, że okazaliśmy się płótkami.

Pchając wózek z Violet, zbliżałam się do wejścia na plac zabaw przy Siedemdziesiątej Drugiej, kiedy spostrzegłam Bee rozmawiającą z przystojnym, szczupłym mężczyzną. Pomachali sobie na pożegnanie, z daleka przyjrzałam się facetowi. Gdy podeszliśmy bliżej, Bee spojrzała na nas z zaskoczeniem.

- Hannah, cześć, przyszedł wcześniej!

- Tak, jestem jednym z tych fanatyków punktualności - powiedziałam, wruszając ramionami. Pomyślałam jednocześnie, że w jej ustach zabrzmiało to jak obelga, cho-

ciąż sama też dotarła na miejsce przed czasem. - Josh zawsze ma ochotę mnie zamordować, kiedy zmuszam go, żeby być na lotnisku dwie godziny przed odlotem.

Uśmiechnęła się, ale wydawała się czymś rozproszona.

- To co słyszeć? - zapytałam.

- Mamusiu, smoczek? - poprosiła Violet.

- Kotku, nie potrzebujesz go teraz - odparłam łagodnie, starając się zniechęcić ją do smoczka, do którego wciąż była przyzwyczajona.

- Smooooooooociek! - zawyła. Oczywiście uległam, otworzyłam małą przegródkę i podałam jej smoka. Natychmiast włożyła go do buzi i upodobniła się do malucha z *Simpsonów*.

- Wiesz, Hannah - zaczęła Bee poważnym tonem. - Już czas go odstawić.

- Wiem, wiem, jest szkodliwy - przytaknęłam odrobinię zirytowana, że poruszyła ten drażliwy temat. - Oby tylko nie miała wystających zębów.

- To nie tylko o to chodzi. - Bee spojrzała na Violet. - Smoczek może spowodować poważne opóźnienia w rozwoju mowy. Ona zostanie daleko za innymi dziećmi. Bardzo daleko.

- Naprawdę? - odparłam nieco defensywnie. - Ciekawe, ma dwa lata, a mówi dużo więcej niż wiele znanych mi trzylatków...

- Szybko ją dogonią, jeżeli pozwolisz jej zatrzymać smoczek - argumentowała. - West na szczęście nigdy go nie potrzebował. Dam ci numer konsultantki od smoczka Maggie.

Nie. Ma. Mowy.

- To istnieje ktoś taki jak konsultantka od smoczka?

- W tym mieście byli konsultanci od wszystkiego. Cho-

dzenia, mówienia, siusiania, robienia kupy, a teraz i od smoczków.

- O tak. Polecił ją doktor Poundschlosser. Kosztuje cztery tysiące, ale to inwestycja w niezależność dziecka. Mała nie może tak iść na rozmowy. Szczególnie do Carnegie. Smoczek to pocałunek śmierci.

- Chyba masz rację - mruknęłam nerwowo. Może naprawdę miała rację, nie chciałam odbierać Violet jej szansy. - Jak tylko próbuję jej go zabrać, Josh mówi: „Nie martw się, Hannah, nie pójdzie z nim na studia”.

- Nie dostanie się na porządny uniwersytet, jeżeli nie zacznie edukacji od dobrego przedszkola.

Świetnie. Teraz insynuuje, że Violet skończy w jakiejś komunie dla idiotów, gdzie będą się razem nawalać i ssać smoczki, podczas gdy Weston i jemu podobni zabiorą się do pisania doktoratu, a wszystko dlatego, że ich mamusie rozwiązały problem smoczka. Z pomocą konsultantki za cztery tysiące.

- Boże, wiesz co? - Bee zmieniła temat. - Przyjaciółka Maggie, Katie Slaughter, ta od Slaughter Oil Company, właśnie urodziła dziecko, jakieś trzy tygodnie temu - oznajmiła z błyskiem w oku, szczęśliwa, że może się ze mną podzielić wiadomościami o członkach rodziny miliarderów.

Zawsze uważałam, że Slaughter to dziwne nazwisko, coś w rodzaju „Cześć! Jestem Susie Śmierć!”. Bee kontynuowała, podniecona najnowszymi plotkami:

- Urodziła dziewczynkę. Nazwała ją Amelia Celeste. No i wynajęli nianię w agencji pani Brown, a ci przysłali im bardzo miłą, lecz klinicznie otyłą kobietę z Niemiec, która objadła ich do cna. Totalne prosię. Mimo to ją polubili. Tak więc co rano o siódmej Sabina, czyli ta wielka niania, przynosi im małą do sypialni, żeby się nią zaopiekowali, a sama idzie spać. Ale wczoraj budzą się i okazują

je się, że jest dwadzieścia po ósmej! Lecą do pokoju małej - dziecko śpi w łóżeczku, a Sabina leży nieżywa twarzą do podłogi. Nieżywa. Nieżywa, nieżywa, nieżywa! - Bee nie mogła powstrzymać śmiechu. - Atak serca! Z powodu tej strasznej nadwagi!

Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że też się uśmiecham, ale raczej nerwowo niż radośnie. Ta biedna kobieta przekreśliła się, służąc milionerom i ich rozpieszczonemu maluchowi, a najwyraźniej cały Upper East Side robił sobie teraz z tego jaja. W tym momencie nagle zadzwonił mój telefon. Wyjęłam go z torby i sprawdziłam numer przychodzący. Kierunkowy 415.

Serce szybciej mi zabiło, kiedy odebrałam.

- Słucham? - zapytałam melodyjnie, chociaż wiedziałam cholernie dobrze, kto dzwoni.

- Hannah, tu Tate Hayes.

- Cześć, co słychać?

- Wszystko w porządku, lecę na zajęcia, ale chciałem zapytać, czy nie zechciałabyś się spotkać u Morgana w przyszłą środę. Obejrzelibyśmy te sztuchy. Może koło czwartej?

- Jasne, świetnie, już się cieszę.

Kiedy się umawialiśmy, Weston i Violet trzymali się za rączki, a chociaż Bee mówiła coś do syna, widziałam, jak z ciekawością uniosła brew.

- Kto to był? - zapytała, gdy złożyłam komórkę.

- Stary znajomy - odparłam beztrosko. - Idziemy do muzeum w przyszłym tygodniu.

- Bardzo chciałabym wreszcie obejrzeć wszystkie wystawy - powiedziała głosem, który wyraźnie sugerował przemęczenie licznymi obowiązkami. - Och! Zupełnie zapomniałam, że mam ci to dać! - Zaaferowana zaczęła grzebać w torbie od Hermesa i wyjęła dużą, kwadratową ko-

pertę. Kiedy mi ją podała, otworzyłam oczy ze zdumienia. Na grubym papierze, przesadnie ozdobnymi, ale pięknie wykaligrafowanymi literami z mnóstwem zakrętasów i delikatnych gwiazdek, napisane było „Violet Allen”. - Pamiętasz Larę, z którą jadłyśmy lunch kilka dni temu? W sobotę są urodziny jej syna Maxwella i chciałyby cię zaprosić.

To było słodkie. Poczułam się poruszona, zwłaszcza że myślałam, iż przyjaciółki Bee mają mnie za uwielbiają-

- Zaproszenie jest dla całej rodziny, więc Josh też może przyjść - dodała Bee.

Otworzyłam dekoracyjną kopertę, bardziej ozdobną niż większość zaproszeń ślubnych.

- A niech mnie! - zawołałam, czytając zaproszenie. - Hotel St. Regis?

- Sala balowa - uzupełniła. - Jego pierwsze urodziny też tam obchodziliśmy, to niesamowite - westchnęła. - Temat przewodni stanowił Stary McDonald, była przejażdżka traktorem plus wszystkie zwierzęta z opiekunami i rundki na kucykach...

- W hotelu? - wciąż nie mogłam uwierzyć.

- O tak, z lunchem dla dwustu osób. I każde dziecko dostało na własność model stodoły z FAO ze swoim imieniem ręcznie wymalowanym na czerwonych drzwiach.

Bee najwyraźniej to imponowało. Wiedziałam, że durna impreza z pizzą i zabawkami rozrzuconymi na dywanie, którą urządziłam dla Violet w naszym starym mieszkaniu, byłaby nie do przyjęcia w Nowym Jorku.

- Niesamowite. Duża sprawa.

- Powiem Larze, że przyjdziecie z Joshem. RSVP niepotrzebne.

Spojrzałam na numer kontaktowy, pani Caldwell, pewnie asystentka tatusia.

- Świetnie, dzięki! - oznajmiłam, a w mojej głowie aż zakręciło się od perspektywy tego weekendu i od wieczornego spotkania z Leigh w restauracji, a najbardziej niesamowite - bardziej niż imprezy urodzinowe dla maluchów w salach balowych hoteli - było to, że w przyszłym tygodniu zobaczę się z Tate'em Hayesem.

...a kilka minut później...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliott: Właśnie wróciłam ze spaceru z Hannah.

Maggs10021: Jak było?

BeeElliott: Wybiera się na przyjęcie urodzinowe Maxwella. Wydaje się taka onieśmielona przez nas.

Maggs10021: Trochę to wszystko dla niej przytłaczające - było mi jej żal przy lunchu kilka dni temu.

BeeElliott: Czemu?

Maggs10021: Nie wiem, chyba nie jest zachwycona pobytem.

BeeElliott: W końcu wyszła za nowojorczyka, halo, wiadomo było, że Josh tu wróci. Ale posłuchaj tego: jej dzieciak ma DWA lata, a ciągle używa smoka. Podaj mi numer swojej konsultantki. Nie mówiłam Hannah, że zatrudniłaś ją, kiedy twój syn miał dwanaście miesięcy - uwierzysz, że jej dzieciak jest uzależniony w wieku dwudziestu sześciu miesięcy?

Maggs10021: Muszę znaleźć ten numer, prześlę ci go mailem.

Bawiłam się z Violet na podłodze naszego wynajętego (wraz z meblami) mieszkania, zastanawiając się, czy przypadkiem nie przyjdzie nam tu zostać na zawsze, kiedy moja cudowna opiekunka z Barnard, Amber, wpadła, żeby popilnować małej. Powiedziałam jej, że sama chcę położyć Violet do łóżeczka, więc padła na kanapę przed telewizorem i włączyła Reality TV. A ja poczytałam swemu skarbowi *Paskudnego Ralphi*, edukacyjną serię z własnego dzieciństwa o zwariowanym kocie, który robi wszystko, żeby spieprzyć życie właścicielce (na przykład nadgryza każde ciastko na przyjęciu albo rysuje swoją mordkę na jej sukienkach), ale ona i tak go kocha.

Kiedy Violet zamknęła oczka, wymknęłam się z pokoju i włożyłam sweter, bo w metrze mogło być zimno. Na peronie facet grał na saksofonie własną wersję utworu *Rio Duran Duran*, która wydała mi się dziwna, ale całkiem ładna. Rzuciłam mu dolara, wsiałam do wagonu i kilka minut później dotarłam do centrum.

Znalazłam Leigh w barze. Piła kolorową miksturę.

- A co się stało z płynem niezamarzającym? - zapytałam.

- To absynt. Wracam do niego po stu latach.

- Rzadkie. Ale wyglądasz jak na obrazie Maneta. Topimy smutki?

- Coś w tym rodzaju. Nieudana randka wczoraj wieczorem.

- Randka?! A co z Craigiem?

- Po spotkaniu z tobą pomyślałam sobie: „Co ja, do cholery, robię? Hannah ma rację, zasługuję na kogoś lepszego”.

- Dobrze.

- Wcale nie. Potem poznałam, początek cytatu, producenta filmowego, koniec cytatu, na zdjęciach dla tej nowej grupy, i umówił się ze mną. Idziemy do niego, miejsce wygląda jak mieszkanie ciemnego typu w *Policjantach z Miami* - elektronika, białe skórzane kanapy, okropność. A potem, kiedy on wsadza mi język do gardła i dosłownie liże mnie po migdałkach, odpycham go i wybiegam.

- O Boże!

- Poczekaj. Wracam do domu, wrzucam tego gnoja do Google'a i okazuje się, że wcale nie jest żadnym wielkim producentem, tylko jakimś szemranym prawnikiem, który wygrał największy w historii proces dotyczący leku na otyłość, jakieś dwieście milionów zielonych. Dlatego wyłożył kasę na film albo dwa i odgrywa rolę sławnego producenta, ale to totalny nieudacznik. Nie ma już nikogo, Hannah - powiedziała zdruzgotana. Przerazenie w jej oczach zwiastowało łyzy, w przypadku Leigh była to ostateczność. - Jestem taka przygnębiona, nie ma dosłownie nikogo. Umrę w samotności.

- Na pewno nie - zapewniłam ją. - Faceci cię uwielbiają! Wszyscy druzbowie Josha na naszym ślubie pytali: „Kim ona jest?”. Ale ty byłaś zajęta swoim pochrzanionym Dupolicusem Maximusem.

- Uch, moim eksnaczelnym. Co mi odwaliło, że zmarnowałam z nim trzy lata? Przepieprzyłam cenny czas.

- Jesteś młoda, Leigh. Zostało ci jeszcze mnóstwo czasu.

- Nie, jeżeli chodzi o dzieci. Chciałabym mieć takiego malucha jak twoja Violet. Kiedy przechodzę obok placu zabaw na Bleecker czy Hudson, aż mnie jajniki bołą.

Pomyślałam o tym, jaką wspaniałą mamą byłaby Leigh. Zawsze uważałam, że ludzie jadą na różnych biegach, jeśli chodzi o uczucia. Pewnie większość kocha swoje dzieci na maksa, ale niektórzy jadą na niższym biegu, drugim, może trzecim. Leigh i ja byliśmy dziewczynami piątego biegu. Po wielu teoretycznych dyskusjach dotyczących przedmiotu stwierdziłyśmy, że im bardziej nas kochano, tym bardziej my umiałyśmy kochać. Ogromniaste serce Leigh i bezmiar miłości sprawiały, że usychała w oczekiwaniu na faceta, który zasiałby ziarenko, i na dziecko, któremu pozostałaby bezgranicznie oddana. Nie mogąc przelać na nikogo tego ogromu czułości, była jak sparaliżowana. Mnie to też dobijało, zwłaszcza kiedy widziałam Bee i jej przyjaciółki - owszem, kochały swoje latorośle, ale miały też całodobowe nianie, dzięki którym mogły chodzić na zakupy i na lunchę, porównywać swoje dzieci i ćwiczyć do upadłego.

- O co chodzi z tymi cygańskimi spódnicami? - zapytała Leigh, gromiąc spojrzeniem faceta gapiącego się bezczelnie, kiedy zakładała nogę na nogę w swojej seksownej, czarnej, ołówkowej spódnicy. - Dlaczego kobiety chcą wyglądać jak Cyganki? Nie rozumiem.

- To zabawne - odparłam. - Noszą je te wszystkie nadziane mamuśki ze śródmieścia, więc i ja taką wybrałam.

- Moda jest pokręcona. Mnie takie rzeczy pogrubiają, ale inne babki i tak polecają je kupić, nawet jeżeli im nie pasuje ten styl, a tak właśnie jest. Moim zdaniem większość kobiet wygląda w nich przyciężko.

- Nie te mamuśki - westchnęłam i wepchnęłam sobie do ust więcej solonych orzeszków. - One wszystkie noszą rozmiar zero. Wszystkie mają osobistych trenerów, kluby pilatesu, a kiedy oddają dzieci do przedszkola Carnegie,

latają wokół jeziora w Central Parku, do momentu gdy maluchy trzeba odebrać.

- Okej, może jednak nie zazdroszczę ci tego świątka mamusiek - stwierdziła Leigh. Nagle jej twarz się rozpromieniła. - Spójrz! Jest Joshie. Czeka, kim jest ten boski facet, który z nim przyszedł?

Odwrociłam się i zobaczyłam wchodzącego męża. Towarzyszył mu Parker. Leigh i ja wstałyśmy, żeby się przywitać. Leigh nie rozpoznała Parkera, chociaż spotkała go na naszym weselu, ale minęły już trzy lata i wyglądał poważniej.

- Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko mojemu wprasaniu się - Parker uśmiechnął się i objął mnie. - Bee mówiła, że urządza obiad dla dziewczyn, a West smacznie śpi. Wydawało mi się, że wspominała o jakimś wieczorze panińskim, na który się wybieracie, ale Josh powiedział, że idziecie razem na obiad, więc z przyjemnością się przyłączyłem. Kochanie, wyglądasz pięknie.

- Tak się cieszę, że cię widzę! - krzyknęłam, bo zawsze tak było, kiedy widziałam tego przystojnego faceta. Choć muszę przyznać: zrobiło mi się... dziwnie, że nie zostałam zaproszona do Bee na obiad dla dziewczyn. Może powiedziała mu, że mnie zaprosi, a potem zrezygnowała? Nie byłyśmy bliskimi przyjaciółkami, więc nie powinnam czuć się pominięta, i całkiem szczerze wybrałabym wieczór w tym towarzystwie, nie w tamtym. A co tam.

W ciągu kilku następnych minut zapomniałam o Bee, kiedy zaczęliśmy sobie opowiadać takie powalające historie, że ze śmiechu prawie lałam w majtki. Najpierw Parker przybliżył nam postać swojego zwariowanego klienta ze Szwajcarii, hrabiego Aleksieja von Hapsenfurera, siedemdziesięcioletniego ekscentryka, do którego alpejskiego zamku dotrzeć można tylko helikopterem. Facet nosi

przepaskę na jednym oku po jakimś wypadku na polowaniu i mieszka w swojej stupokojowej posiadłości z siedemnastoma osobami służby i małpką o imieniu Josiah, która nosi pieluchy spięte brylantową agrafką. Hrabia lata też prywatnym odrzutowcem na zakupy do Dubaju. Piranie w swoim akwarium karmi tym, co zabije na polowaniach. Parker zarzekał się, że facet ma ustrojstwo, na którym opuszcza do wody świeżo ustrzelonego dzika, a kilka sekund później wyłania się szkielet oczyszczony przez małę, ale okrutne ryby.

Potem Leigh zrelacjonowała nam wszystkie ploty krążące w przemyśle muzycznym - pracowała dla Sky Records, firmy należącej do dwóch épających braci, którzy robili dużą kasę i zbierali nagrody Grammy. Po jej opowieściach o gwiazdorze country, który za domem zbudował sobie basen w kształcie Teksasu, i punkowym grajku z Brooklynu, złapanym na posuwaniu szesnastoletniej lilitki, twierdzącej, że ma dwadzieścia lat, Parker, Josh i ja wyliśmy zwinęci ze śmiechu.

Wszyscy wspaniale się bawiliśmy, a po obiedzie zrobiło mi się smutno, że to już koniec. Tego samego wieczoru, kiedy położyliśmy się spać, przyznałam się Joshowi, jak bardzo tęsknię za pracą. Parker i Leigh mieli tyle zabawnych historyjek do opowiedzenia i doświadczeń, a ja czułam się tak, jakby mnie już nie było na tym świecie. Czułam się uwięziona z Groverem i resztą. Ale kochałam Violet i nie mogłam jej zostawić na cały dzień. A poza tym, kto do diabła by mnie zatrudnił? Nie miałam zresztą bladego pojęcia, czym chciałabym się zajmować, więc i tak nie było o czym mówić.

- Możesz robić, co tylko zechcesz, Han. Dostaniesz każdą pracę. Jesteś jedyna w swoim rodzaju - odparł Josh, całując mnie. Nie było to pocieszeniem, bo i tak nie wiedzia-

łam, co by mnie uszczęśliwiło, ale leżałam w jego objęciach spokojnie, tym bardziej że z powodu jego długich godzin pracystawało się to rzadkością. Mało tego, ta strefa bezpieczeństwa miała wkrótce skurczyć się jeszcze bardziej.

- Hannah, hm - zająknął się. - Fatalnie się z tym czuję, ale pamiętasz tego szwajcarskiego wariata, o którym opowiadał Parker?

- Tak...

- No więc... muszę wyjechać i się z nim spotkać.

- W tym alpejskim zamku? Kiedy?

- To jeszcze nie zostało ustalone. Dlatego wcześniej nic ci nie mówiłem. Ale może już w sobotę.

- Co? W tę sobotę? Pojutrze? - Skinął niepewnie głową. - Na jak długo?

- Dopiero się dowiedziałem. Chce, żebym został na jakieś dziesięć dni na polowanie. Zwykle jeździ Parker, ale szef zdecydował, że i ja powinienem spędzić tam trochę czasu, skoro teraz pracuję nad finansami tego gościa.

- Do dupy. Facet wygląda na osobowość, ale też na kogoś klinicznie walniętego. Jeszcze ty wrócisz mi do domu z przepaską na oku.

- Kochanie, robię to...

- Dla nas, wiem. - Nie chciałam zachowywać się jak jeźdza, bo najwyraźniej miał związane ręce - pejczem ze skóry dzika - ale czasem żałowałam, że nie wybrał normalnej pracy, z której wychodzi się o czwartej po południu, a nie o dziewiątej wieczorem (jak ma się szczęście).

- Hej, Han, mówiłaś, że zdobyłaś dla mnie jakieś nowe pornoski...

- A, tak - uśmiechnęłam się do siebie, chociaż wciąż byłam zła. - Dobra: *Fiut Gordon, Mokry biznes, Świadek posuwania.*

Zaśmiał się głośno.

- Rewelacja! - Dostrzegł jednak, że mój uśmiech powoli zastępuje pełna frustracji, przedwyjazdowa tęsknota za nim.

- Nie martw się - pocieszył mnie. - Zanim się obejrzysz, będę w domu.

14

Lila chrząknęła delikatnie, przykładając wiotką dłoń do cienkiej szyi. Szmaragd na jej palcu wielkością przypominał stół bilardowy.

- Hannah - zaczęła takim tonem, że wiedziałam, iż za chwilę usłyszę instrukcje. - Jeżeli chcesz się wciągnąć w życie w tym mieście, będziesz musiała przyłączyć się do odpowiednich komitetów charytatywnych i grup młodych profesjonalistów.

- Aha - odparłam, bacznie obserwując Violet, żeby przypadkiem nie sięgnęła po jeden z tysiąca antycznych „psiedmiotów” w mieszkaniu Dillinghamów. Weszła słuchająca i nalała nam gorącej herbaty (wspominałam już, że na zewnątrz było trzydzieści stopni ciepła?) ze srebrnego czajniczka, a ja siedziałam na brzeжку krzesła cała spanikowana, bo mój dzieciak w każdej chwili mógł stłuc lampę od Tiffany'ego albo wazę z dynastii Ming. - Właśnie się zastanawiałam, czym się zająć - stwierdziłam.

- Wspaniale. W przyszłym tygodniu jem lunch z mamą Bee przed jej wyjazdem do Southampton. Wspomnę jej o tobie. Bee jest kompletnie oddana filantropii. Musisz się zaangażować i postarać działać jak najlepiej w tym środowisku. To daje niesamowitą satysfakcję. I mówiąc szczerze, na razie nie masz zbyt dużo obowiązków.

Nawet nie wspomniałam, że myślałam raczej o czymś, co z czasem mogłoby się stać moim zawodem, bo kiedyś wyśmiała pracujące matki, podobnie jak to hałaśliwie uczyły Bee i Maggie na placu zabaw.

- To naprawdę konieczne - radziła Lila. - Jeżeli chcesz poznać odpowiednich ludzi, chodzić do odpowiednich klubów, być częścią tego wszystkiego, nie możesz bez przerwy spędzać czasu tylko z Violet. To nie jest korzystne ani dla niej, ani dla ciebie, moja droga. Musisz - jak to się mówi? - brać udział w grze.

Uśmiechnęłam się, słysząc dobrze mi znane wyrażenie.

- Podobno - odparłam i rzuciłam się jak puma, żeby wyratować małe pudełko ze srebra i szylkretu z łapek Violet. - Wiem, że jesienią musimy zrobić to samo ze szkołami...

- W tej sprawie zdaj się na Bee, jest dobrze poinformowana i dokładnie wie, co robić. Jest wspaniałą matką - zachwyciła się, aż oczy jej się zaświeciły. - Czy wiesz, że karmiła piersią przez rok? W moich czasach nikt tego nie robił, to wydawało się takie cygańskie, wręcz hipisowskie! Ale chyba znowu wraca do mody i Bee była zdecydowana zostać najlepszą matką, jaką można być. Cudowna dziewczyna. Prawdziwy z niej skarb. I co za klasa. - Najwyraźniej Lila kochała się w Bee! Gdyby Josh ożenił się z Bee, byłaby wniebowzięta, a Bee okazałaby się jej wyśnioną synową.

Pominięłam milczeniem fakt, że bogini Bee sama przyznała się do mieszkającej u nich niani, która kosztowała dwieście pięćdziesiąt dolarów dziennie przez cały czas karmienia. To musiało być ogromnie pomocne.

- I koniecznie musisz, musisz, musisz pójść z nią na jeden z tych wykładów doktora... Poundcośtam...

- Poundschlossera - wymamrotałam.

Zaczynałam myśleć, że ten gość był papieżem wszystkich mamusiek z Manhattanu.

- Tak. Proszę, przynajmniej zainteresuj się tym, nie masz nic do stracenia. W ten sposób też możesz poznać jakieś miłe kobiety.

Mając serdecznie dosyć poleceń teściowej, Violet i ja pożegnałyśmy się z jej pozłacanym wystrojem i chociaż letnie powietrze okropnie śmierdziało, odetchnęłam głęboko. Cieszyłam się wolnością.

Kiedy niczym zombi wpatruję się w ekran telewizora, zastanawiam się, czy Wiggle w żółtym golfie w tajemnicy nie nienawidzi dzieci. Albo czy w szafie nie trzyma skórzanych kostiumów, pejczów i łańcuchów. Czterej uśmiechnięci Australijczycy nie mogą okazać się idealni w każdym calu - jeden z nich musi mieć jakiś wstydlivy sekret. Potem przychodzi mi do głowy, co by było, gdyby ktoś przyłożył mi pistolet do głowy i kazał wybierać, którego z nich przeleceć? Ohyda. Jeff, ten fioletowy, od razu odpada i ten w żółtym też jest paskudny. Anthony? Nie, nie, nie. Mam przystojnego męża, ale założę się, że istnieją mamuśki, które w swoich seksualnych fantazjach widzą któregoś z The Wiggles po obejrzeniu ich w telewizji po raz siedmiotysięczny. Rzygam na samą myśl, po czymś takim zdarłabym sobie skórę pod prysznicem. Wesoły kwartecik utworzył roztańczony szereg razem z Dinozaurem Dorothy i piratem Kapitanem Featherswordem, a Violet tańczyła z nimi, machając rączkami. Ciekawe, ile mam w tym momencie musiało znosić te pieprzone durne pioseneczki i nie mogło zmienić kanału, bo ich dzieci były w siódmym niebie.

Kiedy kolorowa, radosna czwórka skończyła program muzycznym *adieu*, wsadziłam Violet do wózka i poszłyśmy kupić urodzinowy prezent dla Maxwella, syna Lary. W Kalifornii drewniana układanka marki Melissa & Doug byłaby strzałem w dziesiątkę, ale wiedziałam, że

tutaj muszę się wspiąć na szczyt swoich możliwości. Poszliśmy najpierw do sklepu Mary Arnold, który odwiedziliśmy podczas jednej z naszych podróży, kiedy Violet miała pół roku. W czasach dzieciństwa Josha był to zabawkowy raj pełen balonów, nalepek, płyt DVD i mnóstwa zabawek.

- Mamusiu, zobacz, Elmo! - wykrzyknęła zachwycona Violet na widok metrowego, czerwonego potworka i zaczęła błagać, bym ją uwolniła z uprząży przypiętej do wózka i pozwoliła zaszaleć. Puściłam ją wolno i ruszyłam wzdłuż regałów w poszukiwaniu odpowiedniego podarunku dla trzylatka. Nagle dostrzegłam Hallie, rudowłosą matkę-modelkę, przeglądającą stojak z ubrankami.

- O, cześć - przywitałam się, a ona spojrzała na mnie obojętnie. - To ja, Hannah, znajoma Bee. Poznałyśmy się na lunchu.

- A, tak - odparła, nie do końca przekonana. W rękę trzymała zestaw plastyczny.

- Kupujesz to dla Maxwella? Też chciałabym coś dla niego wybrać...

- To? - spojrzała sceptycznie na pudełko. - Nie, to dla nas. Maxwellowi kupiłam dwa kaszmirowe sweterki od Ralphi Laurena, jeden czerwony, drugi granatowy, śliczne.

Och.

- Nie mam pojęcia, co mu sprawić - stwierdziłam. - Trzylatek to prawie emeryt!

Ani cienia uśmiechu.

- Może zdecydowałabyś się na tego konia na biegach? Maxwell ostatnio interesuje się jeździectwem. Jego dziadkowie mają ranczo w Millbrook, hodują zwierzęta czystej krwi - mama Lary ciągle lata do Argentyny na aukcje. - Odwróciłam się i zobaczyłam konia z grzywą

jasnych włosów, ze skórzanym siedłem i z metką - trzysta pięćdziesiąt dolarów. Hm, nie.

- Coś wymyślę - rzuciłam i odeszłam, tłumacząc się, że muszę poszukać Violet.

Wyciągnęłam córkę z działu z lalkami i poszłyśmy do kasy zapłacić za wóz strażacki, który wybrałam dla Maxwella. Był fajny, miał prawdziwe drabiny i cały sprzęt. Trzymałam się swojej zasady - jeżeli sama chciałabym się czymś pobawić, dzieciakowi na pewno ta rzecz się spodoba.

Jak się okazało, Hallie była ciągle w sklepie. Z górami zabawek stała przy kasie. Kasjerka podliczyła ją, a Hallie, nawet nie patrząc na sumę, beztrudno wyciągnęła kartę kredytową.

- Och, Hannah? - zagaiła, kiedy zobaczyła, że podchodzi. - Musisz przyjść na wykład, który organizuję. To część serii dla rodziców doktora Poundschlossera...

- Tak, Bee o nim wspominała... - No i Lila byłaby wniebowzięta, gdybym „kompletnie się temu oddała”.

- To prawdziwy geniusz. No więc w przyszły wtorek wieczorem wygłasza wykład dla Upper East Side w centrum kultury „Y”, na pewno ci się spodoba. Robię tyle notatek, że ręka mi potem odpada! Będziesz mogła przyjść?

Miałam czas? Tak. Chciałam pójść i robić notatki, jak być rodzicem? Nie bardzo. Chciałam wydać się nieuprzejma i ją do siebie zrazić oraz wkurzyć Lilę? Nie.

- Jasne, że tak.

- Cudownie. Wezmę od Bee twój numer i przekażę ci szczegóły.

Hallie odeszła z trzema wielkimi torbami. Niemal natychmiast przekazała owinięty wstążką ciężar swojemu kierowcy i odjechali jej cadillakiem escalade.

- Następna osoba - rzuciła kasjerka.

Teraz ja miałam płacić, a Violet zaczęła jęczeć, że chce zabawkę.

- Kochanie, przykro mi, ale i tak prawie nie mamy miejsca na twoje zabawki, już nie mówiąc o nowej, słonko.

- Płose? - zrobiła swoją słodką minkę z uroczym uśmiechem.

- Niestety.

- Dobrze, mamusiu.

- Ale dostaniesz balonik, przywiążemy go do wózek.

- Jeeeeeeeeeeeeeee! - krzyknęła uradowana.

- Ale tylko jeden, jaki kolor chcesz?

- Hmmm... POPLOSENIEBIESKI!

Uroczą kobietą za ladą poszła nadmuchać niebieski balonik dla Violet. Kiedy wróciła, przywiązała go do wózka i spojrzała na mnie.

- Jest pani dobrą matką - stwierdziła, patrząc mi prosto w oczy. - Większość dzieci przychodzi tu i wychodzi z tym, czego tylko sobie zażyczą. Są tak rozpieszczone, że zastanawiam się, na co jeszcze mogą czekać. I nie wiem.

- Pewnie na duże zabawki. Prawdziwe porsche zamiast modelu... - odparłam, wruszając ramionami.

- Niech się pani nie zmienia. Pani córeczka jest cudowna.

Poczułam napływające do oczu łzy. Z wdzięcznością przyjąłam nawet tak prozaiczne wyrazy uznania, ale kiedy wymamrotałam pełne emocji, niewyraźne „dziękuję”, zdałam sobie sprawę, że ta kobieta musi tu widzieć wszystko. Podobnie jak ten fajny woźny z filmu *Klub winowajców*, była pewnie oczami i uszami rodzicielskiej sceny całego Upper East Side i bardziej liczyła się dla mnie jej aproba niż jakiegoś doktora Poundschlossera.



Nazajutrz wieczorem Violet i ja uściskałyśmy Josha przy windzie tak mocno, jakby wybierał się do Iraku. Zaczęłam ryczeć, kiedy bezgłośnie powiedział „kocham cię”, w chwili gdy drzwi windy już się zamykały, ale szybko zapanowałam nad nadciągającym wodospadem łez, zanim mogła go zobaczyć Violet. Poczułam się jak beznadziejna antifeministka z lat pięćdziesiątych, zupełnie jakbym miała zginąć przez dziesięć dni bez Josha u boku. Co się ze mną działo? W kampusie Berkeley znałam grupę ortodoksyjnych żydowskich lesbijek, które nazywały się Orthodykes oraz wszystkie nosiły koszulki z napisem „Kobieta bez mężczyzny jest jak ryba bez roweru”. I tak czułam się jak ryba wyjęta z kalifornijskiej wody, a mój wyjeżdżający rowerek był taki śliczny. Musiałam wziąć się w garść i dać sobie spokój z hiperwentylacją, przecież nie zostałam rzucona na Saharę z siedemnastoma dolarami oraz busołą. Znajdowałam się w centrum wszechświata (Josh zawsze tak mówił o Manhattanie) i należało nauczyć się nawigować za pomocą wewnętrznego kompasu albo paść w zamknięciu na zawał podczas oglądania The Wiggles.

16

Zbliżałam się do „Y”, gdzie miał się odbyć wykład doktora Poundschlossera (bilety wyprzedane). Przed budynkiem mercedesy, lincolny navigatory i cadillaki escalade z szoferami parkowały „na trzeciego”. Blondynki z pomocą kierowców wysiadały z luksusowych terenówek i pędziły do budynku, żeby broń Boże lekka mżawka nie zniszczyła nienagannych fryzur.

Weszłam do środka przez obrotowe drzwi i zobaczyłam napis „Leczenie manii posiadania z doktorem Emilem Poundschlosserem”, a tuż obok przechodziły tłumy kobiet stukających szpilekami, witających się pocałunkami bez dotykania ustami policzka i zasuwających zamki torebek od Chanel. Rozejrzałam się za Bee, dostrzegłam ją siedzącą razem z Maggie, Hallie i Larą w drugim rzędzie. Podeszłam do nich, ale zabrakło dla mnie miejsca, usiadłam więc za nimi i byłam tam sama, dopóki obok nie usiadły wionące mieszanką perfum dwie przyjaciółki w identycznych tweedowych żakietach.

- Moje panie - rozpoczął wielce poważany doktor. - Cieszę się niezmiernie, że jesteście tu wszystkie ze mną - kontynuował wstęp. („Jasne, zwłaszcza że każda z czterystu mam wybuliła trzydzieści dolców” - pomyślałam). - Czy mogę poprosić, zanim zacznę, abyscie wykorzystały ten moment i wyłączyły wasze telefony komórkowe oraz pagery, aby nic nie zakłóciło wykładu?

Na te słowa wszystkie mamy wydobyły swoje cienkie motorole razr i inne maleńkie, srebrne aparaty, a widownia

wypełniła się symfonią warkotów, brzęczków i dzwonek. Komputery kieszonkowe marki BlackBerry zostały wyłączone, torebki zapięte i żaden rad tłum pograżył się w ciszy, ściskając srebrne długopisy od Tiffany'ego czy Mont Blanc zawieszane nad notatnikami, gotowe, by zapisać każdą mądrość doktora Poundschlossera.

- Witam. Jesteśmy tutaj dziś wieczorem, aby przedyskutować zagrażającą, rozprzestrzeniającą się i zaraźliwą chorobę: manię posiadania. W naszym otoczeniu jest nagminna. Tak, bogactwo może stać się ciężarem... - „Błagam - pomyślałam. - Ludzie mieszkają w jaskiniach i chatkach z błota, srają do dziury w ziemi i śpią na deszczu, a ten gość nawija o trudnościach bycia uprzywilejowanym? Kabaret”. - Ciężar współzawodnictwa, presja dóbr materialnych, posiadanie tego, co najlepsze, zdobywanie miejsc w najlepszych szkołach, mieszkanie w najlepszych apartamentach - to już nie jest dotrzymywanie kroku sąsiadom. To dotrzymywanie kroku Rockefellerom.

To pewne, że istniały przypadłości typowe tylko dla bogaczy. Nie słyszy się na przykład o anoreksji w krajach trzeciego świata. Ale naprawdę można było odnieść wrażenie, że bogaci ludzie często się zabijali; od kiedy tu zamieszkaliśmy, ciągle słyszałam o dziedzicach rzucających się z balkonów przy Piątej Alei, wjeżdżających w drzewo na nartach w Aspen czy też rozbijających się na swoich motocyklach marki Ducati. Kiedy Poundschlosser nawijał o tym, jak to nasze biedne dzieci mają pod górkę i stawiają czoła wyzwaniom życia w luksusie, chciało mi się rzygać. Te dzieciaki mają pieprzone szczęście! Ich każda fantazja jest realizowana, a zachcianka spełniana. Ich rodzice pociągają za sznurki, aby zapewnić im dostęp do wszystkiego, czego zechciały ich serduszka, czy to były góry zabawek przy kasie, czy też ubranka prosto ze studia

w Paryżu. Od słuchania tego faceta robiło mi się niedobrze. Nie mogłam uwierzyć, że wydałam trzydzieści zielonych, już nie mówiąc o Bee i jej przyjaciółkach - oraz innych adeptkach - które płaciły mu tysiące tygodniowo, żeby chłonąć jego nieomylnie teorie i korzystać z mądrości. Nareszcie skończył po trzydziestu pięciu minutach wygłaszania kompletnych bzdur. Rozejrzałam się po widowni w poszukiwaniu jeszcze jednej duszy zniesmaczonej czy też znudzonej, ale wszystkie mamuśki robiły takie wrażenie, jakby rzucił na nie urok.

- A teraz czas na pytania. Tak? Pani w luźnej sukience!

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na wstającą drobną, szykowną kobietę.

- Przede wszystkim dziękuję, doktorze, za tę fascynującą analizę. Chciałabym tylko zapytać, jak zapobiec rozpieszczaniu mojego syna, kiedy jego dziadkowie upierają się przy luksusach? Na przykład ostatnio teściowie kupili wielką, antyczną karuzelę do naszego ogrodu w Bridgehampton. Nie chodzi o brak miejsca, mamy dużą posiadłość. Ale moim zdaniem to nieco...

- Wspaniałe pytanie - odparł. - Prezenty mogą wymknąć się spod kontroli, ale musi pani zająć właściwe stanowisko i nie dopuścić do kupowania pewnych rzeczy. Należałoby przyjąć karuzelę, a następnie wytłumaczyć, że powinni ograniczyć się do jednego prezentu z okazji urodzin, Bożego Narodzenia i tak dalej.

Nie wierzyłam własnym uszom. Pieprzona karuzela? Kurza stopa. Biedna Violet na drugie urodziny dostała dosłownie jedną lalkę. Moja mama zawsze powtarzała: im mniej zabawek, tym lepiej, bo dzieci zmuszane są do rozwijania wyobraźni, kiedy wymyślają nowe igraszki z zabawkami, które już mają, w przeciwieństwie do niekończącego się kupowania coraz to nowych. Jezu. Po

dziesięciu kolejnych pytaniach doktor Poundschlosser wreszcie zakończył wykład informacją, że zgłoszenia na spotkanie tej samej grupy w przyszłym roku można znaleźć w lobby, razem z kopertami z jego broszurkami, no i oczywiście że jego nowa książka znajdzie się w księgarniach za miesiąc.

Wszyscy wreszcie wstali i skierowali się do wyjścia. Miałam właśnie rzucić komentarz na temat wykładu, kiedy uciszyła mnie entuzjastyczna opinia Bee - był to najwspanialszy wykład, jaki kiedykolwiek słyszała.

- A jaki on błyskotliwy - kontynuowała Lara zachwyconym tonem. - Ależ mamy szczęście, że należymy do stałej grupy słuchaczek.

- Tak, podobno na liście oczekujących jest sto osób - dodała Hallie.

- Co o tym myślisz, Hannah? - zwróciła się do mnie Bee.

- Cóż, hm, było... interesująco - odparłam bez entuzjazmu.

- Wiesz, mogłybyśmy użyć swoich wpływów i wciągnąć cię do naszej grupy... - zaproponowała uprzejmie Maggie. Dzięki, ale nie skorzystam.

- Och, wiecie... mam już własne metody. Ale bardzo dziękuję.

Hallie i Lara spojrzały na siebie ośupiałe.

- Chyba nie rozumiałaś - zaczęła z przerażeniem Lara. - Połowa tych słuchaczek zabiłaby, żeby tylko dostać się do jednej z jego grup. Dosłownie zabiłaby.

- Wiem, na pewno, ale ja na razie tylko się rozglądam i... - Patrzyły na mnie zszokowane. - Może w przyszłym roku - skłamałam. I tak nikt nam nie kupi karuzeli.

17

Już myślałam, że nie spotka mnie nic bardziej szokującego niż bliskie spotkanie trzeciego stopnia z manią posiadania, kiedy nagle znalazłam się w samym centrum kolejnego dziwactwa. Stałam i patrzyłam bez słów na oszałamiającą, jakby żywcem wyjętą z filmu o prochach scenę z połykaczami ognia, żonglerami, ludźmi na szczudłach i łyżworolkach, tancerkami z Las Vegas z frędzlami na sutkach i boa wokół szyi oraz akrobatami i klaunami z tęczowymi fryzurami afro. Nie trafiłam bynajmniej do cyrku Ringling Brothers, lecz na przyjęcie urodzinowe trzylatka. Jak w starym, dobrym Studiu 54 na wystrój składały się aksamitne liny odgradzające i ścisła ochrona. Ludzie w czarnych golfach, ze słuchawkami na uszach szeptali ukradkiem do mikrofonów i komunikowali się z cateringiem, florystkami, reżyserem muzycznym, mistrzem ceremonii, opiekunem wydarzenia i kaligrafem, który w razie potrzeby wprowadzał ostatnie poprawki. Wydano obiad dla dwustu osób. Co tam śluby, bar micwy czy pięćdziesiąte rocznice ślubu: w życiu nie widziałam większej pompy niż na tej imprezie dla dzieci. Violet oczywiście była w siódmym niebie, pożerała oczami widoki, słuchała dźwięków, opychała się słodyczami. Wydawała się strasznie nakręcona, bałam się, że za chwilę wystrzeli w górę i przebiję złoty sufit. Do dyspozycji gości oddano dmuchany zamek do skakania, nawiedzony dom, minizoo, akwarium, bar, w którym dzieciaki same robiły sobie desery lodowe,

karykaturzystę i faceta robiącego znaczki. Był człowiek malujący twarze, wielka *piñata*, urządzenie do zmywalnych tatuaży. Imię MAXWELL ułożone zostało z błyskających żarówek, które zmieniały kolory Kiedy chłonęłam te wszystkie wystrojone dzieciaki i ich rodziców jedzących kawior na cienkich placuszkach i pijących koktajle Bellini, zauważyłam górę prezentów od Cartiera, Ralph Laurena, Tiffany'ego i FAO Schwarz. Przyszły mi do głowy dwa słowa: kurwa mać.

Weszliśmy z Violet do sali i rozejrzałyśmy się, a facet w przebraniu ołowianego żołnierzyka odhaczył nas na Liście. Oczy mojej córki nigdy nie były tak szeroko otwarte. W mgnieniu oka wystrzeliła przez salę, aż się za nią kurzyło, zostawiając mnie samą wśród markowo ubranych, chudych mamusiek z ich mężami bankierami w niebieskich koszulach, granatowych blezerach i spodniach khaki. Nie było widać ani centymetra sufitu - tylko chmurę balonów z namalowaną literą M. Na każdym stole stała misa z kolorowymi M&M-sami, którymi dzieciaki napychały sobie buzie. Wśród oślepiających kolorów dostrzegłam machającą do mnie rękę - to Maggie przywoływała mnie do siebie.

- Cześć, Hannah, jak się masz?

- Dobrze. Josh wyjechał na dziesięć dni, więc jest trochę nerwowo. Nie wiem, jak samotne matki dają radę.

- Z pomocą niani! - odparła Bee. Pomięłam milczeniem fakt, że większość matek musi radzić sobie bez personelu do dyspozycji, żeby mogły wyskoczyć coś przegryźć. Wolałam zmienić temat.

- Chciałam was o coś zapytać. Szukam dobrego pediatry dla Violet, nie znacie, dziewczyny, jakiegoś?

- Zdecydowanie doktor Careth - stwierdziła Maggie.

- Jesteś wspaniała. Najlepszy w mieście.

- I przystojny - dodała Bee. - Dzieciak wyje, bo zaraz będzie szczepiony przeciw gruźlicy, a tobie wszystko jedno, bo doktorek jest uroczy!

Och.

- Jest świetny - kontynuowała Maggie. - Jeżeli nie będziesz mogła się do niego dostać, użyj mojego nazwiska. Teoretycznie nie przyjmuje nowych osób, ale zrobi wyjątek dla przyjaciół stałych pacjentów. To naprawdę najlepszy specjalista.

Jasne, że Violet musiała dostać to, co najlepsze. Cieszyłam się, że dziewczyny okazały się chętne do pomocy. Kto by pomyślał, że trzeba podać nazwisko, by dostać się do lekarza?

- Hannah - zagaiła Bee. - Martwię się o ciebie. Wszyscy niedługo ulatniamy się do Hamptons, a ty zostaniesz zupełnie sama. Może pojedziesz z nami? Josh będzie potem przyjeżdżać na weekendy. Mamy dom gościnny, może być do twojej dyspozycji.

Wzruszyła mnie tym miłym zaproszeniem, ale nigdy w życiu nie zostawiłabym Josha. Ledwie wyjechał, a ja już cierpiałam. Nie rozumiałam, jak małżeństwa mogą funkcjonować na odległość.

- W każdą środę mamy wieczór panieński na sto dwadzieścia osób, będzie świetnie! - ciągnęła Bee.

Uwielbiam babskie imprezy, ale to nie brzmiało zbyt zachęcająco. Nie wytrzymałabym tyle bez Josha, już i tak dostatecznie długo siedział w pracy.

- Dziękuję. Brzmi świetnie, hm... może - zaczęłam się wykręcać. Bee i Maggie popatrzyły na siebie, najwyraźniej czuły, że się waham. - No nie wiem, nie lubię być daleko od Josha. Ten tydzień już jest dla mnie trudny.

- J a k dawno się pobraliście? - zapytała Maggie.

- Trzy lata, tak? - uprzedziła mnie Bee. - Czyli wciąż nowożeńcy! Park i ja jesteśmy razem od ośmiu lat, pięć lat po ślubie. Przejdzie ci, zobaczysz.

Skinęłam bez słów, wiedziałam bardzo dobrze, że to się nigdy nie zdarzy. Moi rodzice byli małżeństwem od trzydziestu pięciu lat i osobno spędzili chyba tylko jedną noc; małżeństwa, w których mąż spędzał sześć godzin dziennie, jadąc do pracy, nie były popularne na Zachodnim Wybrzeżu. Ten pomysł pozostanie mi obcy.

Podeszła do nas Hallie z kieliszkiem szampana w ręku.

- Cześć, dziewczyny! - zawołała, unosząc kieliszek. - Zdrówko! Świątuję: Julia Charlotte umie sama siadać na nocniku. Sama! Thatcher i ja jesteśmy wniebowzięci - chwaliła się. - A jak Violet daje sobie z tym radę, Hannah?

- Hm... jeszcze nie próbujemy. - Naprawdę chciałam zacząć ją uczyć, ale wobec tej całej przeprowadzki nie mogłam jej do niczego zmuszać w kwestii nocnikowej.

- Naprawdę? - Hallie aż drżała z podniecenia. - My zaczęliśmy, kiedy mała miała siedemnaście miesięcy. Naprawdę powinnaś jej przypilnować. Już niedługo przyjdzie czas starać się o miejsce w przedszkolu!

Violet przybiegła do nas w towarzystwie Westona, Maxwella i kilkorga innych dzieci. Wśród nich znajdowała się Julia Charlotte, która nagle podeszła do mojej córki i uderzyła ją w twarz.

- Ała! - krzyknęła Violet. Byłam przerażona.

- W porządku, już dobrze - zwróciłam się do Violet i Hallie, starając się załagodzić sytuację.

- Och, te dzieci - stwierdziła Hallie, nie próbując nawet przeprosić za atak jej rzekomo genialnego dzieciaka.

Kilka minut później Julia Charlotte ciągnęła Violet za rękę. Kiedy ją nagle puściła, mała wylądowała na podłodze,

potrącając Maxwella, który również upadł. Nic się naprawdę nie stało, ale jubilat wybuchnął płaczem i zaczął wyć. Lara rzuciła mu się na ratunek, posyłając mi mordercze spojrzenie.

- Tak mi przykro - wyjąkałam. - Violet upadła i przypadkiem...

- Chodź do mamy, mój słodki - przemawiała do Maxwella czule i kołysała go, przyciskając do piersi obleczonej w bluzkę od Diora. - Ta brzydka dziewczynka cię uderzyła. Nie pozwolimy jej więcej na to.

Stałam jak wryta. Moja córka oberwała w głowę i tylko „och, te dzieci”. Ale kiedy przypadkiem potrąciła tego mówiącego po chińsku lalusia, nagle stała się brzydką dziewczynką. Walić to. Wzięłam Violet na ręce, żeby zabrać ją z tego pozłacanego cyrku.

- My już chyba pójdziemy - oświadczyłam Maggie i Bee.

- Pa - pożegnała się Bee, pochylając się do pocałunku w powietrzu. - Nie przejmuj się Larą. Ona jest nieco nadopiekuńcza.

Wychodząc, dostrzegłam Hallie tulącą do siebie Julię Charlotte. Bee i Maggie dolewały sobie chardonnay, a przyjęcie trwało dalej.

...a na siedemnastocalowym ekranie komputera...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliott: Hannah=nieudacznik.

Maggs10021: Dlaczego?

BeeElliott: Nie wiem. Jest wkurzająca.

Widziałas, że wcale się nie zachwycała

Poundschlosserem? Ten facet to prawdziwy bóg, jeżeli chodzi o rozwój dziecka. Co ona sobie myśli, że jest taką wspaniałą matką i nie potrzebuje jego rad?

Maggs10021: Nie wiem, on czasami wydaje się taki przytłaczający...

BeeElliott: Nieważne.

Maggs10021: Wciąż masz zamiar zaprosić ją do naszej grupy NWD? Powinnaś, ona jest fajna, Bee. I musi być wśród ludzi, i w ogóle.

BeeElliott: Okej, okej. Zaproszę ją.

18

Następnego dnia była niedziela, a bez męża nie bardzo wiedziałam, czym zająć siebie i Violet. Dostałam krótkiego maila od Josha z trzema nowymi tytułami pornosów, które wymyślił (*Panienka sobotniej nocy*, *Tykalni* i *Tylko dla twoich ud*), ale poza tym czułam się paskudnie. Leigh wyjechała z jakimś zespołem, nie mogłam się skontaktować z żadną z kalifornijskich przyjaciółek, więc wybrałyśmy się z Vi do parku na nieskończenie długi spacer. Wypełnił nam prawie całe popołudnie. Czułam na sobie dziwne spojrzenia matek - za żadne skarby świata nie pozwoliłyby dzieciom nawet zbliżyć się do piaskownicy, więc siedziałyśmy same i bawiłyśmy się w piasku, w którym wcale nie było zużytych strzykawek... Tylko piach. Wyszłam małą na huśtawki i ze zdziwieniem spostrzegłam, jak urosła. Mała gumowa huśtawka z otworami na nogi była moją miarą, podobnie jak już zbyt ciasny sweter. Takie same mieliśmy w San Francisco. Pamiętam, jak robiłam zdjęcia, kiedy pierwszy raz wsadziliśmy rozbawioną Violet na huśtawkę, dopiero co wtedy zaczęła siadać. Wreszcie wsadziłam ją do wózka i wróciłyśmy do domu, gdzie natychmiast zasnęła. Wzięłam ją na kanapę i przykryłam nasze nogi dużym, ciepłym kocem. Nie było aż tak chłodno, ale potrzebowałam jakiegoś namacalnego pocieszenia, czegoś prostego: koca i kółeczek z makaronu w sosie pomidorowym. Nałożyłam sobie miseczkę i uśmiechnęłam się na myśl, że wiele kobiet miało osobistych kucharzy,

a ja miałam puszki szefa kuchni Boyardee. Westchnęłam, bo gdyby Lara albo Hallie zobaczyły, że jem takie badziewie a la Britney Spears, sponiewierałyby mnie jak psa.

Dla niektórych niedziele oznaczają długie spacerowanie z trzymaniem się za ręce, lekkie francuskie tosty i leniwe czytanie opasłych gazet, ale według mnie są ponure, aż skreca. W niedzielę mam ochotę się powiesić albo urządzić węglowodanową wyżerkę. Moim zdaniem te dni naznaczone są trującym syndromem, który nazywam Duchem Zadań Domowych z Przeszłości. Jeszcze teraz mam mdłości, kiedy przypomnę sobie lata lęku na myśl o szkole i piętrzącym się stosie zeszytów z zadaniami domowymi, którym trzeba było stawić czoła, kiedy naczynia po śniadaniu zostały pozmywane, a kartony z mlekiem i sokiem pomarańczowym odstawione do lodówki. Ale tego popołudnia miałam w planach makaron, nie podcinanie żył, i gdy zjadłam swoje śmieciowe jedzonko, wyjrzałam przez okno na ten cały chaos na zewnątrz, a potem zamknęłam oczy, żeby powstrzymać napływające łzy.

Kiedy byłam małą, rodzice zamawiali jedzenie z Hunan Garden (jedenaste przykazanie: będziesz zamawiał chińszczyznę w niedzielę), a potem przejęci oglądali Mike'a Wallace'a. Stresujący zegar w programie *60 Minut* odmierzał przerwy na reklamy, a ja miałam ochotę ciskać swoimi plackami z zieloną cebulką. Ten pieprzony wielki zegar. Pokazywał upływające godziny mojego życia tydzień po tygodniu, a wielki sekundnik każdym ruchem pożerał jedno uderzenie mojego serca.

Okej, byłam nastolatką ze skłonnością do melodramatów. Teraz przechodziłam nawrót, bez burzy hormonów i szkoły, które mogłabym winić. Czułam się jak w liceum, jak nowa, która przeniosła się w środku semestru i którą nauczyciel przedstawia całej klasie, każąc im wyciągnąć

do mnie rękę na przerwie. Musiałam odpuścić. Ludzie ciągle się przeprowadzają, mężowie podróżują, a żony same zajmują się domem, chlip-chlip. Pominąwszy moje niezbyt wyszukane danie, siedziałam w miłym mieszkaniu, nie w norze. Miałam szczęście! Wiedziałam, że muszę przestać smęcić. Ile kobiet wegetowało w miastach, których liczba mieszkańców wynosiła pięćset czterdzieści siedem... Ja znalazłam się w tętniącej życiem metropolii z całym mnóstwem rozrywek! Chociaż w tej chwili żadna nie wydawała mi się atrakcyjna. Wczołgałam się pod koc tuż obok drzemiącej Violet i chwyciłam magiczny, kojący nerwy przedmiot: pilota. W telewizji nie było jednak nic ciekawego. Kaznodzieje, wiadomości, nuda. Achhhh, niedziela, sól na moją krwawiącą, zadaną sobie samej ranę. Oto ja, obżerająca się kupnymi kółeczkami, zastanawiająca się jak kiedyś, dokąd zaprowadzi mnie przyszłość. Zmieniałam kanały, w duchu modląc się o jakiś film z Molly Ringwald, który ukoiłby moje zbolałe, udręczone serce. Jej samotność wśród trzaśnięć szkolnych szafek bogatych i bezdusznych dzieciaków, jej nadąsany uśmiech pomogłyby mi przetrwać popołudnie. Niestety, ani śladu Molly. Ona sama, biedactwo, miała trudne życie z pogiętymi palantami i chytrymi beneficjentami funduszy powierniczych, ale wszyscy mieli po szesnaście lat i całe życie przed sobą! A ja byłam prawie dwa razy, dwa razy starsza. Wybrałam Food Network, strefę mojego nowego nałogu, a w końcu zasnęłam podczas pokazu przygotowywania sosu.

19

Z wiadomości zostawionej przez Lilę wynikało, że sprawa jest pilna. Z sercem walącym jak oszalałe pobiegłam do telefonu, pełna obaw, czy przypadkiem nie chodzi o Josha. Zostawiłam trzy wiadomości, pewnie niesłyszalne z powodu mojej zadyszki, i znowu wykręciłam numer apartamentu.

- Rezydencja państwa Deelinkham, słucham? - dobiegł mnie głos pokojówki.

- Och, dzień dobry, tu znowu Hannah. Czy pani już wróciła?

- Nie, proszę pani. Jeszcze nie - och, chyba właśnie przyszła. Proszę poczekać.

Po jakiejś minucie Lila podeszła do telefonu.

- Halo? - usłyszałam wesołe ćwierknięcie.

- Lila, tu Hannah, czy wszystko w porządku? i

- Dzień dobry, kochanie. Tak, w porządku. Chciałam tylko zapytać, czy będziesz mogła przyjść na spotkanie? Chodzi o komitet dobroczynny N W O D. Zbliża się uroczysty lunch dla pań i pomyślałam, że powinnaś przyłączyć się do tej grupy. Wiesz, wiele ważnych nazwisk. Bee jest wiceprzewodniczącą. Nie wspominała o tym przypadkiem?

Nie wspominała. A co mnie to w ogóle obchodzi, nie lubiłam „uroczystych lunchów” i nie wiedziałam, z jakiego powodu ten był urządzany.

- Co to jest N W O D? - zapytałam.

- Nowojorczyacy Walczący z Otyłością u Dzieci - wyjaśniła. - Bardzo, bardzo ważna kwestia. Nasze społeczeństwo zaczyna być bez miary. A te dzieci, biedne maleństwa. No, może nie powinnam mówić „maleństwa”. One są ogromne. Olbrzymie - oglądałyśmy zdjęcia trzecioklasisty, który ważył więcej ode mnie! Tragedia. Czasem powodem jest zjadanie wszystkiego, co im wpadnie pod rękę, jak to robią ich otyli rodzice. Ale czasem, niech Bóg ma w opiece te serca z zablokowanymi arteriami, nie jest to ich wina. Winne są gruczoły.

Wydało mi się interesujące, że akurat tą kwestią, chociaż tak smutną, Lila, jej przyjaciółki i Bee chciały się zająć.

- Jasne - powiedziałam słabym głosem. - Przyjdę.



„Spotkanie” komitetu N W O D zmieniło się w koktajl party dla pań. Wcześniej zabrałam Violet do parku, zrobiłam jej obiad i poprosiłam Amber, żeby przyszła tylko na dwie godziny. Chciałam być przy małej, kiedy będzie szła spać. Pieszko udałam się do Lili, pod jej domem czekał już na nas szofer. Powiózł nas Madison do Carnegie Hall i zatrzymał się przed pięknym budynkiem przy Piątej Alei, którego okna wychodziły na jezioro w Central Parku. Instynktownie wyczułam, że panie wchodzące do budynku z szarymi markizami szły tam, gdzie my - wyglądały, jakby korzystały z usług tego samego domu mody.

Już w środku Eloise Skadden Tiverton witała swoich gości, a dwie dziewczyny z komitetu wypisywały plakietki z imionami, które przyczepiłyśmy sobie do bluzek (tylko nie przyklejane identyfikatory, zniszczyłyby ubrania!). Weszłyśmy dalej, tam dziesięciu kelnerów w smokingach

proponowało przekąski, ale żadna z pań nie przyjmowała propozycji. Stały w grupach i rozmawiały, a ja podążałam za Lila jak cień. Nikogo tam nie znałam.

- Wyjeżdżamy na południe Francji na miesiąc! - wykrzyknęła jedna z pań. - Ruszam jutro wieczorem. Jestem zachwycona! Zabierzcie mnie z tego piekła!

- My jedziemy do Little Compton pierwszego sierpnia, kiedy miasto pustoszeje. Do tego momentu Lawrence musi pracować, a ja już odliczam dni. Prescott wróci wtedy do domu ze swojej podróży do Putney, potem Fifi przyjeżdża z Welby Van Horn i następnego dnia ruszamy! Już nie mogę się doczekać. Naprawdę potrzebuję tych wakacji.

Zastanawiałam się, dlaczego wszyscy tak potrzebowali wakacji. A tymczasem Lila, która paplała ze swoimi udręczonymi przyjaciółkami, nie miała nawet ochoty mnie im przedstawić. W pewnej chwili oświadczyłam jej, że idę do baru po wodę. Może delikatne przypomnienie, że istnieję, skłoni ją do przyznania się do mnie przed znajomymi? Ale ona powiedziała tylko:

- Bądź tak dobra i przynieś mi pellegrino. Z plasterkiem cytryny i odrobiną lodu.

Fajnie. Poszłam do baru i czekałam cierpliwie na swoją kolej, kiedy weszły Bee i Maggie. Lila podeszła prosto do Bee, ucałowała ją w oba policzki i uściśnięła rękę Maggie. Popatrzyłam na jej pellegrino, które właśnie podał mi kelner, i aby zapomnieć o narastającym zakłopotaniu, zaczęłam liczyć bąbelki. Maggie zauważyła mnie w rogu i podeszła, zmniejszając moje skrępowanie.

- Cześć, Hannah - rzuciła słodko. - Nie wiedziałam, że się tu wybierasz. Cieszę się, że cię widzę.

- Tak, sama nie wiedziałam, teściowa dopiero niedawno mi powiedziała.

- O, myślałam, że Bee cię zaprosiła. Mówiła **mi**, że chciała...

- W porządku, jest taka zajęta.

Maggie zaproponowała, żebyśmy gdzieś usiadły, ciąża i upał sprawiały, że robiło jej się słabo. Zapytałam ją, kiedy zacznie się spotkanie.

- J u ż się zaczęło! - odparła. - Wiem, jest dziwne. To raczej rozpoczęcie.

- Rozpoczęcie czego? - zapytałam idiotycznie.

- Wydarzenia. No wiesz, takie spotkanie wstępne.

Fotograf trząsał fotki łabędzic w grupach, między innymi zbliżenie obejmujących się Bee i Lili. Wreszcie Bee przestała pozować, podeszła do nas i usiadła.

- J e s t e m wykończona - jęknęła, przykładając wymakniurowaną rękę do czoła. - West zachorował, biedactwo. - Spojrzała na swój wysadzany brylancikami zegarek.

- Na pewno chcesz już iść - powiedziałam współczująco. - Tak naprawdę ja też muszę się zbierać.

- Och, nie idę do domu! Mam obiad dla MTWD, Mniej Trądziku, Więcej Dumy, a potem wybieram się do Bungalow 8 z przyjaciółmi, którzy przyjechali do miasta.

I to by było tyle w kwestii powrotu do chorego dziecka.

Wstałam i chciałam się wytłumaczyć, że muszę wracać do córki, ale nie udało mi się znaleźć Lili. W końcu usłyszałam jej głos. Padło moje imię.

- Hannah to po prostu nie Bee - szepnęła jak na spowiedzi do innego blond szkieletu. - Muszę porozmawiać z Joshem, ona powinna się bardziej starać. Nie chcę, żeby moja wnuczka skończyła w złym środowisku: grupy zabaw, szkoły, zajęcia, wszystko.

- Och, Lila, to nie będzie miało miejsca - zapewniła ją przyjaciółka.

- Z taką matką nigdy nie wiadomo! Popatrz na Bee Elliott i jej przyjaciółki, wszystkie takie urocze, ich dzieci chodzą do Carnegie. Modłę się o to samo dla małej Violet. Wtedy znajdzie się na dobrej drodze życia.

Do oczu napłynęły mi łzy. Wybiegłam na korytarz, zanim ktokolwiek zdołał to zauważyć. Przez drzwi ze złotymi prętami wypadłam na ulicę i wybuchnęłam płaczem. Sprawdziły się moje najgorsze przeczucia: Lila widziała mnie jako kłopot, a nie atut swojej rodziny. Chyba od dawna byłam tego świadoma, ale wypowiedziane głośno i wyraźnie słowa oznaczały ostateczny koniec złudzeń. Tak bardzo pragnęłam rzucić jej w twarz „Pieprzę cię!”, ale wiedziałam, że muszę zrobić co w mojej mocy, by ją uszczęśliwić, żeby przypadkiem nie poleciała do Josha i nie nagadała, jaką jestem wyrodną matką, zupełnie nie na miejscu. Lila pozostała jedyną krewną Josha i nie chciałam, żeby był zmuszony wybierać; musiałam grać w jej drużynie.

20

Nic mnie tak nie wkurza jak Moralmama. Im więcej myślałam o komentarzu jędzowatej Hallie, że „powinnam przypilnować” Violet i jej wprawek nocnikowych, tym bardziej żałowałam, że nie posłałam jej do diabła. Ale to nie było w moim stylu. Zawsze chciałam celować w docinkach i ciętych ripostach, ale dopiero post factum wpadałam na to, co odpowiedzieć. Tego szczególnego poniedziałkowego poranka upał zdawał się nie do zniesienia. Szłam ulicą, a każdy krok wymagał wysiłku. Pociłam się niesamowicie. Za namową najpierw Bee, a potem Lili, spróbowałam dodzwonić się do doktora Caretha, pediatry z towarzystwa, ale kazano mi czekać. Przez dwadzieścia trzy minuty. Melodia, której musiałam słuchać, sprawiła, że prawie wyrzuciłam telefon przez okno. Pomyślałam, że musieli się pomylić i zwyczajnie o mnie zapomnieli, więc rozłączyłam się i połączyłam jeszcze raz. Kobieta, która odebrała, mówiła tak szybko jak ludzie czytający ostrzeżenia w reklamach samochodów i leków: „efektyubocznnetomdłościiwyciekzodbytu”. Nieważne.

- GabinetdoktoraCarethaproszęczekać.

Czekałam więc kolejne trzydzieści jeden minut. Myślałam, że zwariuję. Chciałam znaleźć gościa od tej melodii i go zabić. Wreszcie ta kobieta wróciła.

- Haloczymmogęsłużyć? - W tle zabrzmiał trylion głośnych dzwonekówteléfonoń, jakbyJerry Lewis prowadził w gabinecie telewizyjną zbiórkę pieniędzy.

- Dzień dobry, ja - moja rodzina - właśnie się tu przeprowadziła i chciałabym umówić się na wizytę kontrolną. Dla mojej dwuletniej córki. Bee Elliot jest moją znajomą, powiedziała...

- Proszę chwilezaczekać. — Znowu. - Halo? Tak, możemy panią umówić na siedemnastego grudnia, na jedenastą czterdzieści pięć.

Słucham?

- To znaczy za cztery miesiące? - zapytałam.

- Tak. Wcześniej doktor jest zajęty.

Świetnie. A co, jeżeli, Boże broń, Violet miałaby problem ze zdrowiem? Nie miałam zamiaru czekać za każdym razem, gdy potrzebny będzie lekarz, nawet jeżeli ten był „najlepszy”.

- Hm, chyba poszukam kogoś, kto przyjmie nas wcześniej. I tak dziękuję. - Klik.

Do pokoju wbiegła Violet, śpiewając piosenkę Elmo. Dziś Elmo rozmyślał o samolotach! Telewizja pokazała zmontowany materiał z dziećmi zwiedzającymi różne zakątki świata. Pomyślałam, że fajnie byłoby tak po prostu gdzieś polecieć - do Rzymu, Chicago, New Delhi, nawet w Alpy, żeby tylko towarzyszyć Joshowi w podróży służbowej (choć nie zostałyśmy zaproszone i nie pozwoliłabym córce przebywać w pobliżu piranii). Kiedy skończyła się *Ulica Sezamkowa* sponsorowana przez literkę K i cyferkę 11, wyszliśmy przejść się do Oren's Coffee Roasters, mojego dilerka, to znaczy kawiarni. Wszyscy przystojni barmani (zupełnie niepodobni do tych ze Starbucks) znali Violet z imienia i pozdrawiali ją wesoło, kiedy każdego ranka pakowałyśmy się do środka. Przypominała mi się wtedy fajna kawiarnia (nie żadna sieciówka) w Kalifornii, w której żeby związać koniec z końcem, pracowali artyści z kolczykami w nosach. Po naszej wycieczce

wszerz i wzdłuż kraju zdaliśmy sobie z Joshem sprawę, że w każdym małym mieście wszyscy ostrzy, fajni ludzie pracują w jednym z dwóch miejsc: w miejscowym sklepie muzycznym albo w kawiarni. Kiedy czekałam na mrożoną kawę z dodatkowym mlekiem pół na pół ze śmietanką i syropem waniliowym (lubiłam, kiedy moje napoje smakowały jak roztopione lody), uroczy starszy pan uśmiechał się do Violet. Chichotała, gdy robił śmieszne miny. Potem uśmiechnął się do mnie.

- Ma pan podejście do dzieci - stwierdziłam, kiedy Violet rozpromieniła się odrobinę nieśmiało.

- Jestem pediatrą - odparł. Strazał w dziesiątkę.

- Naprawdę? Bo my się sprowadziłyśmy dopiero co i potrzebuję lekarza dla Violet! Czy ma pan tu gabinet?

- Na tej ulicy - powiedział, wręczając mi wizytówkę.

- Nie byliśmy jeszcze na bilansie dwulatków, więc zaraz zadzwonię.

- Powinniśmy gdzieś cię wcisnąć, Violet - uszczypnął małą w policzek.

Uf! Małe piwo. Wykręciłam numer jego gabinetu z komórki, gdy tylko wyszedł ze swoim espresso (pewnie też strzeliłabym sobie espresso, gdybym była lekarzem), a jego przemiła recepcjonistka od razu odebrała. I chociaż w tle dzwoniły telefony, doktor mógł nas przyjąć jeszcze dziś po południu. Bingo!

Kiedy spacerowałyśmy sobie po okolicy, na wiacie przystanku autobusowego zobaczyłam plakat reklamujący wystawę u Morgana. Serce mi mocniej zabiło na przypomnienie spotkania z profesorem Hayesem i oszołomiona chodziłam aż do pory lunchu. Poszłyśmy do knajpki Three Guys na rogu Madison i Siedemdziesiątej Szóstej Ulicy, blisko gabinetu doktora Smitha. Lokal był pełen maluchów i doskonale ubranych, atrakcyjnych ma-

musiek, niektórym towarzyszyły nianie, gotowe do pomocy w trakcie lunchu. Dzieciaki całkowicie opanowały miejsce, wypełniały je kakofonią pisków, rzucały frytkami i rozlewały mleko. Violet siedziała na wysokim krzeselku i jadła grillowaną kanapkę z serem, którą jej pokroiłam na kawałeczki. Właśnie zaczęłam zdawać sobie sprawę z faktu, że znalazłyśmy się w epicentrum zwariowanej mamuśkoimprezy - w porze lunchu chyba wszystkie drogi prowadzą do Three Guys! - gdy do knajpki wkroczyła Bee z Westonem.

- Cześć, Hannah! - wykrzyknęła na nasz widok. - Miło cię widzieć! Jak minęła reszta weekendu? No wiesz, po tym wszystkim na przyjęciu?

- Dobrze, odpoczywałyśmy. Dużo spacerowałyśmy i pobawiłyśmy się w Sheep's Meadow.

- Serio? Faj, nie znoszę tego miejsca! Ci wszyscy popalający marihuanę gracze w zośkę. Nie bałaś się, że oberwiesz od tych obłąkańców rzucających frisbee?

- Ależ skąd...

- Kiedy stamtąd wracam, zawsze mam ochotę się zdezynfekować w gorącej kąpieli. W Chapin popalałyśmy z chłopakami, ale nigdy do tego nie wróciłam.

- Och.

- Troy mówił, że się nie odzywasz.

- Kto?

- Troy Kincaid. Ten pośrednik. Mielicie się zastanowić nad zmianą budżetu?

I to by było tyle w kwestii poufności rozmów z pośrednikiem.

- No tak, może w ogóle zostaniemy w wynajętym mieszkaniu.

- Cześć, dziewczyny! - Obok stolika stanęła Maggie w towarzystwie Hallie, Lary i dzieci. Świetnie.

- Przepraszamy za spóźnienie, Bee! - powiedziała Maggie. - Cześć, Hannah, cześć, Violet!

Oddział pościgowy usadowił się we wnęce tuż obok naszego stolika. Mogłyśmy rozmawiać, ale najwyraźniej one stanowiły jedną grupę, a my z Violet oddzielną, przestrzeń między stolikami oznaczała nieco więcej niż tylko przejście dla greckiego kelnera.

Właśnie wtedy do środka weszła blondynka z szóstką dzieci i trzema nianiami i cała grupa skierowała się w głąb pomieszczenia, gdzie stały większe stoliki.

- Cześć, Cindy! - rzuciła Bee, kiedy przechodzili obok.

- Och, cześć, dziewczyny - blondynka pomachała ręką, wyglądała na zmęczoną, ale jej ubranie i makijaż były nienaganne.

Kiedy ruszyła dalej, Bee nachyliła się w moją stronę przez przejście.

- To Cindy Hetherington. Miliarderka, jej teściowie wymyślili zniwiarkę. Ona rodzi na wyścigi.

O mało co nie wyplułam mojego sprite'a.

- Słucham?

- No wiesz, matka trylionów dzieci. Ma już szóstkę poniżej szóstego roku życia. Czuje się z tego powodu lepsza od innych. Jakby chciała coś udowodnić.

- Nieźle, szacunek!

- Nie zgadzam się. Jej rodzinka była nieźle popieprzona - wtrąciła Maggie konspiracyjnym szeptem. - Ojciec posuwał sekretarkę, a matka potem została lesbijką, koszmarnie!

Poczułam się okropnie, kiedy patrzyłam, jak żwawa Cindy sadzała swoją ekipę przy wielkim stole.

- Doktor Poundschlosser powiedział po cichu, że ona najwyraźniej stara się naprawiać błędy rodzinnej przeszło-

ści, rodząc tuziny blond dzieci - dodała Lara z przejęciem.
- A właśnie - spojrzała na Violet. - Hannah, skąd u diabła Violet ma te złote loki? Ty masz ciemne.

Słyszałam to pytanie nieraz, ale tym razem zabrzmiało, jakby Lara była na mnie wściekła, bo Violet urodziła się jako blondynka. Może dlatego, że Lara miała włosy blond, a Maxwell brązowe?

- Hm... tak, wiem. Ale w mojej rodzinie jest kilku blondynów, a i Josh w dzieciństwie miał jasne włosy...

- Myślałam, że kolor brązowy zawsze dominuje. - Maggie wydawała się zdezorientowana. Zaraz, czyżbym została właśnie oskarżona o romans z listonoszem? No i brązowy dominuje? Chodziło im o dominację genetyczną?

- No, nie zawsze... - nie zgodziłam się. - Mam pewnie geny recesywne niebieskich oczu i blond włosów, wiecie, jak w tym diagramie z dużym „B” i małym „b”? - Żadnej reakcji. - Dziewiąta klasa, biologia? - Podobno te laski chodziły do cholernego Princeton!

- Czasem to obserwuję - odparła Bee. - To się rzeczywiście zdarza. Takie dziwactwo.

- Nie rozumiem - rzucała się lekko już wkurzona Lara. - Jestem jasną blondynką, a Maxwell i tak ma brązowe włosy! To nie fair.

Reinkarnacja Hitlera, czy co? Jak chciała należeć do aryjskiej społeczności, powinna się przeprowadzić do boskiej krainy w rolniczym Pacific Northwest. Nie fair? Okej... niesamowite. To znaczy: kogo to obchodzi? Poza tym trochę to dziwne i bardzo narcystyczne ze strony blondynki stwierdzić, że „lepiej” jest być jak ona.

- Może tego lata w Hamptons słońce rozjaśni mu włosy - powiedziała, głaszcząc Maxwella po puszystych lokach. Biedak. Byłam pewna, że wyleje mu na głowę wiadra

rozjaśniacza, soku z cytryny, a może nawet czystej wody utlenionej i kiedy wróci do domu, zwali wszystko na słońce na plaży. Pusty śmiech. Po latach opowiadania dowcipów o blondynkach fakt, że moja córka okazała się jedną z nich, wydawał się nawet zabawny, tylko że ona była inteligentna!

- A przy okazji - zagaiła Hallie. - Potrzebuję nowej niani na weekendy. Nie znacie jakiejś? Chciałam pożyczyć jedną od Miffy Henderson, ale...

- Nie, nie, nie, nie - poinstruowała ją Bee. - Nigdy nie pożyczaj personelu.

- Dlaczego? - zainteresowała się Hallie.

- Bo to zły pomysł. Miffy może jej użyć dla zdobycia informacji o tobie. Albo ci ją zabierze, kiedy sama będzie potrzebować pomocy. Zaufaj mi, to nic dobrego.

Jezu, kto by pomyślał, że wśród niań panuje moda na szpiegostwo?

- Trudno znaleźć taką, która zamieszka u ciebie tylko na weekendy - westchnęła Hallie. - A Thatcher lubi wychodzić i się bawić, więc niania musi u nas spać. No cóż, jeżeli usłyszycie o jakiejś, dajcie mi znać.

Właśnie w tym momencie idealna, wspaniała Julia Charlotte, sikająca do nocnika i z wysokim IQ, rzuciła we mnie garścią groszku, co było sygnałem, że czas już iść. Pożegnałam Bee i spółkę i wzięłam Violet na spacer do gabinetu doktora Smitha.

Weszliśmy do przyjemnej poczekalni, gdzie dostrzegłam mnóstwo zabawek, samochodzików, dinozaurów, a nawet zabawkową kuchenkę.

- Mamusiu, kuczeńka, kuczeńka - krzyknęła zachwycona Violet i rzuciła się w stronę piecyka. Po kilku minutach wyszedł doktor Smith i zaprosił nas do gabinetu, operowo wyśpiewując imię Violet. To było takie urocze,

że popędziła przez poczekalnię, rzuciła mu się w ramiona i mocno uściskała.

Od razu go pokochała, a co najważniejsze, ja też go pokochałam. Był lekarzem w starym stylu, nie tylko z powodu wieku i wyglądu dziadka, ale dzięki swoim okularom, fartuchowi i zniszczonym dłoniom, które trzymały tyle dzieci. Od razu wiedziałam, że robię dobrze. Kontrola poszła znakomicie, a kiedy z ciekawości zapytałam o wzrost i wagę Violet, odparł, że na siatce centylowej osiągnęła dziewięćdziesiąt procent, i prawie umarł ze śmiechu, gdy zechciałam poznać obwód głowy.

- Nie mówi pani poważnie - odparł.

- Ktoś mnie o to zapytał. - Zaśmiałam się. - Nie żartuję.

- Proszę posłuchać. Niech pani nie zwraca uwagi na te zwariowane matki z okolicy - polecił. - Tylko wymyślają, w czym mogłyby konkurować. To mamzille.

Uśmiechnęłam się, oczami wyobraźni widząc Bee jako T-Rexa, wielką i jaszczurkowatą, niosącą w jednym pazurze gigantyczną torbę od Hermesa i odgryzającą głowy niemodnym matkom.

- Wiem, tylko... czasem się stresuję. Czuję się jak najgorsza matka na ziemi, bo Violet wciąż pije z butelki!

- Na studia z nią nie pójdzie. - Doktor się uśmiechnął.

- O Boże, dokładnie to samo mówi mąż o smoczku!

- Mądry gość.

- A jej przywiązanie do lalki SpongeBob?

- Do ślubu z nią nie pójdzie, zapewniam panią - odparł.

Poczułam, jak na moje serce spływa balsam jego zdrowego rozsądku. Stara szkoła.

- Wciąż jej się czasem ulewa z buzi...

- Szkoda więc, że pani mąż nie prowadzi pralni **chemicznej**.

Zaśmiałam się. Chciałam jeszcze o coś zapytać?

- Czasem zupełnie bez powodu, co kilka tygodni, ma rozwolnienie. Czy to normalne? To znaczy nagle dostaje biegunki, ale jednorazowo.

- To proszę wtedy nie dawać jej soku, a jeżeli jest w dobrym nastroju, niech ją pani trzyma z dala od lekarzy.
- Pogłaskał małą po główce i poczułam, że jesteśmy w dobrych rękach, zupełnie jakbyśmy znowu znalazły się w Kalifornii.

W drodze do domu próbowałam wytłumaczyć sobie, że w innych częściach kraju też nie było wcale tak różowo - mamzille to nie tylko choroba Nowego Jorku. Moja przyjaciółka Victoria mieszkała w Los Angeles i opowiadała mi o koszmarnych Santa Mamuśkach, które opanowały zachodnią część miasta, pouczając wszystkich wokół na temat opieki nad dziećmi oraz otaczając się stadami nian. Poza tym z powodu całego tego show-biznesu rodzice stawali tam na rzęsach z okazji urodzinowej imprezy dzieciaków, bo maluch był dzieckiem kierownika studia filmowego, agenta, producenta albo znanego aktora.

Ale i tak Nowy Jork okazał się inny. Zdałam sobie sprawę, że przyjaciółki Bee, chociaż nie rozumiały, jak działa DNA, były inteligentne. Choć znudzone. Bycie niepracującą mamą równało się pracy na trzy etaty, a to oznaczało więcej zajęć niż na większości posad. Ale te kobiety miały zastępy osób wynajętych do pomocy i podejrzewałam, że dzień po dniu umierały z nudów. Nie mogłam jak one zajmować się spotkaniami i martwić o najlepsze szkoły, ubrania, a także lekarzy. Po prostu nie mogłam. Zbyt dobrze znałam siebie i wiedziałam, że ten stok był zbyt śliski. Gdybym stała się częścią tego świata, umierałabym

stopniowo. Problem jednak polegał na tym, że Violet naprawdę zasługiwała na najlepsze, więc chociaż nienawidziłam tego miejsca, musiałam się dostosować i grać w ich grę. Bee i jej brygada robiły wszystko, by sprawić wrażenie supermam, ale to wszystko ściema. Miały zaklepane zastępstwa nawet na wypadek, gdyby weekendowa niania nawaliła. W życiu nie zostałyby same z dzieckiem!

Przypomniałam sobie, co Josh raz mądrze powiedział, kiedy padałam z nóg po całym dniu spędzonym z Violet:

- Zapłacisz teraz albo w przyszłości.

Miał rację; może Bee i jej przyjaciółki potrzebowały pomocy na miejscu 24/7, ale przyszła zdobywczyni Nobla Julia Charlotte mogła się w końcu zbuntować. A Maxwell może zostać performerem. Nie da się bez reszty kontrolować dzieci ani tego, jak się rozwiną. Potrzebowałam więc tylko czegoś, co wyciągnęłoby mnie z tego bagna. A to coś miało nadejść nazajutrz.

21

Ucałowałam śpiącą Violet w czółko, pomachałam Amber, na paluszkach wyszłam z domu i udałam się na spotkanie z Tate'em Hayesem. Wybiła dokładnie czwarta po południu, kiedy zobaczyłam, jak stoi przy podwójnych drzwiach Morgana, ubrany w szarozieloną marynarkę, białą koszulę i dżinsy.

- Hannah! - zawołał, przeciągając dwie sylaby, jakby moje imię było pierwszym słowem wiersza.

- Cześć, profe... Tate - spuściłam wzrok i oblałam się rumieńcem. Nadal myślałam o nim jak o wykładowcy. Dziwne, może teraz zostaniemy przyjaciółmi? Ale nigdy nie równymi sobie, był zbyt ważną osobą w moim życiu, żeby zmienić się w zwykłego kumpla.

- Wchodzimy? - zaproponował.

Spacerowaliśmy po zachwycających marmurowych salach byłego domu J. Pierponta Morgana na rogu Trzydziestej Szóstej Ulicy i Madison Avenue. Chociaż oglądałam filmy, które stylowo ukazywały architekturę z przełomu wieków, nie mogłam uwierzyć, że kiedyś ludzie naprawdę mieszkali w centrum miasta w tak luksusowym, wyłożonym aksamitem otoczeniu. Oprócz ogromnej kolekcji rycin, którą przyszliśmy obejrzeć, w muzeum została zachowana biblioteka Morgana z rzadkimi księgami oraz gabinet tak ozdobny i piękny, że nie mieściło się w głowie, jak ktoś w ogóle mógł w nim pracować: moją uwagę na przykład odwracałyby bogate, brokatowe zasłony, precy-

zyjnie rzeźbione meble i obrazy na ścianach malowanych ręcznie za pomocą szablonów.

Zwiedziliśmy prawie cały budynek, ja w swoich butach na płaskich obcasach praktycznie kroczyłam po marmurowej podłodze na paluszkach. Kiedy dotarliśmy do małego malowidła na miedzi, zatrzymaliśmy się, by mu się przyjrzeć. Pamiętam, że profesor zawsze uwielbiał tego typu dzieła sztuki; podszedł bardzo blisko, jakby chciał spenetrować ramę swoim przeszywającym wzrokiem.

- Popatrz na tę emalię - wskazał. - Popatrz na owoc w dolnym prawym rogu. - Położył rękę na moim ramieniu i popchnął mnie lekko, żebym lepiej przyjrzała się malunkowi; temat stanowili Adam i Ewa. - Farba położona jest na miedzi, nic nie przecieka przez strukturę płyty czy pory płótna. Możemy z bliska przyjrzeć się farbie, kremowej, zmysłowej, o jaskrawości, której nie widać na innych powierzchniach. Malarz tymi pociągnięciami przenosi nas do samego raju - rozwodził się, podczas gdy ja patrzyłam na dzieło. Niezwykła prywatna lekcja...

Opisał liście jako wzdychające i ciężkie od zielonych, błyszczących pociągnięć pędzla, a pierwszych ludzi jako gibkich od jedwabnych tonów, gdy ich korpulentne ciała przyciągały nasz wzrok do mlecznej skóry i spadających kaskadami jasnych włosów Ewy.

Potem obejrzeliliśmy pejzaż Hendrika Avercampa - oblodzona przestrzeń kanału z łyżwiarzami tańczącymi w zimowym powietrzu na zamrażniętej wodzie.

- Ten szary, lekki filtr - zauważył, wskazując zadymioną powierzchnię dzieła - nie oślepia ryczącymi lwami czy wygiętymi nagimi ciałami; to wyciszona, delikatna rzeczywistość z mieszającymi się klasami. Popatrz na ten powóz bogacza - wskazał. - Wszyscy są połączeni tym ostrym chłodem zimy, cała hierarchia zamarzała w tej wodzie.

Tate Hayes był prawdziwym historykiem, stał się moim przewodnikiem po zawłóściach społecznych tamtych czasów.

- Holendrzy zapisali swoją historię w sztuce - wyjaśnił, pokazując mi jeden za drugim obrazy, w których pobrzmiwały echa zmian siedemnastego wieku. - Polityczne i religijne metamorfozy upamiętniano za pomocą pędzla.

Zupełnie jak wtedy, gdy byłam studentką, oddychałam powoli, a moja skóra zaróżowiła się z podniecenia, które nie miało wyrazu seksualnego, lecz raczej poznawczy. Czasem muzyka wywołuje we mnie to samo uczucie, ale wtedy pozostaję pasywnym słuchaczem. Teraz czułam, że się uczę, wchłaniałam jego słowa tak, jak wysuszona na wiór, stwardniała gąbka wchłaniałaby wodę. Byłam spragniona zwłaszcza informacji podanych w tak poetycki sposób. Po dwóch latach gaworzenia z ukochaną córką pełen emocji przypływ jego słów uzmysłowił mi, jak bardzo pragnęłam tego spotkania. Przypomniałam sobie, kim jestem, i obudziłam w sobie uśpioną pasję do sztuki.

Kiedy obejrzelśmy nowo wystawioną kolekcję, usiedliśmy w zalanej słońcem herbaciarni. Tak naprawdę to nie lubię herbaty, ale wypijałam filiżankę z niezliczonymi łyżeczkami miodu, jak dziecko w sklepie ze słodyczami. Tak właśnie się czułam. Rozmawialiśmy o jego żonie i dwóch synach (nazwali ich Leonardo i Marcello - jego żona pochodziła z Mediolanu, uczyła na Uniwersytecie Nowojorskim) i o tym, że czasem tęskni za San Francisco.

- Tutaj jest więcej substancji, charakteru, energii - opowiadał o naszym nowym domu. - I oczywiście więcej sztuki, nie tylko wspaniałych muzeów, lecz także ukrytych skarbów w postaci prywatnych kolekcji. W zeszłym tygodniu byliśmy na koktajl party na Piątej Alei. Sztychy

wiszące w korytarzu prowadzącym do kuchni zapierały dech w piersiach. W toalecie umieścili Durera! Kiedy wszyscy ci ludzie spoufalali się ze sobą i podjadali kawior, wymknąłem się, by chodzić po niekończących się korytarzach i studiować obrazy; prawie nic nie zjadłem, ale czułem się syty.

Tate mógł żyć samą sztuką, ja jednak potrzebowałam nieco więcej. Pomyślałam o jedzeniu, spojrzałam na zegarek i zdałam sobie sprawę, że muszę iść przygotować obiad dla Violet. Uciekłam więc w stylu Kopciuszka - pośpiesznie się pożegnałam i zebrałam swoje rzeczy. Ale po drodze nie zgubiłam kryształowego pantofelka. Pozostała mi tylko nadzieja, że może zadzwoni i znowu zaprosi mnie na wspólne oglądanie dzieł sztuki.

22

Dzięki Maggie i Bee Szkoła Muzyczna Prescott Milford, znana także jako Juilliard dla dwulatków, w ostatniej chwili znalazła dla mnie i Violet miejsce na swoim kursie *Mama i ja*. Lila była zachwycona, kiedy z radością jej o tym doniosłam. Na zajęciach miałyśmy do wyboru dwie ścieżki: Rodzic/Dziecko lub Opiekun/Dziecko. I tak już byłam winna komuś wielką przysługę, więc nie wyraziłam chęci przyłączenia się do drugiej grupy; choć kręgi matek mnie przerażały i pewnie lepiej czułabym się z nianiami. Otworzyłam list od dyrektora działu przyjęć i znalazłam podręcznik z zasadami dotyczącymi ubioru, regulaminem oraz instrukcjami, że gdybym zmieniła zdanie, muszę natychmiast powiadomić szkołę, bo istniała przecież „długa lista oczekujących” (którą chyba przeskoczyłam dzięki hojnemu datkowi rodzinnej fundacji Bee). Na szczęście zapisano nas na zajęcia dla opiekunów, co mnie bardzo ucieszyło. Najwyraźniej inne mamy wolały być z podobnymi sobie mamami - chciały uniknąć „obcych”, legalnych czy też nie.

A ja chciałam odpocząć; nianie nie pytały o wzrost ani obwód głowy na siatce centylowej. Zgłosiłam też córkę na lekcje baletu, w końcu Rudolf Nuriejew był jej nianią, kiedy Amber nie mogła przyjść - przez pierwsze trzy tygodnie po przeprowadzce rozpakowywałam pudła, więc sadzałam Violet przed starym, piszczącym magnetowidem, puszczałam kasety z *Jeziorem Łabędzim* oraz *Śpiącą kró-*

lewną i mała miała zajęcie na dwie godziny. W Akademii Baletowej na Manhattanie dowiedziałam się, że dostanie różowy trykot, różowe rajstopki i różowe baletki, a jej włosy muszą być upięte w kok. Kok? Violet nigdy nie odwiedzała fryzjera - jej włosy były długie z tyłu, a krótkie z przodu, kosmyki z trudem dawało się ściągnąć w koński ogon bez pomocy spinek, nie mówiąc już o koku. Ale hej, jeśli się chce być prawdziwą baleriną, trzeba się nosić jak balerina.

Do Święta Pracy zostały jeszcze trzy tygodnie, tego właśnie dnia nowojorska elita wracała do miasta: bramy otwierały się i wszystkie mercedesy oraz BMW przyjeżdżały z Hamptons wyładowane zapiaszczonym rzeczami, a dzieci kupowały nowe ubrania do szkoły.

Bee i jej klan przenosili się z miejsca na miejsce, ale na kilka ostatnich tygodni zatrzymali się gdzieś „daleko na Wschodnim Wybrzeżu”. Tak naprawdę przebywanie na „wybrzeżu” oznaczało noszenie szpilek oraz wielkich okularów słonecznych i zakupy w Southampton, bynajmniej nie klapki i zapiaszczone palce u stóp. Eleganckie fotele plażowe zamiast ręczników rozłożonych tuż przy wodzie i skoki do błyszczących basenów, nie do mętne-go oceanu.

Na ostatnie spotkanie Bee i ekipy, zanim towarzystwo rozjechało się w miejsca, gdzie się „letnili” (tak, takiego wyrażenia używali), zebrałyśmy się na corocznym uroczystym lunchu dla pań wydawanym w celu wsparcia N W O D ; potem Lara jechała najpierw do Millbrook, a potem do Martha's Vineyard, Maggie do East Hampton, a Hallie na Ewan's Peak, należąca do jej rodziny prywatną wyspę niedaleko wybrzeża Maine, gdzie, jak mówiła Bee, urządzali eleganckie przyjęcia w białych krawatach. Wyobraziłam sobie upudrowane damy w sukniach z końca

dziewiętnastego wieku i panów we frakach... z krakersami krabowymi w rękach. Zawsze przedkładałam burgery, hot dogi, dzinsy i koszulkę nad te rzekomo wspaniałe bzdury. Dzień, kiedy urządzę u siebie przyjęcie w białych krawatach, będzie dniem, w którym Hallie przyzna, że Julia Charlotte zrobiła coś głupiego - czyli nigdy nie nadejdzie.

W sierpniu Lila i Watts jechali do Anglii, a podczas gdy wszystkie dziewczyny nie mogły się doczekać wyjazdów, ja cieszyłam się na odrobinę spokoju, zanim zacznę się jesienne piekło - bez niezapowiedzianych odwiedzin Lili i czasem przytłaczającej obecności Bee. Nie wiedziałam dlaczego i może zachowywałam się jak paranoiczka, ale zaczynałam myśleć, że Bee za mną nie przepadała. Nie robiłam nic złego, zawsze byłam bardzo miła. Miałam tylko takie dziwne uczucie, że zachowywała się miło tylko dlatego, że tak kazała jej matka pod wpływem Lili.

Przed lunchem dla N W O D spędziłam poranek z Violet. Poszłyśmy na Times Square, żeby w otoczonej przez turystów kasie na samym środku kupić bilety na spektakl na Broadwayu, weszłyśmy też do sklepu z zabawkami Toys "R" Us i przejechałyśmy się diabelskim młynem. Jej twarz jaśniała jak ekrany LCD rozświetlające sklep, choć trochę się bała w czasie jazdy. Miło było patrzeć, jak rozkoszuje się swoim nowym miastem i nawet ja poczułam się podniekszycowana. Nie wiem, co skłoniło mnie do pójścia po te bilety, ale oboje z Joshem uwielbiamy sztuki teatralne, które chyba przywołują romantyczne wspomnienia z naszych wypraw do Nowego Jorku. Chciałam je przeżyć na nowo i odzyskać tę ekscytację na myśl, że kiedyś tu zamieszkamy. Wróciliśmy pieszo wzdłuż parku. Wciąż miałam dwie godziny do słynnego lunchu. Nie chciałam kolejny raz zirytować Lili nieodpowiednim strojem, więc aby zwiększyć swoje szanse, weszłam z Violet do Bergdor-

fa, gdzie akurat trwała wielka letnia wyprzedaż. Przymierzyłam trzy sukienki, urządzając minipokaz mody dla Violet, i kupiłam gładką, elegancką, czarną kreację z krepy z guziczkami z boku, trochę w stylu Audrey Hepburn, a trochę jak z lat czterdziestych, piękną. Czułam się dobrze. Włosy upięłam w ciasny kok i miałam buty na niewysokim obcasie, które kupiliśmy z Joshem w sklepie Emmy Hope w Londynie. Poczytałam Violet jej historyjki przed popołudniową drzemką, potem przyszła Amber z nowym numerem „Us Weekly” i przyszykowałam się do wyjścia.

Czerwony namiot zajmował część Lexington Avenue, a stado paparazzich fotografowało ważne osoby z nowojorskiego towarzystwa, które robiły sobie przerwę w letnim exodusie, aby walczyć z otyłością u dzieci.

Patrzyłam, jak każda damulka zatrzymywała się i pozowała niczym gwiazda Hollywood: kładąc rękę na biodrze i udając, że rozmawia z innymi, a fotografowie strzelali zdjęcia niby „na gorąco”. Dziwne, w kwestii mody znowu okazałam się zupełnie niezgrana z mamuškami z Upper East Side; zawsze myślałam, że nowojorczyacy noszą wyłącznie czerń, ale nie: łososiowe bliźniaki z kaszmiru, turkusowe sukienki i żółciutki garnitur wabiły wzrok pastelową fałą. Chyba zanim się tu sprowadziliśmy, przeważnie spędzaliśmy czas w śródmieściu, a teraz wśród lawiny blondynek w jasnych kolorach czułam się jak sycylijska wdowa.

- Ty zawsze w czerni! - zauważyła Bee, podchodząc do mnie. Sama była ubrana w jasnozieloną obcisłą sukienkę. - Jest przecież prawie trzydzieści stopni! Musisz się dusić! - Świetnie, pociłam się jak prosię czy co?

- Och, przecież jestem Wednesday Addams, zapomniałaś?

Nie uśmiechnęła się.

- Maggs! - rzuciła szczęśliwa, że widzi swoją kumpele.

Maggie podeszła i ucałowała nas w oba policzki. Zaraz. Wiem, że Nowy Jork bliższy jest Europie niż Kalifornia, ale ten dubeltowy pocałunek zbił mnie z tropu. Poza tym nigdy wcześniej mnie nie całowała. Może to przez wykwintne otoczenie, które różniło się od placu zabaw. No i wszystkie grały rolę wielkiej damy filantropki.

Weszła Lila, zobaczyła mnie i odwróciła wzrok. Postanowiłam podejść i się przywitać.

- O, Hannah, dzień dobry! - udała, że dopiero teraz mnie zobaczyła. - Miło cię widzieć, kochanie. - Podeszła do niej żwawa brunetka w kapeluszu z wielkim ptakiem, pocałowały się w powietrzu, a ja ruszyłam w stronę „dziecięcego” stolika, przy którym usiadłam z Maggie i Bee.

- I co, dziewczyny, podniecone wakacjami? - zapytała rozpromieniona Maggie. - My jesteśmy już spakowani, nie mogę się doczekać!

- Ach, jestem taka podekscytowana - wypaliła Bee. - Umrę, jeżeli nie wyjadę z tego piekła. Och... - przerwała, opamiętując się. - Przepraszam, Hannah.

Nagle zapadła niezręczna cisza. Ich żałość z powodu mnie, biednej, uwięzionej w Gotham, uciszyła podniecone słowa i poczułam się jak dzieciak ze stypendium socjalnym, którego wszyscy żałują.

- My się tu dopiero sprowadziliśmy, więc to żaden problem! - odparłam wesoło. Dalej nic.

- Cześć, gorące mamuśki! - przywitała się Hallie, wsuwając swoje ozdobione klejnotami palce w rude włosy. - Wybaczcie spóźnienie! Julia Charlotte czytała sama i nie mogłam wyjść! Pamięć tego dziecka jest niesłychana. Prawdziwy geniusz. - Hallie jak zwykle rozpoczęła swój nie-

kończący się monolog na temat Julii Charlotte. Zabawnym zbiegiem okoliczności inicjały Julii Charlotte to JC, a jej matka najwyraźniej uważała, że córka jest jak powracający na ziemię Chrystus.

- ...A potem powiedziała: „Mamusiu, poproszę o dodatkę gęziej wątróbki!”. Dacie wiare? Nawet jej kubki smakowe są w pełni rozwinięte. Julia Charlotte uwielbia eksperymentować z jedzeniem.

Hallie właśnie nawijała o tym, jak JC liczyła w mandaryńskim, kiedy zjawiła się Lara w ogromnym, zdobionym kwiatami kapeluszu.

- Cześć, dziewczyno, musiałam odebrać kapelusz, a kwiaty utknęły w Plaza Florists! - Na czubku platynowej głowy miała kompletny bukiet ze świeżych pąków. Z moimi ciemnymi włosami i czarną sukienką czułam się, jakbym dryfowała w morzu jedwabiu i kolorowych roślin.

Do mikrofonu podeszła kobieta. Wszystkie usadowiłyśmy się przy pięknie nakrytych stolikach z eleganckimi kryształowymi kieliszkami, porcelaną, srebrnymi sztucami i ręcznie wypisanymi karteczkami z nazwiskami. Pomyślałam sobie: „Jezu, jeżeli nie zatrudniłyby modnego kaligrafa, który ręcznie wypisał wizytówki, mogłyby wpłacić więcej pieniędzy na rzecz walki z dziecięcą otyłością”. Oglądając tłum chudych jak patyki kobiet, miałam przecucie, że ta kwestia była naprawdę bliska ich sercom - broń Boże, żeby chociaż jedna z tych „gorących mamusiek” miała w domu duże, grube dziecko.

- Drogie panie, dziękuję za przybycie - powiedziała starsza dama w białym garniturze, witając grupę stu kobiet. - Na wstępie chciałabym podziękować naszym wspólnym, oddanym współpracownikom, które tyle zrobiły w tej jakże ważnej sprawie: żonie pana Burke'a Ti-

vertona III, żonie pana Hyrama Balsapa VIII, żonie pana Westminstera Covingtona juniora i naszej wiceprzewodniczącej, żonie pana Parkera Elliotta. - No brawo, nagradzałyśmy ich „wysiłki”, które, jak podejrzewałam, ograniczały się pewnie do „spotkań” z kanapkami i fotografiami, gdy czarną robotę odwalali inni. Druga kobieta wstała i podeszła do podium, a goście zaczęli dziobać widelcami sałatkę na swoich porcelanowych talerzach.

- Tłuszcz nienasycone. Oleje. Chemikalia - powie-
działa srogo. - Dziecięca otyłość to mroczne, okropne,
tragiczne, przerażające przekleństwo, które pożera nasze
społeczeństwo.

„Przypadkowa gra słów” - pomyślałam.

- I epidemia drastycznych i zgubnych proporcji - cią-
nęła, poruszona do głębi szerzącą się i dramatyczną plagą
otyłości. - Nawet nie wiemy, co znajduje się w lunchach
naszych dzieci! Mówmy otwarcie, moje panie, żadna z nas
nie przygotowuje lunchu dla swoich pociech! - Chichoty
w tłumie. Następnie opisała złośliwa pokrzywkę u wiel-
kich, zwalistych, rozlazłych dzieciaków, a ja się wyłączy-
łam. Okropnie tęskniłam za Joshem i zastanawiałam się,
czy Tate Hayes znowu do mnie zadzwoni.

23

Wieczorem położyłam Violet spać i porozmawiałam z Joshem po raz pierwszy od trzydziestu sześciu godzin, co jeszcze nigdy się nam nie zdarzyło. Czułam się kiepsko i tak bardzo chciałam, żeby był w domu, że aż bolało; tak za nim tęskniłam, że zrobiłam nawet listę pobożnych życzeń - tytułów pornosów - a na niej znalazły się *Lolita z Arabii*, *Imperium kopuluje* i *Na złotej blondynce*. Powiedział, że też bardzo chciałby wrócić już w domu, zapytał, co robiłam, i opowiedziałam mu, jak lunch ciągnął się w nieskończoność i jak jedna kobieta wybuchła płaczem, opowiadając o swoim otyłym synu Auguście, i myślałam tylko o biednym Auguście Gloopie tonącym w rzece czekolady, skąpanym w niej jak świnia w błocie.

- Moje spotkanie było chyba bardziej interesujące niż ten lunch - śmiał się Josh. - Po co w ogóle tam poszłaś?

- Myślałam, że chcesz, żebym trzymała się z Bee i jej świtą - odparłam. - Poza tym twoja mama należy do rady. Nie miałam wielkiego wyboru.

- Oczywiście, że miałaś! Kotku, nie obchodzi mnie, czy chodzisz, czy nie, obyś się tylko dobrze bawiła - odparł radośnie. - Han, możesz trzymać się, z kimkolwiek chcesz. Pragnę, żebyś była szczęśliwa. Nie obchodzi mnie, z kim zamierza cię zetknąć moja mama, to nie jej życie!

- One są w porządku, nawet Bee jest okej. Nie tak jak Leigh, to na pewno, ale ona nic tylko wyjeżdża w interesach. Nie mam przyjaciółek, które byłyby matkami, jestem

sama i lepsze to niż nic. Poza tym muszę się dowiedzieć wszystkiego, co ważne w Nowym Jorku, twoja mama ma chyba rację. Wiem, że będzie lepiej dla Violet, jeżeli zagram w tej drużynie - westchnęłam. - Ale na szczęście zbadałam kwestię przedszkola i wiem dokładnie, gdzie mamy zadzwonić, więc lepiej nie zapomnij o tym głównie. Linie telefoniczne zostaną uruchomione dzień po Święcie Pracy i wtedy masz być cały mój.

- Tak jest, sierżancie!

- Och! Kochanie, kupiłam dla nas bilety na tę nową sztukę w przyszłym tygodniu, *Nocne pływanie*. Podobno pikantne love story.

- Super, już się cieszę.

Zapytałam, jak się mają ten maniak miliarder i jego małżonka z pieluchą. Odparł, że chociaż przed wyjazdem wydawało się to niemożliwe, okazał się bardziej walnięty, niż mówili. Ale polowanie było fajne. Po każdym trafieniu hrabia von Hapsenfürer wysyłał nieżywe zwierzę do Asprey, gdzie zanurzano je w srebrze. Pokój za salą astronomiczną wypełniają posrebrzane zwierzęta, zastygłe pod niesamowitym dotknięciem króla Midasa, ale w srebrze, nie w złocie. Przerazające. Wróg Jamesa Bonda, tylko dzięsić razy gorszy.

- A jak żarcie? Mózg owcy i srebrna łyżka?

Roześmiał się.

- Prawie zgadłaś. Rzeczywiście, jemy pieczoną baranię czy coś w tym rodzaju. Mięso jak ze średniowiecza.

- Fuj! Umarłabym. - Tęskniłam za nim, ale to jedzenie byłoby dla mnie nie do przejścia.

W końcu Josh musiał iść spać, bo w Europie dochodziła trzecia rano. Zakończyliśmy rozmowę i wczółgałam się do łóżka z nowym numerem „Spinu”. Dwie sekundy później znowu zadzwonił telefon.

- Cześć, słońce - rzuciłam do słuchawki.

- O, cześć, Hannah - usłyszałam głos, który nie należał do Josha. Cholera. - Mówi Tate.

- Ups! Przepraszam, właśnie rozmawiałam z mężem...

- Wyjechał?

- Tak, wraca w poniedziałek.

- Zabawne, moja żona wybrała się z dziećmi do Como na dwa tygodnie. Mam mnóstwo pracy z przygotowaniem zajęć, więc ich wysłałam, a sam usycham w tym upale.

- Wiem coś o tym - westchnęłam. - Zupełnie jakby w Upper East Side wybuchła bomba wodorowa. Po Park Avenue wiatr ciska pustynnym zielskiem na wszystkie strony.

Zaśmiał się, wiedział doskonale, co miałam na myśli.

- Jesteś niesamowita, Hannah.

Zapytał, czy miałabym czas pójść do Guggenheima w następny wtorek po południu. Odparłam, że z wielką chęcią, dodając, że przyniosę swoje rolki - miałam na myśli Dianne Wiest w moim absolutnie ulubionym filmie *Hannah i jej siostry*.

- To co masz w planie na dzisiejszy wieczór?

- Och, nie wiem, Jona Stewarta, gazety... - odparłam. Czułam się nieco dziwnie, leżąc w łóżku i rozmawiając z Tate'em Hayesem.

- Nigdy nie zgadniesz, co wczoraj wieczorem czytałem przed snem - powiedział.

- Romans Harlequina?

- Nie... - zaśmiał się. - Twoją pracę.

Zatkało mnie. Co?! Byłam w szoku, podekscytowana i niepewna, czy nie dał sobie czasem w żyłę. Ale udawałam spokój.

- Dlaczego, potrzebowałeś środka nasennego? Czy mój esej zmienił się w papierową pigułkę na sen?

- Absolutnie nie - odparł całkiem poważnie. - Jest piękny, Hannah. Masz prawdziwy talent.

- Teraz mam talent do śpiewania kołysanek - stwierdziłam. Status matki stanowczo przyćmił moje zdolności intelektualne.

- Nie, ten talent nigdy cię nie opuścił. Praca, którą wykonałaś, twoje talenty, czekają, aż będziesz gotowa.

- Dzięki.

- To zostawiam cię z gazetami.

- Dobrze - powiedziałam cicho.

- Dobranoc, Hannah.

24

Nareszcie, po ciągnącej się w nieskończoność nieobecności, Josh wrócił ze Szwajcarii do domu. Jestem żałosna. Są kobiety, których mężowie idą na wojnę, a ja bez swojego byłam kompletnie bezradna. Kiedy przyjechał, przykleiłam się do niego jak te zabawki z przyssawkami, mocowane na szybach w samochodzie. Chociaż czas spędzony z Violet umocnił więź między nami dwiema, bycie samotną mamą wykańczało. Moja głowa kręciła się w kółko za rozrzuconymi zabawkami i rozsypanym groszkiem, przesywana bez przerwy wysokim głosem niewidocznej lektorki z Disney Channel (podejrzanie podobnym do tej sekretarki z serialu *Na wariackich papierach*). Innymi słowy, okropnie tęskniłam za miłością swego życia i za dodatkową parą rąk do pomocy. Zjedliśmy cudownie rodzinny obiad, w którego trakcie powtórzyłam mężowi, jakie słowa wypowiedziała ostatnio Violet, a on zrelacjonował mi podróż. W samolocie przyszedł mu do głowy nowy tytuł pornosa, dziwne, że żadne z nas nie wpadło na niego wcześniej: *Ojciec sprośny*.

Następnego dnia ucałowałyśmy na do widzenia wychodzącego do pracy Josha i zastanowiłam się, co mam robić. Termometr wskazywał ponad trzydzieści stopni i pewnie trudno by nam było przejść nawet jedną przecnicę, nie mówiąc już o smażeniu się na wybrukowanym placu zabaw. Kiedyś czytałam o fajnym miejscu dla dzieciaków o nazwie Kidsplasion, gdzie wpłacało się kaucję i dzieciak mógł

latać do upadłego, wskakiwać do basenów z pianą, puszczać bańki mydlane i wariować w pomieszczeniu z wyszcieranymi ścianami. Pomyślałam, że jeśli chodzi o mnie, dzieciaki mogą bawić się nawet żyłkami, byleby mieli tam klimatyzację. Żartuję.

Spodziewałam się, że lokal okaże się pusty. W sierpniu ulice Upper East Side wyglądały jak po wybuchu bomby neutronowej - normalny tłum ozdobionych podwójnym sznurem pereł kobiet z dziećmi w marynarskich ubrankach ginał, a po Park Avenue spacerowały tylko „owady wodne”, co, jak się potem zorientowałam, było eufemistycznym określeniem oznaczającym pieprzone karaluchy.

Kiedy jednak Violet i ja zjawiłyśmy się w Kidsplasion, nie wierzyłam własnym oczom, tyle było tam ludzi. Setki nian oczywiście (widać niektóre pracujące mamy nie dostały urlopu), przy ścianie dostrzegłam też klikę matek. Ledwie zdążyłam zgłosić przyście Violet, a moja córka już wystrzeliła jak z procy i objęła jakąś małą dziewczynkę, która od razu została jej przyjaciółką. Patrzyłam na nie z boku, klapnęłam sobie obok mam - każda z nich trzymała w ręku kubek kawy ze Starbucksa. Rozmawiały o seksie.

- Wczoraj wieczorem Jonny pomasował mi plecy i miał wielką ochotę, a ja, hm, nie dałam rady - lamentowała jedna z nich. - Minęły już dwa miesiące, ale nie czuję pożądania. Nic.

- Wypij kieliszek wina, połóż się na plecach i za pięć minut będzie po wszystkim! Zmusz się do tego - odparła inna. - Posłuchaj: jeżeli ty nie przelecisz swojego męża, zrobi to ktoś inny - dodała.

Byłam zdumiona; ich rozmowa brzmiała bardzo smutno. Ale już wcześniej spotkałam się z tym gatunkiem: Dręczycielki Mężów. Był to ulubiony sposób spędzania

wolnego czasu niektórych kobiet. Wspólnie narzekały, jak wiele ich mężowie pracują, jak często grają w golfa, próbują kochać się z nimi etc. Prawdę mówiąc, gdybym dysponowała miejscem odpowiednim do zrządzenia, też mogłabym pomarudzić, jaka to jestem samotna, gdy mój mąż zostaje po godzinach. Ale nawet przy najbliższych przyjaciółkach czułabym się tak, jakbym zdradzała Josha; jest najważniejszą osobą w moim życiu, moim partnerem i najlepszym przyjacielem. Oczywiście rozumiem, że nie wszystkie małżeństwa wyglądają jak nasze. Ale za jedyną rzecz gorszą od dręczenia męża uważam maltretowanie dzieci, o którym zostałam mimowolnie poinformowana w następnej kolejności:

- Ach, ta okropna dwójka mnie dobija. Czasem mam ochotę zejść z tego świata, Amory jest taka opóźniona - lamentowała jedna z matek. - Ona wciąż korzysta z butelki.

Chciałam się wtrącić i powtórzyć za doktorem Smithem, że na studia z nią nie pójdzie, kiedy inna damulka stwierdziła:

- To absurdalne! Musisz jej koniecznie odebrać butelkę. Poważnie! My odzwyczailiśmy Harrisona, kiedy miał dziesięć miesięcy! Nie wiedział nawet, jak trzymać swój kubeczek, więc stracił jedną trzecią wagi z niedożywienia, ale czasem rodzicami nie powinna kierować wyłącznie miłość.

Już miałam zadzwonić do opieki społecznej, gdy wróciła Violet, trzymając za rękę Mię, dziewczynkę z czarnymi loczkami, w odciętej nad talią sukience.

- Cześć, mamusiu! Nowa koleżanka!

Trzymały się za rączki. Nagle obok nas zjawiła się jedna z blond mam.

- Mia, kochanie, kto to jest?

- To Violet, a ja jestem Hannah - odparłam z uśmiechem.

- Mimi Quackenbush Skite - przedstawiła się, wyciągając wymanikiowaną rękę z mnóstwem pierścionków. - A to moja córka, Mia Skite. - Zmierzyła wzrokiem Violet, po czym przyjrzała mi się zmrużonymi oczami. - Czy ona jest... twoja? - zapytała, pięć razy przenosząc wzrok ze mnie na moją córkę. - Zupełnie do ciebie niepodobna! Nigdy nie widziałam matki i córki, które tak mało by się przypominały.

- Oczywiście, że jest moja. Geny potrafią płatać figle.

- Ale ona ma takie jasne włosy! A ty jesteś nie sama o-wicie ciemna! - W jej ustach zabrzmiało to tak, jakbym przeszła przez Ellis Island jako kobieta z brodą. Poczułam się zaszufładowana jako kępa czarnych włosów łonowych z jasnowłosym aniołkiem z aureolką jako moim podmie-nionym przy narodzinach skrzekiem. Wzruszyłam tylko ramionami, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Zawsze to blondynki komentowały sytuację - najwyraźniej ta była kolejną furiatką, wściekłą, bo jej geny recesywne nie zostały przekazane ciemnowłosej córce, podczas gdy moja wstrętna, ciemna głowa została mi przebaczona w procesie tworzenia jasnych fal Violet.

- Do jakiego przedszkola staracie się dostać? - zapytała nagle, lustrując moje czarne dżinsy, szarą koszulkę i czarne balerinki.

Jak wszystkie jej przyjaciółki, które przyglądały nam się ze swojej grzędę, miała na sobie coś, w czym już rozpoznawałam letni mundurek mamzilli: metaliczne sandały od Jacka Rogersa (tak zwane J-Rosy), białe spodnie oraz tunikę wyszywaną koralikami. Blond włosy, rzecz jasna, związała w koński ogon.

- Hm... chyba tam, gdzie wszyscy - powiedziałam niepewnie.

- Ile przedszkoli? - zapytała podejrzliwie.

- Cztery, te najbliższe domu. Jestem zbyt leniwa, żeby wlec małą przez całe miasto - odparłam.

- Tylko cztery?! - Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. - Mówisz poważnie? Musisz być pewna swego. Większość ludzi stara się dostać do co najmniej ośmiu czy dziewięciu. Ja wybrałam jedenaście, ale taka już jestem. Mia zachowuje się koszmarnie i ma zwariowane usposobienie, więc podejrzewam, że spieprzy sprawę w przynajmniej trzech lub czterech.

Czad. W końcu dzieciak skończył dopiero dwa lata.

- Cześć, laski! - usłyszałam znajomy głos. Odwróciłam się i zobaczyłam Hallie w swoim mundurku, poprawiającą rude włosy. - O, Hannah! Witaj. Wpadłam do miasta na jedno popołudnie, Thatcher ma służbowy obiad, więc wsiadłam do autokaru. Chodź tu, Julio Charlotte! - Przyłeciała słynna srająca złotem Julia Charlotte, zobaczyła Mię i Violet i od razu pokazała im język. Prawdziwy genialny, dobrze wychowany, mówiący płynnie po mandaryńsku mały Einstein.

- O, to wy się znacie? - zachwyciła się Mimi. - Hallie, powiedz swojej znajomej - Hannah, tak? - że nie może złożyć papierów tylko w czterech przedszkolach.

Hallie prawie nie zwracała na mnie uwagi, zamiast tego bacznie przyglądała się jednemu ze swoich paznokci, bo na jednym z nich - o mój B o ż e! - odprysł kawałeczek różowego lakieru.

- A czy to aż takie ważne? - westchnęła. Zdziwiłam się i poczułam ulgę. Dopóki nie dodała: - Jeżeli Violet nigdzie się nie dostanie, zawsze możesz spróbować w przyszłym roku.

Suka. Nie wiem, co zyskała dzięki tej przepowiedni, ale pomyślałam, że nadszedł czas opuścić Kidsplasion, zanim nastąpi Hannahplozja. Uprzejmie oświadczyłam, że muszę już iść, i odetchnęłam dopiero na następnej ulicy. Wręcz zaczęłam dyszeć. I wtedy zza rogu wyłonił się sposób na moje smutki: samochód z lodami Pana Softee. Nawet ta straszna melodyjka klauna przypominającego seryjnego mordercę teraz zabrzmiała jak muzyka prosto z filharmonii i dzięki kubeczkowi lodów oraz dwóm łyżeczkom skosztowałyśmy z Violet smaku lata na rozpalonym chodniku.

...Bee melduje się z Cramptons...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliott: W Hamptons strasznie nudno.

Co u ciebie?

Maggs10021: Fajnie, korzystam z wolnego czasu, zanim urodzę, odpoczywam, ile tylko mogę!

BeeElliott: Jakież ploty?

Maggs10021: Żadnych, wszyscy tylko o lodach i kremach z filtrem ☺

BeeElliot: Hallie napisała mi, że w Kidsplasion wpadła na Hannah. Niezła z niej wariatka – stara się dostać do dwóch albo trzech przedszkoli! Nie ma o niczym bladego pojęcia. Jak Josh ją znosi?

Maggs10021: Nieważne, Violet jest bardzo mądra, na pewno się dostanie.

BeeElliot: Nie byłabym taka pewna - mama mówi, że Lila Dillingham panikuje i uważa, że Hannah jest do dupy. Biedny dzieciak.

Maggs10021: Mam nadzieję, że gdzieś się dostanie... Wszystko się w końcu ułoży.

Grover odwiedza końską farmę w Saskatchewan. Ogie-
ry mają na imię Thunder, TriggerHeel i Feathers. Mała
dziewczynka, która jest naszą przewodniczką, jeździ na
nich, myje je i karmi jabłkami. Sąsiedni dom znajduje się
w odległości wielu kilometrów, ogromne pola zroszone
są rosą, a zachodzące słońce oświetla wysokie, kołysane
wiatrem trawy.

Siedzę w pułapce miejskiej dżungli z betonu i tłumy
ludzi w budynkach sięgających nieba i odbierających mi
wiarę w siebie. Violet, dziecko tak ze wszystkiego zado-
wolone, że dobrze bawiłaby się nawet w Alcatraz, zaab-
sorbowana jest północną przygodą Grovera, a ja gapię się
w przestrzeń, dopóki nie ściąga mnie na ziemię drażniący,
przenikliwy, piszczący dzwonek telefonu w naszym służ-
bowym mieszkaniu.

- Witaj, słonko - powiedział Josh odrobinę ponuro.
Ach. Już się bałam, że usłyszę nosowo brzmiący głos sprze-
dawczynie mówiącej: „końcowa wyprzedaż”, a tu Josh
oznajmił, że coś mu wypadło i musi odwołać nasz roman-
tyczny wieczór.

- Co to znaczy, że jesz służbowy obiad? Przecież ja
mam bilety na sztukę na Broadwayu!

- Kotku, nic nie poradzę. Parker i ja musimy wszystko
sprawdzić i to może potrwać.

- Ale dopiero co wróciłeś z podróży służbowej! Pra-
cowałeś całe dziesięć dni!

Świetnie. Już po mojej romantycznej randce. A tak się cieszyłam na seksowny nowojorski wieczór w mieście. Od dwóch tygodni wszyscy siedzieli w Hamptons i to miało być swego rodzaju ciche zamknięcie sezonu. Cisza przed cholerną burzą.

- Idź beze mnie, kochanie, weź Leigh.

- Pojechała do Brazylii na obóz surfingowy. Wszyscy wyjechali z miasta! - Och. Zawiesiłam głos, kompletnie załwatwiona. Zaprosiłam już Amber i zapłaciłam za bilety. Może sprzedam jeden przed teatrem komuś z Kansas? Stresującą godzinę później telefon znowu zadzwonił przenikliwie.

- Halo?

- Hannah, to ja, Tate Hayes. Na pewno jesteś zajęta, ale mówiłaś, że twój mąż ostatnio sporo pracuje, dlatego pomyślałem, że może przypadkiem masz dziś wolny wieczór i chciałabyś coś porobić?

- Rzeczywiście, to może być dobry pomysł.

26

- Księżyc jest taki piękny, wygląda jak obrazek - zachwycała się aktorka na oświetlonej scenie.

- Dlaczego akurat jak obrazek? - zapytał mężczyzna, który stał za nią, pieszcząc jej ramiona i piersi.

Powoli odwiązał sznurki jej kostiumu bikini i pozwolił, by góra opadła na podłogę. Przesycona erotyzmem scena sprawiła, że poruszyłam się w fotelu i oblałam rumieńcem.

Kurtyna opadła dwadzieścia minut później, kiedy para zmarła tragicznie. Zabłyśły światła i spojrzałam na Tate'a.

- Pokrzepiające! - stwierdziłam sarkastycznie.

- Chyba należy nam się drink. A może coś przegryziemy?

- Och, hm... chętnie, tylko że... chyba muszę wrócić i zapłacić opiekunce.

- Dobrze, podrzucę cię do domu.

W taksówce podziękował mi za bilet i potwierdziliśmy nasze plany dotyczące wspólnego oglądania wystawy w Muzeum Guggenheima. Miło było mieć towarzystwo, kiedy człowiek oddawał się starej pasji. Choć przebywanie tak blisko niego nieco mnie denerwowało, zważywszy na uczucia z przeszłości. Może powinniśmy spotykać się tylko, aby podziwiać sztukę, takie echo szkoły w dorosłym życiu. Ale zmierzyszy się z niepokojem, przypomniałam sobie, że był żonaty, więc intencje miał przyzwoite, i odetchnęłam z ulgą.

Podjechaliśmy pod mój dom, Tate zapłacił kierowcy i wysiadł razem ze mną.

- Mam ochotę się przejść - wyjaśnił. - Taki piękny wieczór. Już niedługo powinno się zacząć robić chłodniej.

- Mam nadzieję - odparłam. - Ten upał jest dobijający.

- Do zobaczenia wkrótce, Hannah. - Chwycił moją rękę, uniósł ją i pocałował.

A niech mnie.

Myślałam, że się przewrócę, tak mnie zaskoczył. To znaczy, to coś między nami było na sto procent platoniczne, ale... nie mogłam sobie wyobrazić Josha całującego czyjąś dłoń. Zupełnie jakby jego wargi na mojej ręce wysłały strzałę, która pomknęła tą dużą żyłą, którą podcina ją sobie samobójcy, i zaatakowała szczęśliwe i zdenerwowane serce.

- Dobranoc - powiedziałam i ruszyłam do budynku. Musiałam się odwrócić, żeby ukryć policzki - zaróżowione, jakby muśnięte pędzlem Degasa.

...dzięki Bogu za technologię! Pomaga szerzyć ploty...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliott: JESTEŚ TAM? PADNIESZ, JAK CI COŚ POWIEM!

Maggs10021: Cześć, jestem, co tam?

BeeElliott: PEŁEN ODLOT! Siedzisz?

Maggs10021: Jasne. Myślisz, że piszę na stojąco? Mów!

BeeElliott: Hannah Allen ZDRADZA Josha!

Maggs10021: Niemożliwe. Nie wierzę.

BeeElliott: NAPRAWDĘ! Widziałam na własne
oczy! Park mówił, że Josh też pracuje 24/7,
i przyjechaliśmy do miasta na wizytę Westa
u alergologa, i WIDZIAŁAM JĄ z jakimś seksownym
gościem, pocałował ją w rękę, na bank są razem.

Maggs10021: Jestem w szoku.

BeeElliott: Ja bynajmniej nie. Nic mnie już nie
zdziwi. Ale dziwka.

Tate miał rację - sierpień minął bardzo szybko i zaczął się wrzesień. Nadszedł weekend przed Świętem Pracy i w sąsiedztwie nie było żywej duszy. Kochany Josh zrobił mi śniadanie do łóżka i w sobotę rano pogniliśmy sobie razem z Violet w pościeli, a potem oświadczył, że musi iść do pracy, bo w Europie nie mieli święta i musiał zatroszczyć się o finanse hrabiego von Hapsenfürera. Wściekłam się i objechałam biednego Josha, ale nic to nie dało.

Zdumiewające, jak bardzo puste w weekend miasto różniło się od tego zwariowanego z poniedziałku. W Święto Pracy sznury luksusowych aut ciągnęły do miasta z Cape Cod, wysp, Hamptons i Connecticut. Na Park Avenue, tak cichej jeszcze dwadzieścia cztery godziny wcześniej, tłoczyły się samochody, z których wyładowywane były stopy sygnowanych walizek i toreb z Monogram Shop. Spanikowane matki wyciągały z maszyn dzieci i letnie łupy, a opaleni tatusiowie pomagali przeganiać pociechy z chodników i wprowadzać je do wielkich budynków.

Moje serce waliło jak oszalałe cały poniedziałek, bo wiedziałam, co ma się wydarzyć nazajutrz: był to niesławny dzień telefonów do przedszkoli. Zrobiłam sobie listę - Carnegie było oczywiście na pierwszym miejscu, w końcu wszyscy mówili, że jest „najlepsze” (jeden facet zrobił darowiznę w wysokości miliona dolarów, żeby tylko wkręcić tam swojego dzieciaka), ale poinstruowano mnie również, że będę potrzebować planu awaryjnego, więc przy-

gotowałam palce do wykręcania numeru przedszkola przy Piątej Alei (mieszczącego się w piwnicy kościoła), Londyńskiego (brytyjskiego, z uroczymi mundurkami, które oszczędziłyby mi stresu strojenia Violet codziennie rano) i Tempie, do którego chodził Josh. Bee określiła Tempie jako „przedszkole klasy B” i stwierdziła, że Josh cudem dostał się stamtąd do Collegiate. Wracająca z Anglii Lila zostawiła trzy wiadomości, żeby mi przypomnieć o telefonach. Jakbym zdołała wyrzucić je z pamięci - wszyscy tylko o tym chcieli rozmawiać.

Josh uważał cały ten pomysł za chory i niedorzeczny.

- Kochanie, ona ma dwa lata. Kto by się tym przejmował?

- J a ! Poza tym to twoi przyjaciele twierdzą, że nie damy rady bez kilku adresów na wszelki wypadek.

- Ale ja sam chodziłem do Tempie!

- Nie mogę uwierzyć, że kazałeś mi przeprowadzić się do miasta, gdzie cholerne dwulatki potrzebują wyjść awaryjnych, aby bawić się klockami, i gdzie dziecku przydałby się jakiś spadek.

W oczach miałam łzy.

- Okej, Hannah, wariujesz. Czemu płaczesz?

- Bo ty cały dzień pracowałeś! Bo ciągle jestem sama! Bo nienawidzę tych jędzowatych lasek, przez które zaczynam myśleć, że kochanie własnego dziecka nie wystarczy! Bo one wszystkie rywalizują ze sobą we wszystkim i mam już dość zadręczania się tym, gdzie powinnam wieść swoje życie.

Josh podszedł i mnie objął. Wiedziałam, co sobie pomyślał - dostawałam kręćka. A potem, kiedy ocierałam oczy, zrzucił bombę:

- Kotku, muszę być wcześniej rano w biurze, chodźmy spać.

Cisza.

- Słucham? Mówiłam ci, że jutro mamy dzwonić do przedszkoli!

- To już jutro? Boże, ten cały proces to wariactwo. Kiedy ja byłam małą, matka tylko wpadła na chwilę i dostała podanie.

- Ale teraz jest inaczej! - wrzasnęłam. - Mówiłam ci o tym!

- Kochanie, przepraszam, nie wiem, co powiedzieć. Nie mogę w nowej pracy iść na łatwiznę. Oczywiście chcę ci pomóc, ale mam związane ręce. Urządzamy ważną telekonferencję z von Hapsenfürerem i naszym biurem w Japonii, ośmiu facetów weźmie w niej udział.

- Super. Muszę to wszystko zrobić sama! Mała pewnie skończy w tym przedszkolu, gdzie w zeszłym roku pobili dziewczynkę.

- Nie dramatyzuj.

- Ty chyba nie rozumiesz, że cały czas jestem sama! Z twoją matką! Z Bee i jej przyjaciółkami! I jestem nieszczęśliwa! Nie obchodzą mnie pieniądze!

- Daj spokój, Han, przepraszam, ja...

- „Robię to dla nas”, tak, tak. Mówiąc szczerze, wolałabym, żebyś był nauczycielem w państwowej szkole, przynajmniej miałabym cię w domu o piątej! Zostaję sama cały czas! To ja załatwiam wszystko, co trzeba dla Violet, podczas gdy ty jesteś w pracy! Nawet nie wiedziałeś, że Snuffleupagus przestał być niewidzialny w zeszłym tygodniu! Nigdy cię tu, kurwa, nie ma!

- A kto według ciebie płaciłby za te przedszkola, do których chcemy się dostać, gdybym siedział z tobą w domu?

- Sugerujesz, że skoro nie zarabiam, mam się samodzielnie zajmować wszystkim innym?

- Nie... ja tylko mówię, że...

- Daj spokój. Mam dosyć. - Świetnie. Zgasiłam swoją lampę i odwróciłam się do niego plecami. Nie tak miało to wyglądać. Powiedzmy sobie otwarcie, praca Josha to całe jego życie. Musiałam od tej pory myśleć o sobie jako o samotnej matce i te krótkie chwile, które spędzi z nami, traktować jako dodatkową korzyść. Josh pogłaskał mnie po plecach, ale nie zareagowałam. Zamknęłam oczy i zasnęłam.

28

Josh wyszedł spod prysznic i obudziłam się. Gdy tylko oprzytomniałam, serce zaczęło walić jak oszalałe. Trudno mi było uwierzyć, że muszę wygrać telefoniczny konkurs, żeby dostać podanie o przyjęcie Violet do przedszkola. O wpół do ósmej Josh pocałował mnie na do widzenia i gorąco przeprosił za sprzeczkę poprzedniego wieczora i za to, że musi mnie zostawić samą z telefonami. Miałam pół godziny, żeby uspokoić bicie serca i nakarmić Violet płatkami oraz bananem. Jestem najgorszą z matek - wysypując cheerios z dużego żółtego pudełka, przypominałam sobie, że Bee codziennie daje Westowi na śniadanie świeże jajka i organiczny bekon. Lara też. Nazywają to „pokarmem dla mózgu”. Ach. Ale one miały do pomocy służące, które myły patelnie, naczynia i zabrudzone jajkami talerze. Jeżeli to był pokarm dla mózgu, jak nazwać codzienne płatki? Pokarmem dla ud?

Zadzwoiłam do Leigh, żebyśmy razem wybrały, gdzie zjemy obiad tego wieczoru - Josh zamierzał się przyłączyć, chociaż oczywiście „nie mógł nic obiecać”. Zaczynałam się czuć wykiwana przez własnego męża. Zadzwoił telefon, myślałam, że Josh chce mi życzyć szczęścia. Lila.

- Hannah, kochanie, paluszki gotowe?

Potwierdziłam i wyraziłam nadzieję, że wpadnie, by mi pomóc, ale szybko odparła, że ma spotkanie komitetu dobroczynnego w hotelu Waldorf dla MMPP (Mieszkańcy

Manhattanu Przeciwno Pyszczom), stowarzyszenia typu non profit walczącego z trądzikiem. Życzyła mi powodzenia i się rozłączyła.

Wkrótce nadeszła godzina dzwonienia. Usadziłam Violet w jej pokoju z toną zabawek oraz książeczek, usiadłam obok niej, udając, że się bawię, chociaż przechodziłam załamaniem nerwowe, a ręce mi drżały, kiedy wybierałam pierwszy numer. Zajęte. Znowu zajęte. Znowu. I znowu. I znowu. I znowu. Co to, lata siedemdziesiąte?! Taki sygnał słyszałam ostatnio jakieś dwadzieścia pięć lat temu! Wcisnąłam ponowne wybieranie. Jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Mój puls przyspieszył. Niech ktoś, kurwa, podniesie tę słuchawkę, proszę!

Potem stwierdziłam, że może zamiast wciskać ponowne wybieranie powinienam za każdym razem od początku wystukać numer. Nic. Postanowiłam spróbować z innym przedszkolem. *Nada*, ten sam efekt. Zaczęłam panikować. Potem zastanowiłam się: powinienam wybierać jeden raz numer każdego przedszkola po kolei czy dzwonić do danej placówki do skutku? Wybrałam pierwszą opcję, losowość wydawała się bardziej atrakcyjna. Nie ustawałam w działaniach. Zajęte, zajęte, zajęte, zajęte, zajęte, zajęte, zajęte, zajęte, zajęte. Achhhhhhhh! Całe życie słyszałam powiedzenie „rwać sobie włosy z głowy”, ale nie rozumiałam jego znaczenia, dopóki po raz siedemsetny nie usłyszałam sygnału zajętej linii i, nie żartuję, chwyciłam się za włosy, gotowa zrobić z siebie łysą Sinead.

Przed oczami ukazał mi się nagłówek w „NY Post”: „Telefon zabija matkę” i wizja mnie w worku na zwłoki

po śmierci spowodowanej stresem. Wstrzymałam oddech, kiedy wreszcie usłyszałam:

- Halo, przedszkole Carnegie, słucham?

- HALO?! TAK, DZIEŃ DOBRY! DZIEŃ DOBRY! HURA! - Jezu, świetne powitanie, Hannah. Naprawdę rewelacyjne.

- Halo?

- Dzień dobry! Tak, halo, mówi Hannah Allen. Chciałabym otrzymać podanie dla mojej córki Violet. - Serce mi waliło, waliło, waliło.

- Dobrze, nazywam się Kincaid, jestem dyrektorką działu przyjęć. Mogę pani pomóc. Założę kartę dla panny Violet.

- Okej... - Czekając, słyszałam szelest papieru i trylion telefonów w tle.

- Imię i nazwisko?

- Violet Grace Allen.

- Wiek we wrześniu przyszłego roku?

Cholera, moja matka nie była najlepsza, cholera!

- Hm... trzy lata i trzy i pół miesiąca.

- Zawód pani męża?

Słucham? A co, musieli się upewnić, że jesteśmy wypłacalni?

- Fundusz inwestycyjny. To znaczy... och, bankier.

- Jaki uniwersytet pani skończyła?

-

Berkeley.

- Mmm, hmm. A uczelnia męża?

- Stanford.

- Dobrze, pani Allen, wyślemy podanie w tym tygodniu.

HURRRA!

Okej. Następne przedszkole. Może teraz będę mieć dobrą passę! Może zaraz wszędzie się dodzwonię!

Niestety. Dziewięćdziesiąt minut później w końcu połączyłam się z przedszkolem Londyńskim. Kobieta z brytyjskim akcentem zebrała identyczne informacje jak w Carnegie i powiedziała, że wyśle podanie „od razu”.

Potem spróbowałam z Temple. Już za pierwszym razem dobiegł mnie... wolny sygnał! Hurrrra! Śpiewy anielskie! Tym razem usłyszałam trąbki Mozarta albo *Ode do radości* Beethovena.

- Dzień dobry. Dodzwoniliście się państwo do przedszkola Temple. Wszystkie prośby o podania zostały już odnotowane. W tym roku nie jesteśmy w stanie spełnić ich więcej z powodu dużej liczby dzieci z rodzin naszych podopiecznych. Życzymy powodzenia w zdobywaniu podań.

Klik. Sygnał wybierania; tym razem jak brzęk rozbijanego szkła. Kurwa, kurewska kurwa! Miejsca wyprzedane? A to miało być nasze przedszkole. Cholera. Wzięłam głęboki oddech, nie miałam czasu do stracenia. Wybrałam numer przedszkola przy Piątej Alei, które rejestrowało wszystkie nazwiska, a potem wybierało losowo czterysta osób, które dostawały podanie. Dlaczego tak robili, nie miałam pojęcia, zwłaszcza że samo dzwonienie to już loteria. Ale czemu by nie podręczyć ludzi jeszcze bardziej, tak dla żartu? Nagranie informowało, że zostaniemy zawiadomieni pocztą, czy „wygraliśmy” szansę dostania się. Koooszmaz.

Potem pospiesznie wyciągnęłam swój przewodnik po przedszkolach, żeby do puli dodać jeszcze jedno, i wystukałam numer Browne-Madison, o którym słyszałam kilka dobrych rzeczy. Zaledwie po jedenastu próbach Missy Baumgarten, rejestratorka, przyjęła zgłoszenie i założyła Violet kartę.

- Zawiadomimy państwa pisemnie o dacie rozmowy - oświadczyła. - Proszę do nas nie dzwonić. Odezwiemy

się do państwa. - To samo co przy Piątej Alei: proszę nie dzwonić, my się z państwem skontaktujemy.

- Dobrze. - Klik.

Wykończona, zniechęcona i przekonana, że moja córka zostanie pobita w podrzędnym przedszkolu jak ten dzieciak na okładce „New York Post”, zabrałam Violet na świeże powietrze. Szłyśmy tętniącą życiem Madison Avenue, pełną mam jedzących lunch w kafejkach i innych chodzących po sklepach z nowym towarem z jesiennych kolekcji u Jimmy'ego Choo, Barneya i Hermesa.

Minęłyśmy butik dla dzieci Ralpha Laurena na Madison, który był tak zapchany maluchami, że przed lokalem stała kolejka oczekujących na wejście. Sześć atrakcyjnych ortodoksyjnych żydówek w perukach niosło po siedem zawieszonych na wózkach toreb Bonpoint, Polo i Spring Flowers. Minęłyśmy Calypso i Florę i Henriego - kompletnie zatłoczone - i poszłyśmy dalej aż do Grandmother's Row na górnym Madison - Marie Chantai, Petit Bateau, Magic Windows i kolejny Bonpoint (o którym Bee mówiła, że nie ma już takiego stylu). W oknach wszystkich sklepów wisiały piękne sukienki na jesień, mimo że według informacji wyświetlanych w lewym dolnym rogu ekranu na kanale informacyjnym NY1 było dwadzieścia siedem stopni. I chociaż muszę przyznać, że z ochotą kupiłabym Violet wiele z tych pięknych ciuzzków, nie miałam zamiaru stać w kolejce. Udałyśmy się więc do parku, gdzie pozwoliłam małej pobiegać, a sama patrzyłam na nią z ławki. Wreszcie mogłam odetchnąć z ulgą.

29

Zaledwie odrobinę się odprężyłam, kiedy usłyszałam swoje imię.

- Ziemia do Hannah! - To była **Bee**. - Dzwoniłam do ciebie.

- O, witaj! Wróciłaś!

- Tak. Lato było wspaniałe, ale zleciało błyskawicznie. Ach! - Zmierzyła mnie od stóp do głów w sposób, który mi się wcale nie spodobał. Uniosła brew i dziwnie na mnie spojrzała.

- Tak... - mruknęłam beznamiętnie zmęczonym głosem.

- J a k się masz? - zapytała z udawanym zainteresowaniem. - O Boże! Hannah, zupełnie zapomniałam! Jak poszło dzwonienie?

- No, chyba dobrze.

Zaczęła nawijać, jakie to straszne doświadczenie i - znowu - jak mi nie zazdrości. A potem nadeszły Lara, Maggie i Hallie z tęczowymi wózkami Bugaboo. Bee oznajmiła im, że dzwoniłam (dzięki!) i wszystkie trzy wydały zbiorowy jęk.

- Przygotuj się na piekło - ostrzegła Hallie. - To taki okropny proces.

- Wpadłam na tę europejską dziwkę Chloe de la Vega - parsknęła Lara. - Zapytałam tylko: „Jak się masz?”, a ona odparła, że wspaniale, bo wysyła Monique do przedszkola na Piątej Alei, a mieli tylko czterdzieści dwa miej-

sca na dwa tysiące chętnych, z czego czterdzieścioro dzieci było rodzeństwem obecnych podopiecznych! Dacie wiarę, że w zeszłym roku przyjęli tylko dwie nowe rodziny?

- Podobno Carnegie przyjęło tylko jedną, było zawalone rodzeństwem i darczyńcami dla ośrodka kultury, który opiekuje się przedszkolem. A Londyńskie nie przyjęło żadnej!

Rewelacja. Teraz nasze szanse były jeszcze mniejsze.

- Ta Chloe to śmieć, śmieć, śmieć! - nie przestawała Hailie. - To takie oczywiste, że ma implanty!

- A jej biżuteria? - dodała Maggie. - Tandeciarstwo. Wszędzie nosi brylanty, co ona sobie myśli, że mieszkamy w Dubaju?

- Wiecie - szepnęła konspiracyjnie Bee. - Może zbajerowała jakąś starą jędzę z działu przyjęć swoim akcentem i pozą, ale ten dzieciak nigdy nie dostanie się do ani jednego przedszkola. Oni szukają skromnych rodziców z klasą, a nie dziwek z Riwiery.

Świetnie, przeszkoda za przeszkodą. Bee i jej znajome miały jeszcze kilka lat, zanim znowu zaczną się starać o zapisanie swoich dzieci do przedszkola, ale najwyraźniej już je to przerażało.

- Hannah - zwróciła się do mnie Maggie. - Co robiłaś tego lata?

Zanim miałam szansę odpowiedzieć, wymieniła z Bee porozumiewawcze spojrzenia, pewnie współczując mi, że cały czas siedziałam na Manhattanie, podczas gdy one odpoczywały w blasku zachodzącego słońca na złotej plaży.

- Och, to i tamto, wiecie.

- Słyszałam, że Josh często wyjeżdżał - dodała Bee.
- To fatalnie. Nie masz nikogo do pomocy.

Uwielbiałam to, że tutejsze matki liczyły, na ile godzin inni ludzie zatrudniali nianie.

- No, teraz Amber ma coraz więcej wolnego czasu, jest na ostatnim roku w Barnard - powiedziałam.

Bee uśmiechnęła się do mnie.

- Masz szczęście.

W następnym tygodniu Violet miała pierwsze zajęcia w Szkole Muzycznej Milford Prescott. Lila zadzwoniła, żeby życzyć nam szczęścia. Była w siódmym niebie, bo postarałam się skierować Violet na „dobrą drogę”. Zdobylam też punkty za to, że „my” zdobyliśmy podania do kilku „odpowiednich” przedszkoli, które wypełniłam w rekordowym czasie i od razu odesłałam.

Kiedy dotarliśmy do pięknego budynku, w którym mieściła się szkoła, nagle poczułam się onieśmielona. To tu dwulatki grają na bębnach. Nagle moje hipisowskie zajęcia *Muzyka zbliża* w Kalifornii wydały mi się żałosne. Na ścianach wisiały tabliczki z nazwiskami ważnych darczyńców, kilku z nich miało powiązania z firmami z listy Fortune 500. Przyjrzałam im się w holu z sufitem sześć metrów nad głową. Potem przywitały nas kobiety w garniturach, wręczając paczki i małe karteczki, które miały zapewnić, że nikt inny niż rodzice nie zdoła odebrać dziecka po zajęciach. Miało to zapobiec porwaniom. Zadrżałam na samą myśl, ale wtedy zobaczyłam malucha wchodzącego w towarzystwie ochroniarza i niani, a inny, ubrany w blezer z miniaturowym herbem, przyszedł z mamą i nianią. Matka pospiesznie wyjęła swój modny telefon.

- Tyrone, proszę, umyj samochód w tej myjni na First Avenue i przyjedź po nas za czterdzieści pięć minut. Podrzucimy Minga i Gatesa, potem mam lunch w Four Sea-

sons, a ty musisz iść do psiego fryzjera po Ducasse'a i Jean-Georges'a. Punktualnie o czwartej powinniśmy dotrzeć do Central Barkers.

Uśmiechnęłam się, kiedy usłyszałam o Central Barkers.

- Nie możemy się spóźnić! - ostrzegła kobieta. - Wszystkie psy z towarzystwa It tam będą: Dodo Trump, Bonnie i Clyde Kravis, Truffle Soros, Chelsea Lauder Zinterhoffer, Van Fanjul - wszyscy, którzy się liczą!

Moje oczywiste podsłuchiwanie i opuszczona szczeka zwróciły uwagę normalnie wyglądającej dziewczyny stojącej tuż przy mnie. Psy z It?

- Wiem, szalone, prawda? - szepnęła, kiedy babka wydawała kierowcy instrukcje dotyczące odebrania szytych na miarę psich kostiumów z Z spot. - Takie gówno trudno byłoby wymyślić.

- Właśnie się tu sprowadziliśmy, więc tego typu rzeczy wydają mi się nieco... dziwne.

- Nie martw się, nie wszyscy w tej szkole są tacy - pocieszyła mnie. Popatrzyłam na dziewczynkę, która bawiła się obok swoim wełnianym kocykiem.

- Twoja córka jest śliczna - powiedziałam.

- Morgan nie jest moją córką. Mam na imię Kelly, jestem jej guwernantką - wyjaśniła, głaszcząc małą po głowie. - Zrobiłam dyplom z nauczania początkowego na Columbii.

- O, super. To fajnie.

- Tak. Jej rodzice dużo podróżują, potrafią spędzić dwa miesiące bez przerwy w Europie. Otwierają centra handlowe na lotniskach, czy coś w tym rodzaju.

Objęłam Violet. Nie mogłabym jej zostawić na dwa dni, nie mówiąc o dwóch miesiącach. Chyba zrobiłam minę, choć nie chciałam nikogo krytykować przy tej

ślicznej dziewczynce, ale Kelly zorientowała się, o co mi chodzi.

- Wiem... to chore - stwierdziła, rozglądając się po pokoju pełnym mundurków mamzilli. - Cała dzielnica jest chora. Kiedy nie mieszkam z Morgan, zatrzymuję się w Williamsburgu. Powinnaś przyjechać i zobaczyć tamtejszą grupę matek. Spotykam się z nimi w weekendy, są znacznie łagodniejsze. Zabiera nas tam kierowca małej i wtedy odpoczywamy od tego miejsca.

- Co to? Jakaś zorganizowana przez rodziców grupa zabaw? - zapytałam.

- Coś w tym rodzaju. Nazywa się Tots'n'Tonic. Zbierają się w fajnym lokalu, który wieczorami staje się nocnym klubem, ale w ciągu dnia jest bardzo przyjemny. Fajna grupa rodziców, sporo artystów i pisarzy.

Och, podobało mi się to, co słyszałam.

- Moje klimaty, chciałabym się przyłączyć - powiedziałam.

- Świetnie, dam ci mój numer...

Właśnie wtedy podwójne drzwi niesamowitej auli, gdzie odbywały się zajęcia Violet (pięknej i wielkiej jak sala balowa), się otworzyły. Nie jedna, nie dwie, ale cztery nauczycielki wyszły, by nas powitać i zaprosić do środka. Siedząc w kółku, śpiewaliśmy piosenki i zachwyciłam się pianistą prosto z New York Philharmonic - wydawał się tak utalentowany, że czułam się jak na prawdziwym darmowym koncercie. No, niezupełnie darmowym - zapłaciliśmy kupę pieniędzy, jakieś siedemdziesiąt pięć dolarów za lekcję, więc koncert raczej nie był za free (Josh wszystko obliczył). Ale i tak poczułam się pozytywnie zaskoczona, biorąc pod uwagę fakt, że spodziewałam się gitary akustycznej i kołysania się. Tutaj nie śpiewaliśmy „Kum-

baya": towarzyszyły nam bębny, harmonia, trójkąty, ksylofony i dzwony.

Zajęcia zrobiły na mnie ogromne wrażenie, a jedyny minus stanowiła grupa blond mam, które cały czas gadały. Widziałam rosnące zniecierpliwienie nauczycielek, ale miały związane ręce - te baby były pewnie ważnymi darczyńcami z tabliczek w holu.

Usłyszałam, jak jedna kobieta (chyba raz widziałam, jak na placu zabaw machała do Bee i Maggie) mówiła: „Jak się masz?” do innej eleganckiej mamy.

- Fatalnie - odparła tamta z rozpaczą. Zrobiło mi się przykro, zastanawiałam się, co się mogło stać. Czyżby śmierć w rodzinie? - Przedsiębiorca budowlany w Bridgehampton zwiął do Puerto Vallarta. Teraz musimy przywieźć samolotem tych rzemieślników z Portofino, żeby skończyli układanie w kuchni glazury - cała jest ręcznie malowana i nie zamierzam ryzykować, wynajmując paracaczy. Prescott musi jutro udać się na miejsce i sprawdzić wszystko. Totalna katastrofa. Możemy zapomnieć o spędzeniu tam Święta Dziękczynienia. Będziemy musieli lecieć do Palm Beach z teściami. - Nie, Jezu, chlip-chlip. Śmiech na sali.

Potem jedna z nauczycielek wyciągnęła pudło z małymi wypchanymi zwierzakami i śpiewaliśmy *Old McDonald*.

- „I na farmie miał...”?

Wszystkie dzieci siedziały cichutko.

- Lwa! - wykrzyknęła roześmiana Violet. Pękałam z dumy.

- Nie, głuptasku - wtrąciła dziwka z Bridgehampton.

- Na farmach nie ma lwów!

Gdybym powiedziała, że prawie się na nią rzuciłam jak lwica na gazelę, by ją rozszarpać, nie przesadziłabym.

Chciałam ją zatłuc za to, że zepsuła Violet tę chwilę (a tak przy okazji, jej debilny dzieciak nawet nie otworzył buzi). Lepiej, kiedy dziecko wypowie nazwę zwierzęcia, niż tylko się ślini. Pierdolić ją. Jakby dwulatek znał naturalne środowisko wszystkich ssaków. Ale nie odezwałam się słowem. Byłam zbyt ogłuszona i wściekła.

- W porządku! Na naszej farmie mamy lwa! - ucieszyła się nauczycielka i puściła do mnie oczko. Dziękuję, dziękuję, dziękuję! Ale moja mała nie wyglądała już na taką dumną z siebie.

Po zajęciach poszliśmy pieszo do domu i Violet usnęła po drodze. Chyba bycie w grupie jest dla niej bardzo ekscytujące - w końcu nie znamy żadnych naprawdę zażyźnionych mam i towarzystwo ją ekscytuje, a potem sprawia, że w jednej chwili zapada w sen. Gdy mijałyśmy Whitney Museum, postanowiłam wejść i przespacerować się po galeriach z moją siostrą królową. Na trzecim piętrze minęła nas wycieczka. Ruszyłam kilka kroków za nią, by posłuchać. I znowu ucztę z faktów i opisów sprawiła, że poczułam się syta i intelektualnie zaspokojona.

Kiedy wyszłyśmy, pomyślałam, że gdzieś w tym mieście przecież muszą być dziewczyny takie jak ja. Ale jak mam je poznać? Może grupa z Brooklynu okaże się tym, czego szukałam...

Około dziewiątej wieczorem zadzwoniłam do Josha, żeby zapytać, kiedy wróci do domu. Oczywiście nie mógł odejść od biurka jeszcze co najmniej przez godzinę. Super. Zdążyłam tak zgłodnieć, że prawie mdlałam. Uczyniłam ogromny wysiłek woli, żeby nie zjeść makaronu z serem, który o wpół do siódmej przygotowałam Violet. Chciałam uniknąć syndromu MDO (Mama Dwa Obiady). Cztery posiłki dziennie skutkują nie tylko większym rozmiarem dżinsów, lecz także poczuciem, że nie sposób w pełni cieszyć się obiadem z mężem, bo w tajemnicy pochłonęłaś garść paluszków z kurczaka.

Kiedy przeglądałam menu restauracji na wynos, zadzwoniłam do Leigh. Może akurat będzie wolna?

- Ten posrani prawnik właśnie odwołał randkę! A wczasy lunchu zapłaciłam pięćdziesiąt pięć dolarów u Jean Louis Davida za fryzurę. Pieprzę to. Jadę do was.

Zamówiłam górę chińszczyzny. Jedzenie i Leigh przybyły jednocześnie pół godziny później.

- Ach, jestem gotowa zalogować się na Match.com - lamentowała. - W zeszłym tygodniu przyszedłam na randkę, a facet okazał się sobowtórem Danny'ego DeVito. Bliźniak. Ale nie bliźniak Schwarzenegger, tylko ten drugi. Klon. Wieprz. Rozmiar mega, Hannah. Beczułkowaty. Miał paluszki jak kiełbaski. Kiełbaski. Nie żartuję.

- Leigh, nie przejmuj się. Wiem, że kogoś spotkasz!

- Naprawdę? A co, masz bezpośrednią linię do Boga? Nie patrzysz w kryształową kulę! A może już jestem zasuszoną jedzą?...

- Pozwól mi być twoją kryształową kulą - powiedziałam, przyszpilając - ją wzrokiem. - Wiem w głębi serca, że znajdziesz kogoś niesamowitego.

- Chciałabym, żeby część mnie z przyszłości nawiedziła mnie młodszą, coś jak w *Powrocie do przyszłości*, i krzyknęła: „Kotku, nie martw się! Pewnego dnia wyjdiesz za mąż i urodzisz trójkę dzieci, więc na razie baw się dobrze!”. Wtedy odetchnęłabym z ulgą i korzystałabym z radości bycia wolną i niezamężną. Czekać, jakie to są te radości?

Powiedziała, że zalewa ją fala panien na wydaniu przybywających do Nowego Jorku każdej wiosny na uroczystość rozdania świadectw. Robiły sobie wolne na lato i zalewały miasto, zajmując wszystkie kawalerki i wszystkich kawalerów w naszym wieku. Leigh nie chciała przyłączyć się do tego safari w poszukiwaniu męża, bo desperackie polowania wystawiają na szwank charakter, ale z drugiej strony, jeżeli nie czyni się wysiłków w stronę poznawania ludzi, szansa może nas ominąć.

- To ten odwieczny paragraf 22, którego nie rozumiem - stwierdziła, delikatnie skubiąc pierożek fachowo trzymanymi pałeczkami. - Mówią ci, że masz o tym nie myśleć, ale wtedy robi się z tego oczywista sprawa. Jeżeli naprawdę nie myślisz o szukaniu kogoś, jak możesz go znaleźć? Trochę trzeba się rozglądać, ale nie za dużo. Ja się poddam. Będę samotnie siedzieć na bujanym fotelu i oglądać powtórki *Złotek*.

- Zobaczmy, co nam powie ciasteczko z wróżbą - zaproponowałam i skruszyłam jedno z nich. - O mój Boże! Leigh, tu jest napisane: „Miłość czuć w powietrzu"! - wrzasnęłam.

- Gówno prawda. Pokaż. - Wyrwała mi z ręki kawałek papieru i wtedy usłyszałam, że otwierają się drzwi. - Masz rację! Czas najwyższy.

- Witajcie, laski! - Do pokoju wszedł Josh, za nim Parker. - O, żarcie, wspaniale. Wystarczy dla nas?

- J a k najbardziej! Zamówiłam całą tonę, więc znajdują się dla was jakieś resztki. - Wstałam i rzuciłam się w ramiona Josha. Wydawało mi się, że nie było go całe wieki, i obejmując go, znowu poczułam się bezpieczna. Uścisnęłam go mocno, jakby był bezcielesnym duchem, a potem przytuliłam Parkera.

- Jak leci, pracoholicy?

- Cóż... - zaczął Josh, patrząc na Parkera. - Kochanie, wkurzysz się na pewno...

Ach. Serce miałam w gardle.

- Za dwa tygodnie znowu muszę wyjechać, ale tym razem tylko na kilka dni.

- Niemożliwe! - Tym razem chyba się załamie. Nie chciałam się denerwować przy Leigh i Parkerze, więc tylko pokręciłam głową, poruszona. - Bycie samotną matką jest wykańczające! - stwierdziłam. - No i tęsknię za tobą. Jesteś wiecznie nieobecny. Nie wiem, jak sobie radzą wojenne żony. Ale przynajmniej utkniesz w tym dziwnym zamku z małpą, która sra w pieluchę, i nikt nie będzie do ciebie strzelał - starałam się znaleźć jakieś pozytywy tej sytuacji.

- Przykro mi, kochanie, to na pewno kiedyś się zmieni - pocieszył mnie i pogłaskał po głowie, a ja zrobiłam kwaśną minę.

- Leigh, jak się masz? - zapytał Parker. - Przemysł pływotowy dobrze cię traktuje?

- Tak sobie, wiesz, jak to jest. A ty? Dobrze się z nim bawisz? - wskazała na Josha.

- Coś niecoś się nam udaje - Parker się uśmiechnął. - Ostatnio pracujemy do późna...

- Tak, dobijając mnie! - wypaliłam, by mu dokuczyć.
- Siedzę sama w domu jak jakaś ofiara losu. - Josh pogłaskał mnie po plecach i przeprasząc pocałował w czoło.

- Bee wychodzi co wieczór, naprawdę, czasem wydaje mi się, że nie zauważa mojej nieobecności! - wykrzyknął Parker. - Ma tyle spotkań związanych z dobroczynnością, że czasem wracam do domu przed nią - powiedział, wzruszając ramionami.

Josh spytał Leigh o ostatnie randki i powtórzyła swoją tyradę, co sprawiło, że Parker turlał się po podłodze ze śmiechu. Chichotał tak histerycznie, kiedy dojechała do części o kiełbaskowych palcach, że poważnie obawiałam się, czy nie puści czasem pawia po żeberkach, które właśnie zjadł, i nie będzie potrzebował foliowej torby, w której zostały dostarczone.

- Przestań! Przestań, Leigh, zaraz umrę - jęknął, z trudem łapiąc powietrze. - Jesteś cholernie śmieszna, umieram.

- Tak, Leigh i Hannah mają swój własny język. To zdecydowanie wyjątkowy sposób rozmawiania. - Josh puścił do mnie oko. Uśmiechnęłam się i objęłam Leigh. Wieczór niespodziewanie zmienił się w przyjemne spotkanie. Niekapiące świece z Pottery Barn spalały się powoli na naszych świecznikach od Tiffany'ego, prezencie ślubnym, i w końcu o północy wszyscy stwierdzili, że czas iść spać. Parker powiedział, że Bee pewnie wróci niebawem ze spotkania OKM, Ogrodów Kwiatowych Manhattanu, która to organizacja sadziła kwiaty w całym mieście. Żeby bogate pudle miały gdzie srać.

W łóżku przytuliłam się do Josha, delikatnie głaszcząc go po brzuchu, ewidentnie pełnym azjatyckiego smażonego zarcia.

- Nie dzisiaj, kochanie - odparł z jękiem. - Za dużo zjadłem.

Kilka minut później odwrócił się i zasnął. Fajnie. Czy to przypadkiem nie kobiety powinny cierpieć na „ból głowy” lub być „zmęczone”? Leżałam i gapiłam się w sufit. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, jak bardzo samotnym można się czuć w małżeństwie.

...także analizując stan związku państwa Allen...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliott: Zgadnij, co Park powiedział wczoraj po spotkaniu z Hannah i Joshem?

Maggs10021: No?

BeeElliott: Wspomniał, że wyglądali „naprawdę uroczo”, to znaczy ona nie mogła się od niego oderwać, była bardzo czuła.

Maggs10021: No i?

BeeElliott: No i! Poczucie winy do kwadratu! Ona najwyraźniej próbuje mu wynagrodzić fakt, że go ZDRADZA, zasypując biedaka czułościami! Lec i tak wpadnie.

Maggs10021: Ale ona nie jest z tych...

BeeElliott: POZA TYM Park mówił, że wyglądała na „zdruzgotaną”, bo Josh musi jechać do Europy, a wiadomo, że ona będzie się potajemnie spotykać z tym gościem.

Maggs10021: Jejku, biedny Josh, jest taki miły.

BeeElliott: Wpadnie jak śliwka. Lila Allen Dillingham skopie jej tyłek w sądzie. Jej syn mógł o wiele lepiej trafić i ona o tym wie.

32

Piątkowe popołudnie, koniec tygodnia pracy... Mimo że nie nosiłam garnituru jak zwykli pracujący, i tak wpadłam w nastrój „dzięki-Bogu-już-piątek”, bo Josh wreszcie miał siedzieć w domu. Będziemy komórką społeczną, kompletną i silną. Listopadowy wiaterek poruszał gałęziami drzew, a ja czułam spokój, mając w perspektywie wesoły, chłodny, jesienny weekend. Razem z Violet szłyśmy na stację metra i na ulicy wpadłyśmy prosto na Bee oraz Maggie. Jak na miasto z dziesięcioma milionami mieszkańców to naprawdę zdumiewające, jak często przypadkiem spotykasz znajomych - nasza okolica przypominała w tym względzie markową szalkę Petriego.

- Witaj, Hannah, dokąd się wybieracie? - zapytała Maggie.

- Och, chcemy sprawdzić pewną grupę zabaw, podobno jest fajna.

- Czy to ta od PR-u? - zainteresowała się Bee.

- Słucham?

- Istnieje taka grupa dzieci najlepszych specjalistów od reklamy, mają babkę od PR-u dla Celine, jedną od Vuittona, drugą od Valentina, i od Tod'sa...

- Nie, nie o tę chodzi - odparłam, nie wierząc własnym uszom. - Chyba nie wiedziałabym, w co się ubrać na taką atrakcję dla dzieci.

- Czekaj - rzuciła Bee i zerknęła w dół schodów prowadzących na stację metra, obok których stałyśmy. - Chyba nie masz zamiaru tam zejść? - zapytała.

Podążyłam za jej zniesmaczonym spojrzeniem.

- No... tak, jedziemy do Brooklynu.

- Ha! Bardzo śmieszne - popatrzyła na Maggie. - Ty mówisz poważnie! - Bee wyglądała na tak przerażoną, że pomyślałam, iż zaraz zadzwoni do opieki społecznej. Te kobiety mają do dyspozycji samochody z kierowcami i jeżdżą nimi nawet do sklepu po drugiej stronie ulicy - nigdy nie korzystają z publicznego transportu, nawet autobusów, nie mówiąc o metrze. A ja na dodatek wybierałam się do innej dzielnicy.

Maggie spojrzała smutno na Violet, zupełnie jakbym miała przeprowadzić mój skarb przez pole minowe, gdzie w dodatku na pewno by do nas strzelano.

- Bee, Maggie, to wy, dziewczyny? - Odwróciłyśmy się i zobaczyłyśmy uzależnioną od znaków firmowych Tessę Finch-Saunders.

- Wiecie co, laski? Znowu jestem w ciąży! - rozpromieniła się.

- Och, to nadzwyczajnie. Jej, numer trzy? - powiedziała Maggie z wyraźną nutą zazdrości w głosie.

- Tak, w ciągu trzech lat. Dacie wiarę? Chyba mi odbiło! Wystarczy, że mąż puści do mnie oko i mam ciasto w piekarniku!

- No, wiesz, co mówią - wtrąciła Maggie. - Trójka to nowa dwójka.

- To prawda - przytaknęła Tessa. - Ludzie często zastanawiają się, dlaczego ci lub tamci mają tylko dwoje dzieci? Kiedyś dotyczyło to rodzin z jednym dzieckiem! Teraz chodzi o trójkę. Trójka zawsze była moją szczęśliwą liczbą. Pa, pa! Jadę na rozmowę w przedszkolu Temple Emanuel! - Zaciśnęła kciuki obu dłoni zdobnych pierścionkami.

Tessa odpłynęła w morzu wzoru w panterkę i w stukocie obcasów dziesięciocentymetrowych szpilek od Jimmy'ego Choo.

- Nie cierpię jej - rzuciła Bee.

- Teraz pewnie też zrzuci wagę po ciąży w pięć minut jak ostatnio. Jest jedną z tych naturalnie szczupłych kobiet

- dodała Maggie.

- Akurat - zaśmiała się Bee. - Nieco jej przy tym pomógł doktor Baker. Nie traciła ani chwili. Łóżysko na zewnątrz, rurka do liposukcji do środka!

- Dużo kobiet teraz tak robi - stwierdziła Maggie. - Jakby chciała coś udowodnić. - Pochyliła się konspiracyjnie.

- J e j ojciec jest agentem FBI.

- To świetnie! - stwierdziłam.

- Nie do końca. Nie pracuje w terenie, walcząc z mafią czy coś w tym rodzaju - wyjaśniła Bee. - Podobno zajmuje się nielegalnymi filmami. Znacie te ostrzeżenia na początku każdego DVD? Podobno wprowadza je w życie. W każdym razie wyszła za faceta od funduszy inwestycyjnych i odżyła. Szkoda, że nie widziałyście jej na balu towarzystwa Manhattan Walczy z Trądzikiem Torbielowatym wczoraj wieczorem. Jakby połączyły się dwie najobrzydliwsze sukienki na świecie, a ona włożyła ich dziecko.

- Och, Bee, przesadzasz - mruknęła Maggie nerwowo.

Wzdrygnęłam się. Bee mnie przerażała. Maggie spojrzała na mnie, jakby coś w jej oczach mówiło, że ona też obawiała się słownych żądań przyjaciółki. Co też Bee opowiadała o mnie? Czyim piekielnym dzieckiem były moje stroje? Spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że muszę pędzić. Nie mogłam się doczekać wizyty na Brooklynie, gdzie z dala od złych, materialistycznych jędz z mojej dzielnicy mieszkały miłe, fajne, artystyczne mamy.



Weszliśmy do środka i zobaczyliśmy mamę siedzącą w pozycji pełnego lotosu z trzylatkiem przy piersi. Nie nosiła stanika, widać było kilka tatuaży, a w brązowych, sięgających pasa lokach miała blond pasmo.

- Cześć, witaj! - uśmiechnęła się. - To jest Cynceron, a ja jestem Darby.

Zabawne, jej karmiony trzylatek miał w imieniu słowo „cyc”.

- Cześć, jestem Hannah, a to Violet.

- Witaj, Hannah.

Cynceron oderwał się od piersi mamy, podszedł do Violet, wziął ją za rękę i poprowadził do Darby.

- Chcesz łyka? - zaproponował. - To mleczko mojej mamusi!

- Mm... w porządku... - Dałam nura i odciągnęłam Violet od wielkiego, falującego, karmiącego cycka.

- Na pewno? Ja nie mam nic przeciwko - powiedziała Darby.

- Nie, ona właśnie jadła, ale wielkie dzięki - odparłam, czując, że wszystko podchodzi mi do gardła, i wstałam.

- Karmisz piersią?

Świetnie. Kolejna Karmicielka Psychopatka klasy A.

- Mm, nie.

- Naprawdę? Ile ona ma lat?

- Dwa.

- Dawno przestałaś?

Poczułam ciepło na karku i policzki oblał mi rumieniec.

- Kiedy skończyła dwa miesiące. Nie zrobiłam tego dla siebie...

- No pewnie, nie robisz tego dla siebie, ale dla swojego dziecka - odparła, a w jej głosie nie było już luzackiego tonu. - Światowa Organizacja Zdrowia twierdzi, że karmić

piersią należy co najmniej przez rok. Istnieją przeciwciała broniące przed niektórymi chorobami, które występują tylko w mleku matki.

Chciałam przyznać jej rację, ale zapomniała dodać, że te niektóre choroby występują jedynie w K o n g o, a już na pewno nie w Stanach. Pieprzyć ją za lekceważenie mojej wiedzy.

Rozdęła nozdrza i uniosła przekłutą brew, dodając:

- I podobno dzieci karmione mlekiem matki są bystrzejsze.

- Mnie karmiono z butelki. - Wzruszyłam ramionami.

- J a k o ś w y r o s ł a m. - I na pewno byłam mądrzejsza od niej i tego cholernego ankha na jej ramieniu.

- Hej, dziewczyny - usłyszałam głos Kelly. - Widzę, że się już poznałyście.

- Tak - powiedziałyśmy jednocześnie. I zamilkłyśmy.

- Cześć, laski - rzucił przystojny gość z małym szkrabem. Potem zwrócił się do mnie:

- Witam, nazywam się Rufus. Nie jestem niańką, tylko SDO.

- O, świetnie - odparłam, zastanawiając się, dlaczego wszyscy z uporem tak mówili, kiedy mieli na myśli Siedzącego w Domu Ojca.

Pojawiło się dwoje kolejnych rodziców, dziewczyna o włosach krótkich z przodu i długich z tyłu (trendy fryzura dnia, jak Scarlett JoHaircut w *Między słowami*), z gitarą na plecach i dzieckiem w nosidełku w maskujących kolorach. Inna kobieta miała sterczące rozjaśnione włosy, a jej córka nosiła koszulkę z napisem „Żadnego snu aż do Brooklynu”. Zauważyłam, że w Upper East Side wszystkie małe eleganki były ubrane na różowo. Ja wolałam czekoladowe brązy i beże, ale czasem podobał mi się dziewczęcy róż. Dziwne, lecz na żadnej dziewczynce na

Brooklynie nie znalazłoby się ani odrobiny różu. Wszystko było musztardowe, ciemnobrązowe lub czarne. Widziałam nawet małą w sweterku z nadrukiem twarzy Che Guevary. Nie bardzo to rozumiałam, ale stwierdziłam, że pewnie dałoby się to podciągnąć pod rodzaj ekspresji zbuntowanego dzieciaka. Może chodziło o „precz z nim”. Nieważne, byłam zaintrygowana i chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o miejscu po drugiej stronie rzeki.

Siedzieliśmy i gadaliśmy. Tak, byli interesujący i odmienni, fajni: SDO miał własny sprzęt do edycji wideo na strychu, gdzie produkował reklamy i filmy dokumentalne; dziewczyna od muzyki należała do zespołu The Saints, który dawał koncerty w Lux i innych miejscach w okolicy; laska ze sterzącymi włosami pracowała w galerii sztuki w Chelsea, ale akurat była na macierzyńskim ze swoim drugim dzieckiem, synem Dexterem, którego zostawiła w domu. Wszyscy wydawali się młodzi - przed trzydziestką, może tuż po. Niedużo starsi od Bee, ale ona i jej przyjaciółki ubierały się, jakby przekroczyły czterdziestkę. Czytałam wystarczająco dużo kolorowych pism, żeby potrafić rozpoznać znaki firmowe, i wiedziałam, że wydawały fortuny na ubrania - nawet te, które wkładały na plac zabaw. Ta grupa miała zdrowe podejście, była młoda i na luzie. Ale właśnie wtedy, kiedy zaczynałam czuć się prawie jak w domu wśród tej artystycznej ekipy, zaczęli rozmawiać o przedszkolu Świętej Anny na Brooklynie, gdzie bardzo trudno się dostać. W tym roku zgłosiło się rekordowo dużo chętnych... To samo gówno, co w domu!

I wtedy to zrozumiałam: możesz uciekać, ale nie zdołasz się schować, Hannah. Mamzille są wszędzie. Niektóre konkurują o to, która jest najchudsza, albo czyje dziecko jest najlepiej ubrane, a inne walczą o to, by okazać się

najfajniejszą albo najlepiej karmiącą piersią. Ludzie zawsze stworzą sobie drabiny, żeby móc wspinać się po ich szczeblach i czuć się lepiej. Świat opiera się na współzawodnictwie. Nowojorczycy gonią za sukcesem. Ich ambicja nie znika, kiedy rodzą się dzieci - jak w tym prawie Newtona, w którym energia pozostaje stała; ta wściekła żądza nie dematerializuje się na dźwięk kołysanek i recytowania abecadła, ale koncentruje się na dziecku. Wszystkie rodzicielskie nadzieje i marzenia spływają przez lejek wprost do potomstwa i nawet gdybym przeniosła się do jednego z tych prostokątnych stanów w centrum kraju, na pewno dostrzegłabym ten sam trend. „Mała Iris pierwsza nauczyła się doić krowę!”, „Roberta umie zszywać szybciej niż inne dziewczynki na zajęciach pikowania!”, „Ależ ta Misy piecze wspaniałe ciasta z rabarbarem, a jest jeszcze taka mała!”...

Po jakiejś godzinie powiedziałam Kelly, że musimy już wracać, więc pożegnałyśmy się z rodzicami i dziećmi w Tots'n'Tonie. Wielka nadzieja na spotkanie fajnych ludzi, z którymi poczuję się jak w domu, odjechała pociągiem linii L i zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek znajdę to, czego szukam. Cokolwiek by to było.

33

Wróciłyśmy do domu i rzuciłam się na fotel. Violet usiadła mi na kolanach i dała upust często ostatnio wyrażanym uczuciom - bez przerwy mnie obejmowała i całowała.

- Mamusiu, kocham cię - powiedziała, a moje serce stopniało. Może była wszystkim, czego potrzebowałam.

- Bohater! Bohater! - błagała; chyba instynktownie wyczuwała czas emisji *Higglytown Heroes*. Serial opowiadał o miasteczku, gdzie wszyscy - od chłopaka rozwożącego pizzę, przez sprzedawcę ze sklepu spożywczego, po strażnika leśnego - okazywali się, tak, właśnie bohaterami. Fajny pomysł, ale bardziej by mi się podobał, gdyby to byli, powiedzmy, strażacy, gliniarze i nauczyciele, a nie rzeźnicy. No i ten nieco drażniący tekst piosenki: „Nigdy się nie bój, hej, przyszedł czas na bohatera z Higglytown”. Nie bój, hej? Blisko, ale niezupełnie. Dajcie spokój, ludzie, nie możecie znaleźć lepszych słów?

Violet oglądała z szeroko otwartymi oczami. Na ekranie małpa wcinała banana.

- Mamusiu! - piszczała, umierając ze śmiechu. Dosłownie rechotała. Wyła. Zginała się w pół. To było przeurocze - uwielbiałam, kiedy śmiała się z całego serca. Nie było piękniejszego dźwięku na świecie. - Małpka je banana! - Tak bardzo ją to uszczęśliwiło, że prawie zemdłała. W takich chwilach widać było, jak niewinne są dzieci. Osobiście nie znam żadnej małpy, ale wszyscy dorośli wiedzą, że małpy lubią banany. Nieświadoma tego Violet uprzytom-

niła mi, że stanowi puste naczynie, gotowe, by je wypełnić wiedzą. Patrząc na nią, uwielbiałam macierzyństwo i rozumiałam, że wszystkie moje obecne kłopoty były mało ważne.

Moje zamyślenie przerwał telefon.

- Cześć, Hannah, mówi Bee - usłyszałam. - Co słysząc na Brooklynie? Co robisz?

- Nic takiego, siedzimy przed telewizorem.

Pauza.

- Boże, Violet ogląda dużo programów. Mam wrażenie, że zawsze, kiedy z tobą rozmawiam, tkwi przed tym debilnym odbiornikiem.

Moja córka nie jest debilem.

- Cóż, nie mam nikogo do pomocy, więc lubimy się czasem skoncentrować na telewizji - przybrałam obronną pozę. - I czytamy tony książek.

- Weston niczego nie ogląda. Boję się, że, no wiesz, spowolni to jego rozwój. W końcu nie nazywają tego pudłem dla idiotów bez przyczyny.

Oby zdechła. A co ją obchodzi co ogląda Violet? Zobaczyłam więcej gównianych odcinków *Smerfów* i *Królika Bugsa* niż jakakolwiek inna żywa istota i przetrwałam! Ale nie powiedziałam jej tego.

- Nieważne - mruknęłam potulnie.

- Tak czy inaczej - ciągnęła - zastanawiałam się, czy nie miałybyś ochoty pójść z Maggie, ze mną i z dziećmi do parku w poniedziałek.

- O, hmm, jasne... - odparłam lekko oszołomiona. - Och! Czekaj, poniedziałek nam nie pasuje, mamy rozmowę w Carnegie.

- Interesujące... Cóż, powodzenia.

- Dzięki - odparłam. - Czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć? O co pytają? Masz jakieś wskazówki?

- Nie, nic takiego, bądź sobą! - poradziła. - To w takim razie może wtorek. Zadzwońię do ciebie po rozmowie, powiesz mi, jak poszła.

Odłożyłam słuchawkę i wyłączyłam telewizor. Violet najpierw zaprotestowała; może już była uzależniona. Ale kiedy skierowałyśmy się do jej pokoju i podeszłyśmy do półki z książeczkami, wybrała kilka i z zachwytem słuchała, jak czytam. Kiedy zasnęła, sprawdziłam pocztę głosową i znalazłam wiadomość od Tate'a Hayesa.

- Hannah, tu Tate. Znajomy pracuje nad wystawą w Metropolitan i powiedział, że mogę przyjść i obejrzeć kilka rzeczy przed otwarciem. Czy chciałabyś pójść ze mną w przyszłym tygodniu? Zjedlibyśmy lunch i oprowadziłbym cię po magazynie, to naprawdę niesamowita okazja, jeżeli jeszcze go nie widziałaś...

Ciepłe tony w jego głosie (który dziś brzmiał wyjątkowo ochryple - może był przeziębiony?) sprawiły, że zaczęłam przesuwac dłonią po ramieniu. Dostałam dreszczy. Na studiach robiłam to samo podczas jego wykładów.

Pewnego razu na drugim roku siedzieliśmy w gabinecie profesora Hayesa przy jego biurku, zajadaliśmy tłustą chińszczyznę i gadaliśmy godzinami. Miał wtedy romans z Bianką Pratt, która mnie uczyła sztuki nowoczesnej, więc musiało to być jakiś rok przed naszym pocałunkiem. Siedzieliśmy więc i nie rozmawialiśmy nawet o niczym mądrym. Chyba raczej o głupotkach takich jak to, że kiedyś po spożyciu glutaminianu sodu na drugi dzień moje palce upodobniły się do kiełbasek (a la prawnik Leigh) i nie mogłam włożyć pierścionków aż do czwartej po południu, kiedy to zjadłam smażonego kurczaka. Oparłam się na krzesło, przeżuwałam chińskiego krokietu i opowiadałam mu o swojej bezsenności (praca końcowa, kariera,

życiowe wybory, ble, ble, ble) i o tym, jak całe godziny spędzałam na zabawie z przyjaciółmi, bo po prostu nie cierpię szkoły. Uśmiechnął się i oświadczył, że to są tak magiczne lata, iż pewnego dnia za nimi zatęsknię.

- Na pewno nie - odparłam buntowniczo. - Proszę mi wierzyć, na ten stres nie ma siły. Wszyscy, którzy twierdzą, że właśnie teraz przeżywają swoje najpiękniejsze lata, są żałośni. Jeżeli to się okaże prawdą, skoczę z Transamerica Pyramid w San Francisco.

- Zobaczysz - odparł ze znajomością rzeczy. - Te czasy, kiedy masz przy sobie wszystkich przyjaciół, jecie razem posiłki i kumple są na każde wezwanie, już nie wrócą. To twój wbudowany system wspomagania.

Zdjął nogi z biurka, uśmiechnął się do mnie, sięgnął na półkę po książkę F.T Marinettiego i przerzucił kilka stron, aż dostrzegłam w jego oczach błysk rozpoznania. Chrząknął. Zanim zaczął czytać, patrzył na mnie przez chwilę. To było króciutkie, przykuwające wzrok spojrzenie.

Z pałeczkami w jednej ręce przeczytał:

„Siedzieliśmy całą noc, ja i moi przyjaciele, pod lampami z kłoszami z mosiądzu, kłoszami ozdobionymi gwiazdami jak nasze duchy, świeącymi jak one uwięzionym blaskiem elektrycznych serc”.

W moim mieszkaniu w Nowym Jorku przebudziłam się z zamyślenia, zdając sobie teraz sprawę, że miał rację. Choć szkoła mnie stresowała i nie zamierzałam pozwolić, by czas zatarł trudne chwile, poczułam nostalgię. Tamte czasy były nerwowe, ale bezpieczne. Tutaj esej, tam quiz, do którego należało się przygotować, ale to wszystko tworzyło spójny system, a ja dobrze funkcjonowałam w systemach. Wielu ludziom szkoła zdawała się jedną wiel-

ką mapą rozmaitych możliwości, lecz mimo to się gubili. A ja zawsze świetnie dawałam sobie radę z mapami. Wiedziałam, jak się nimi posługiwać, i zawsze trafiałam tam, gdzie musiałam. Po ukończeniu szkoły okazało się, że tak naprawdę w życiu nie dostajemy żadnej mapy, zwłaszcza tutaj, w NY. Dlatego czasem tęskniłam za komfortem kratek kalendarza i za wskazówkami z sylabusa i miałam nadzieję, że pewnego dnia dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. Ale kiedy jesteś osobą dorosłą, sama musisz udzielać sobie wskazówek. I chociaż to, czego chciałam, nadal wydawało się niejasne, nawiązanie kontaktu z czymś, co mnie ekscytowało i dzięki czemu czułam, że żyję, było krokiem w odpowiednim kierunku.

34

Weekend był bardzo fajny. Josh zajął się Violet, a ja spałam aż do jedenastej, po raz pierwszy od narodzin małej mogłam sobie tak pofolgować. Padał ulewny, zimny deszcz, z czego bardzo ucieszyła się moja pustelnicza, egoistyczna natura - byłam taka szczęśliwa, że mogę po prostu zostać w domu i odpocząć. Opowiedziałam Joshowi o spotkaniu w Brooklynie. Prawie umarł ze śmiechu i znowu kazał mi zapomnieć o smutkach. Miałam zabierać Violet na długie spacery i olać ten cały cyrk z grupami zabaw.

W sobotę wieczór, bojąc się wychodzić z domu, bo na zewnątrz szalał huragan Hermione, zdecydowaliśmy się skorzystać z systemu wypożyczania filmów Time Warner On Demand. Zapoznaliśmy się z bogatą ofertą. Byliśmy przy literce E, kiedy znalazłam *Ekipę Ameryka* i przypomniałam sobie, jak bardzo ta produkcja podobała się mojej przyjaciółce Trip w San Francisco. Stwierdziła, że to najlepszy film w tym roku, w dodatku cholernie zabawny.

- Joshie, ten animowany będzie idealny - próbowałam go przekonać. - Spodoba się Violet i osiągniemy podwójną korzyść, no wiesz, jak SpongeBob! - Josh uległ, nie bardzo ucieszony perspektywą oglądania marionetek przez dwie godziny, ale jako zatwardziały fan *South Parku* stwierdził, że możemy spróbować. Po kilku minutach wyliśmy ze śmiechu - Violet chichotała jak opętana, a my rechotaliśmy z rzeczy, których nie rozumiała, jak na przykład z tego, że był to genialny pastisz filmu *Rent*. Wszyst-

ko było super aż do nieocenzurowanej sceny seksu między dwiema marionetkami. Najpierw się śmialiśmy, ale potem ujęcie zrobiło się dosyć wyraziste i pełne tak akrobacyjnych pozycji seksualnych (lalki są bardzo giętkie!), że nawet wielbiciele Kamasutry, tacy jak Sting, płoniliby się ze wstydu. Z obawy, że wywołamy uraz w naszej córce i prowokujemy Bee do zawiadomienia pomocy społecznej, zdecydowaliśmy się skończyć z tą rozrywką.

- Mamusiu, tatusiu, patrzcie! Dwa ciałka leżą! - zawołała Violet, wskazując ekran telewizora, kiedy my desperacko szukaliśmy pilota między poduszkami. Klik. Uff. To by było tyle w kwestii filmowego wieczoru.

W niedzielę Josh musiał jechać do firmy, żeby odpracować nieobecność w poniedziałek, kiedy to wybieraliśmy się na rozmowę do przedszkola, zabrałam więc Violet na długi, przyjemny spacer. Poszliśmy aż do granicy parku, obok Harlem Meer, potem wzdłuż zachodniej części Central Parku West z pięknymi i zarazem nieco strasznymi gotyckimi budynkami o robiących wrażenie nazwach. Pamiętam, że jedna z nauczycielek Josha zmarła, kiedy z jednej z tych fasad spadł na nią gargulec. Placek, jak w kreskówce. Możecie sobie wyobrazić, że jakiś skrzydlaty, kamienny stwór z dziobem tak po prostu was zabija? To się nazywa nowojorska śmierć. Trzymałyśmy się zatem chodnika od strony parku, bo wspomnienie spadających kamiennych bestii przyprawiło mnie o dreszcze. Po powrocie do domu przez godzinę rozmawiałam z Leigh - zatrzymała się w hotelu w Dallas z kolejnym zespołem, The Scratchy Throats, i powiedziała, że kiedy się tam wybierała, na lotnisku wpadła na Parkera. Oboje mieli jakieś trzydzieści minut do swoich lotów, więc usadowili się w jednej z restauracji na LaGuardia i zaprzyjaźnili nad wodą mineralną po cztery dolary za butelkę.

- Ten facet to skarb, Hannah - westchnęła. - Niestety. Wszyscy najlepsi już zajęci.

- To takie dziwne - powiedziałam, przywołując w myślach piękną, lecz surową twarz Bee oraz wiecznie uśmiechniętą Parkera. - Oni po prostu do siebie nie pasują. To najśłodszy, najbardziej opiekuńczy facet na świecie, a z niej wyłazi wiecznie rywalizująca ze wszystkimi królowa lodu. Nie rozumiem tego.

- Miłość potrafi być dziwna - stwierdziła Leigh, przeczucując kanały w swoim hotelowym centrum rozrywki. - Przeciwiństwa się przyciągają. I nigdy nie wiadomo, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami.

- To prawda. Ale oni nadają się dla siebie tylko na papierze, nie w rzeczywistości. Ona jest bezduszna.

- Och, muszę lecieć, obsługa hotelowa przyniosła jedzenie i właśnie znalazłam na Spectravisjon nowy film z Ewanem McGregorem. Powodzenia na jutrzejszej wielkiej rozmowie na mini-Harvardzie!



W poniedziałek rano ja i Josh w swoim najlepszym garniturze, w którym wyglądał niezwykle elegancko i przystojnie, zostawiliśmy Violet z Amber i taksówką pojechaliśmy do przedszkola Carnegie. Serce biło mi jak szalone, przysięgłabym, że widać było to przez bluzkę, jak serce Królika Rogera. Josh śmiał się ze mnie. Wiedział, że jestem roztrzęsiona i kazał mi wyluzować. Nie miało to większego znaczenia - myślałam tylko o wesołym stwierdzeniu Bee, że odrzucenie podania równało się przekreśleniu szans dziecka na dostanie się do jakiegokolwiek college'u Ivy League.

Zbliżyliśmy się do oszałamiającego, wielkiego budynku, przed którym stały nianie w wykrochmalonych białych fartuszkach z całą flotą wózków Bugaboo w rzędzie. Zaparkowane na trzeciego lincolny navigatore cadillaki escalade i inne limuzyny blokowały dosłownie całą ulicę, powodując kakofoniczną orkiestrę klaksonów taksówek i ciężarówek. Wszystkie elegancko uczesane matki wysiadające z wyżej wymienionych limuzyn z przyciemnianymi szybami miały to gdzieś. W ciuchach od Michaela Korsaa, Zaca Poseny i Valentina wysiadały ze swoich aut z pomocą kierowców w uniformach. Następnie wspinały się po schodach do obrotowych drzwi przedszkola; wejście równie dobrze mogło prowadzić na paryski pokaz mody, garderoba dam zdawała się na to wskazywać. Spojrzeliśmy na siebie z Joshem i bez słowa śladem innych wkroczyliśmy do eleganckiej szkoły. Wholu, jak na lotnisku, znajdował się detektor metalu, przez który mamuśki przepuszczały swoje torebki marki Fendi. Słyszałam, że z powodu tych wszystkich dzieciaków miliarderów, ambasadorów i gwiazd budynek przypomina Quantico pod względem bezpieczeństwa.

- Jej, to miejsce wygląda jak małe muzeum... - wyjąkałam, kiedy już przedarliśmy się przez ochronę i podziwialiśmy pokryty freskami sufit oraz marmurowe schody. Fasada urodą przewyższała budynek Milford Prescott, ogromne drzwi wejściowe zrobiono z mahoniu, w środku był salonik z tapicerowanymi meblami, stolikiem i książkami oprawionymi w skórę. Wesoła recepcjonistka proponowała nam cappuccino („Mleko odtłuszczone czy jednoprocentowe? Cynamon czy kakao?”), potem zaprowadziła nas do poczekalni z zamszowymi kanapami i wyłożonymi obok projektami dzieci. Spojrzeliśmy na siebie, usiedliśmy i zaczęliśmy przeglądać książeczki zatytułowane na przykład *Podróże żabki*. Na pierwszej stronie

dostrzeżliśmy małą laminowaną żabkę za plastikową okładką, a kolejne strony przedstawiały ją na zdjęciach z różnych miejsc świata. Fotografie zostały zrobione przez rodziny w trakcie roku, w czasie wszystkich wakacji i ferii, a było ich mnóstwo: Rosh Hashana, Dzień Kolumba, Yom Kippur, Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie, Weekend Martina Luthera Kinga, Weekend Prezydencki, Środa Popielcowa, ferie wielkanocne i Dzień Pamięci Narodowej. Mimo czesnego w wysokości osiemnastu tysięcy dolarów (za trzylatki!), przedszkole było tak naprawdę ciągle zamknięte, żeby podopieczni mogli jeździć na wspaniałe wycieczki. Zdjęcia przedstawiały też dwuwymiarowego płaza w świątyni w Szanghaju, przy wieży Eiffla w Paryżu, przy pałacu Buckingham w Londynie (na dłoni wartownika), w rzymskim Koloseum, w amerykańskim kurorcie na Bali, obok iglicy w Seattle, Sears Tower w Chicago, góry w Gstaad, a także na safari w Afryce! Z namiotami Abercrombie & Kent w tle, naturalnie.

- Kotku, może to miejsce jest dla nas zbyt eleganckie - wyszeptałam do Josha, który rozłożył się na miękkiej kanapie i wyglądał, jakby zaraz miał zasnąć.

- Jest świetne. - Wzruszył tylko ramionami.

- Świetne? Kotku, ta pieprzona żaba z projektu trzylatków widziała więcej świata niż ja.

Właśnie wtedy do poczekalni weszła wysoka, bardzo atrakcyjna kobieta w kostiumie od Chanel.

- Państwo Allen, jak mniemam?

Oboje wstaliśmy jak na rozkaz.

- Nazywam się Kincaid, jestem dyrektorką działu przyjęć. Proszę wejść.

Udaliśmy się za nią do pięknego gabinetu wychodzącego na załaną słońcem ulicę. Zatrzepotały listki drzewka pomarańczowego.

- Witamy w Carnegie. Zanim państwa oprowadzę, chciałabym przedstawić państwu naszą filozofię. Uważamy, że dziecko powinno zacząć chodzić do przedszkola, umiając czytać i pisać.

Siedzieliśmy bez słowa, a ona mówiła przez piętnaście minut o ich metodach - zadawanie czytania do domu, Koło Prac Domowych (gdzie każdy maluch zostaje na jeden dzień obciążony obowiązkiem, na przykład pomaga w podawaniu posiłku lub sprząta po pracach ręcznych) i innych elementach programu (dinozaurach, geometrii, starożytnej Grecji). Słuchając, uważnie kiwaliśmy głowami i wymruczeliśmy kilka razy „mmm” i „hmm”. Odrobinę dziwne i surrealistyczne wydało mi się to, że w rzeczywistości to nie my wybieraliśmy przedszkole; to oni decydowali, czy wybrać nas.

- Pozwolę sobie zakończyć w nieco osobistym tonie - podobno poszukują państwo nowego mieszkania z moim mężem. To miło.

- Tak! Troy - pan Kincaid - jest bardzo pomocny i cierpliwy. Na pewno wkrótce coś znajdziemy.

- Zanim pokażę państwu przedszkole, chciałabym, abyście napisali krótki tekst o panie Violet, wystarczy jakieś trzysta słów. Zostawię państwa na dziesięć minut. Chodzi nam o pierwsze myśli związane z dzieckiem.

Poczułam się... ogłuszona.

Krótki tekst? Jak miło ze strony Bee, że nawet nie wspomniała o niespodziance, kiedy prosiłam ją o wskazówki. Małeńkie „och, przygotujcie się na pisanie eseju” byłoby miłe. Pani Kincaid położyła przed nami śnieżnobiałą kartkę papieru ze znakiem wodnym w kształcie herbu przedszkola i kilka długopisów, po czym wyszła.

- Kochanie, to jakieś wariactwo - jęknęłam.

- Uspokój się. Umiesz pisać, czytałem **twoje** prace. Okej, bez nerwów.

Oboje wzięliśmy głęboki oddech i po raz pierwszy w życiu zobaczyłam, że mój zwykle opanowany i skupiony mąż sprawia wrażenie nieco roztrzęsionego. Najpierw urządziliśmy krótką burzę mózgow na temat naszej córki. Była zbyt cudowna i zdumiewająca, by zmieścić wszystko na jednej stronie. Nieważne, co napiszemy, i tak nigdy nie dostrzegą tych wszystkich cudów, które my w niej widzimy. Wszyscy twierdzą, że ich dzieci są mądre, zabawne, energiczne i odważne. Zdecydowaliśmy się więc skoncentrować na tym, co było w niej najważniejsze - jak bardzo jest czuła - i że w naszym domu nigdy nie brakowało uczucia. Mała bierze w ramiona kasjerki w supermarkecie, sprzedawcę w kwaciarni i wszystkie dzieciaki na ulicy. Uwielbia trzymanie się za rączki i nawiązywanie więzi, jej dusza i miłość do ludzi zarażają ludzi tak, że serce najgorszej zrzędy topnieje w blasku jej oczu. Wreszcie skończyliśmy. Aż mnie ręka bolała od zapisywania naszych myśli i stwierdziłam, że choć w ciągu dziesięciu minut nie zdołaliśmy w pełni opisać Violet, to przynajmniej pokazaliśmy pani Kincaid, że jesteśmy całkowicie oddani córce. Dyrektorka weszła do gabinetu, wzięła kartkę i włożyła do naszej teczki.

- Chodźmy obejrzeć przedszkole.

Wstaliśmy i ruszyliśmy marmurową posadzką w stronę schodów. Jedynym dźwiękiem było stukanie obcasów pani Kincaid. Przez dźwiękoszczelne drzwi widzieliśmy bawiące się maluchy w najpiękniejszych ubrankach, jakie kiedykolwiek widziałam.

- Właśnie zaczyna się czas odbierania dzieci, więc będą państwo mogli kilkoro zobaczyć - powiedziała. Przeszliśmy całe osiem pięter przedszkola, które nie tylko oka-

zało się urocze, lecz także sprawiało, że inne przy nim bladły. To był prawdziwy pałac. Mieli basen olimpijski, bibliotekę ze złoceniami na ścianach oraz idealną salę gimnastyczną.

Nagle rozległ się cichy dzwonek i wszystkie drzwi otwarły się w zgodnym tempie. Z pomieszczeń wysypały się rzędy wystrojonych dzieci.

- Dzień dobry, Cossimo! - powiedziała pani Kincaid do dziewczynki z długimi warkoczami. - Witaj, Indio! Dzień dobry, Remingtonie! Witaj, Lorelei!

Wylądowaliśmy z powrotem w foyer przy gabinecie dyrektorki, kiedy dołączyła do nas poprzednio wesoła, a teraz nieco wystraszona asystentka.

- Pani Kincaid? Pani Elliott, mama Westona Elliotta, jest w pani gabinecie. Mówi, że ma ważną sprawę.

- Dobrze, Grace - rzekła dyrektorka i zwróciła się do nas: - Josh, Hannah, było mi bardzo miło państwa poznać, z niecierpliwością będę czekać na pannę Violet Grace w przyszłym miesiącu, kiedy zaczniemy nasze rozmowy z dziećmi. Miłego dnia.

Weszła do gabinetu i wtedy usłyszeliśmy zdenerwowany głos Bee.

- Pani Kincaid - rzuciła. - Mam bardzo poważny problem.

- Tak, pani Elliott, o co chodzi?

Zadzwo niła komórka Josha. Porozmawiał przez chwilę i powiedział mi, że musi wracać do biura. Cmoknął mnie w policzek i wyszedł. Zaciekawiona, o co może chodzić Bee, odwlekałam wyjście, udając, że poprawiam but na sofie przy otwartych drzwiach.

- Wczoraj po raz trzeci Weston wrócił do domu poplamiony farbami. Kaszmirowy sweter od Ralpa Laurena za trzysta dziewięćdziesiąt pięć dolarów! - wrzesz-

czała Bee. - Chyba nie muszę powtarzać, że panna Glassman nie dba odpowiednio o schludność mojego syna.

- Pani Elliott - zaczęła dyrektorka, najwyraźniej przyzwyczajona do zajmowania się takimi sprawami. - Z całym szacunkiem, to jest przedszkole. Dzieci malują, bawią się na zewnątrz i się brudzą. Może powinna pani go ubierać w rzeczy, które się łatwo pierze?

- To, jak ubieram syna, to moja sprawa. Nie życzę sobie, żeby wracał do domu, wyglądając jak po bitwie paintballowej.

Cisza.

- Powiem zatem panie Glassman, żeby wkładała mu fartuszek. Jeżeli dobrze pamiętam, już kiedyś tego próbowaliśmy, ale Weston nie chciał go włożyć. Nie będziemy go zmuszać.

- Cóż, proszę mu kazać to zrobić. Albo wyślę panie Glassman nasze rachunki z pralni. - Usłyszałam szuranie odsuwanego krzesła. Pospiesznie się oddaliłam, żeby mnie nie zobaczyła. Jezu.



W drodze do domu zdałam sobie sprawę, jaki to był piękny dzień, z chłodnym powietrzem i zmieniającymi kolory liśćmi. Zapłaciłam Amber i zapakowałam małą do wózka. Wybierałyśmy się na długi spacer. Przeszłyśmy przez park, minęłyśmy hotel Plaza, gdzie Violet obejrzała wszystkie stojące przed nim konie i powozy. Przeszłyśmy Piątą obok sklepu Disneya (też prawdziwy przebój) aż do Empire State Building. Zanim się spostrzegłam, dochodziłyśmy Houston Street do Soho. Popatrzyłam na tamtejsze hipisowskie dzieci i zafascynowane modą ko-

biety. Pełna modelek i studentów dzielnica wydawała się młodsza niż Manhattan.

- Mamusiu, mój sklep! - powiedziała nagle Violet.

Obróciłam się i ujrzałam najpiękniejszy na świecie butik dziecięcy, Makie, z maleńkim znakiem firmowym przywiązany do drzwi szpagatem. W środku zastałyśmy projektantkę. Zaczęłam zachwycać się oryginalnością i urodą jej kreacji. Violet biegała po sklepie jakieś piętnaście minut, podczas gdy ja wybierałam dla niej nowe zimowe rzeczy. Nie miała właściwie żadnych płaszczyków ani ciepłych swetrów, a w centrum wszystko było tak obłądnie drogie, że moja karta nie dałaby rady. Przymierzyłyśmy urocze kozaczki, które przypominały te noszone przez Little Orphan Annie. Violet prezentowała się w nich prze cudownie.

Poszłyśmy potem na babski lunch do KinKhao, zjadłyśmy po połowie porcję pierogów (jej ulubionych) i wyruszyłyśmy na spacer z powrotem w stronę dzielnicy bogatych. Cukiereczek po drodze zasnął w wózku. Zrobiło się chłodno, więc zamieniłam jej sandałki na nowe, błyszczące, brązowe kozaczki, które dopiero co kupiłyśmy w Makie. Wyglądała jak aniołek. Postanowiłam wykorzystać jej drzemkę, by zrobić zakupy dla siebie.

Skierowałam się do Barneysa, gdzie przejrzałam wieszaki z pięknymi rzeczami. Wypatrzyłam Kelly Osborne z Richiem Richem, projektantkę Heatherette, którą zawsze podziwiałam, a dziesięć minut później zobaczyłam Liv Tyler, jak swoimi dłońmi o długich palcach delikatnie podawała sprzedawczyni swoje zakupy.

Nagle, kiedy czekałam w kolejce do przymierzalni, usłyszałam: „O mój Boże!”. Odwróciłam się i ujrzałam jedną z mam z Kidsplasion, która rozmawiała przez komórkę.

- Poczekaj - rzuciła do słuchawki i zwróciła się do mnie.
- Gdzie kupiłaś te przepiękne buty?

- W takim miejscu w centrum...

- Gdzie? Nazwa! Adres! - Wyglądała, jakby zalewała się potem, a ton jej głosu był tak nagły, jakby brała udział w misji CIA, mającej na celu ochronę narodu i ustalenie ważnych faktów.

- Sklep nazywa się Makie. Na Thompson, między... hm... chyba Prince i Spring?

- Milos, to ja - warknęła do słuchawki. - Masz pojechać do sklepu Makie. Zapytaj o brązowe skórzane kozaczki, rozmiar osiem, dla Calliope. Tak... rozmiar osiem. Potem wróć tutaj i przyjeźdź po nas na Via Quadronno. Cześć.

Zatrzasnęła komórkę i odeszła. Żadnego „dziękuję”, nic. Tylko polecenie dla kierowcy, żeby kupić takie same kozaczki. Dramat.

Violet wciąż spała, kiedy dotarłyśmy do domu, więc przygotowałam sobie odrobinę luksusu, której jeszcze nie miałam okazji zakosztować w Nowym Jorku - popołudniową kąpiel. Nogi bolały mnie po długim spacerze, ale czułam się dobrze. A gdy zanurzyłam się w lawendowych bąbelkach i wyrzałam przez okno, słońce właśnie zaczynało zachodzić na jasnoniebieskim niebie jak z obrazu Maxfielda Parrisha.

35

Następnego dnia, zainspirowana naszym maratonem, zdecydowałam się pójść z córką do West Side i odwiedzić Muzeum Historii Naturalnej. Violet potrafiła wymienić nazwy wszystkich dinozaurów znanych ludzkości, więc pomyślałam, że fajnie będzie obejrzeć kilka kości. Mała była wniebowzięta, wręcz w euforii. Wystawa zapierała dech w piersiach, spacerowałyśmy po salach, oglądając „robaczki”, „króliczki” i „rybki”, a Violet patrzyła na wszystko z rozdziawioną buzią.

Pod wielkim wielorybem śliczna mama z córeczką w robionych na drutach szalikach spoglądały zdumione w górę.

- Baldzo mi się tu podoba, mamusiu - powiedziała zachwycona mała.

- Jest wspaniale, prawda? - potwierdziła mama. - Możemy tu przychodzić, kiedy tylko zechcesz.

Violet podeszła powoli do dziewczynki i mocno ją ob-

- Achhh, jaka kochana! - zwróciła się do mnie kobieta.
- Amy, uściskaj dziewczynkę.

Maluchy objęły się, a my zachwyciłyśmy się uroczą scenką. Mama przypominała mi przyjaciółkę z kursów podyplomowych, która miała dziecko i zawsze robiła wrażenie osoby wyluzowanej; przychodziła z niemowlakiem na imprezy i często widziałam ją w bibliotece - czytała, a dzieciak siedział w nosidełku Baby Björn. Obiecałam sobie wtedy, że też będę taka beztroska i na luzie. A ta kobieta roztaczała wokół siebie tę samą atmosferę relaksu.

- Mieszkacie w okolicy? - zapytała.

- Po drugiej stronie parku. Ale nie mamy tu daleko. Zrobiłyśmy sobie przyjemny spacer - odparłam.

- My mamy cudowne zajęcia, *Broadway Babies* na East Side. Też tam chodźcie?

- Nie. A na czym polegają? Na zmianie dzieci w małe gwiazdy typu Macaulay Culkin czy coś w tym guście?

- Nie. - Roześmiała się. - Jest tak fantastycznie, że trudno to wyrazić słowami. Są tam aktorzy z Broadwayu, którzy co tydzień dają inne przedstawienie, czyli nawet rodzice mają rozrywkę na światowym poziomie.

- Niemożliwe! Podoba mi się to! - Brzmiało to weselej i przyjaźniej niż stateczne dzwonki i trójkąty Milford Prescott.

- Musicie to zobaczyć. Nauczyciele są niesłuchanie utalentowani, sprawiają, że człowiek czuje się szczęśliwy, bo mieszka w Nowym Jorku.

- Mamusiu! - jęknęła nagle jej córka.

- Dobrze, kochanie, idziemy na lunch. A tak przy okazji, jestem Holly Appleton. Jeżeli będziecie chcieli wziąć udział w zajęciach, zapytajcie o Audrey, jest przemiła.

- Wielkie dzięki za odpowiedź.

- Twoja córeczka jest przeurocza...

- Twoja też!

Wyszłyśmy z muzeum. Od razu zadzwoniłam do informacji po numer *Broadway Babies* i zapisałam Violet. Dowiedziałam się, że mieli wolne jedno miejsce w grupie Holly i że na następnych zajęciach zobaczymy *Chicago*. Ciekawe, jak intrygę o morderstwie na tle seksualnym, podwójnym zabójstwie, zamknięciu w więzieniu i nieuczciwym systemie prawnym mieli zamierzać zmienić w przedstawienie dla dwulatków. Jednego jednak byłam pewna: nie mogłam się doczekać.

Nazajutrz robiłam porządek w szufladach Violet (pełnych ubrań, z których niestety już wyrosła), kiedy zadzwonił portier. Na górę szła pani Dillingham. Kurwa, wyglądałam, jakbym właśnie stoczyła walkę na ringu z Mikiem Tysonem. Ściągnęłam paskudną koszulkę i włożyłam małą białą sukienkę, której jeszcze nigdy nie miałam na sobie. Odrywałam właśnie metkę z ceną, gdy zabrzączał dzwonek do drzwi. Normalnie nigdy nie paradowałam po domu w sukience, ale Lila i jej podobne stare baby zawsze chodziły wystrojone i na pewno nigdy nie pozwoliłyby, żeby służba oglądała je w czymś tak plebejskim jak džinsy.

- Lila! Witaj! - powiedziałam z wymuszonym uśmiechem. - Co za niespodzianka. - Miałam cichą nadzieję, że subtelnie wpleciona nuta zaskoczenia sprawi, że następnym razem może pomyśli, by zadzwonić, zanim znienacka nas nawiedzi, ale nic z tego.

- Hannah, jestem zaniepokojona - zaczęła, bacznie mi się przyglądając. Chyba wyczułam ton zadowolenia z mojego stroju, choć nie wspomniała o nim ani słowem. - Po południu widziałam się z Bee i zaczęłyśmy rozmawiać o Violet.

Aha. Czy te baby nie miały innego tematu do rozmów niż moja córka? Chyba jednak nie.

- ...i wspomniała, że ty... zabierałaś ją do innych dzielnic - Lila kaszlnęła, zupełnie jakby miała zwymiotować. - Metrem.

- Tak. - Widziałam, w jakim kierunku to wszystko zmierza. - Pojechaliśmy na spotkanie grupy zabaw.

- Szczerze mówiąc, wspomniała również, że Violet ciągle ogląda telewizję i nie mogę powiedzieć, żebym była z tego zadowolona - wiesz, Weston w ogóle tego nie robi. Jestem też bardzo zaniepokojona, że tak po prostu zdecydowałaś się przewozić moją wnuczkę metrem w tych strasznych bydlęcych wagonach! Są pokryte graffiti i okropne. A ci ludzie! Męty społeczne! Jeden Bóg wie, co mogło jej się stać. Wiesz, że metro jest celem terrorystów. A gdyby ci szaleni zamachowcy weszli do pociągu? To bardzo nieodpowiedzialne z twojej strony!

Krew mi się zagotowała. Żałowałam, że nie ma Josha, który mógłby wstawić się za mną, ale jak zwykle siedział w pracy i znowu znalazłam się sama z jego matką. Byłam zmuszona się bronić, ale i pragnęłam uniknąć konfrontacji.

- Lila, na wagonach nie ma już graffiti...

- To nieistotne! Po prostu niepokoi mnie ta sytuacja i jeżeli naprawdę koniecznie musisz opuścić Manhattan, pożyczę ci mój samochód z kierowcą.

Byłam wściekła. Ale musiałam wziąć głęboki oddech i wraz z wydychanym powietrzem pozbyć się chęci walnięcia jej w głowę wielgachnym kijem golfowym. Gniew powoli ustępował i skinęłam spokojnie głową. Nie chciałam pogorszyć sytuacji, mówiąc na przykład, że uważam ją za wścibską krowę, która powinna pilnować własnego nosa. Dlatego nic nie powiedziałam. Następne dziesięć minut minęło na pogaduszkach (pytała o „najnowsze wieści” dotyczące przedszkola, bla, bla, bla), po czym oznajmiła, że musi już iść, bo za trzy godziny wybiera się na bal wydawany przez Pomoc dla Zagranicznych Fresków w Burden Mansion i „nie ma co na siebie włożyć” (najwy-

rażniej za granicą istniały malowane sufity w strasznym stanie, które potrzebowały naszej pomocy). Hmm. Kiedy wyszła, desperacko zapragnęłam opuścić dom. Zdecydowałam się zabrać Violet na dwór i rozładować napięcie. Przeszliśmy kilka przecznic, kiedy mała krzyknęła: „Mamusiu, sklep!” i zgodnie z jej życzeniem wylądowałyśmy w słynnym królestwie zabawek, FAO Schwarz.

Duży błąd. Hordy mam z platynowymi kartami stały w kolejkach do kas z torbami wypchanymi wielkimi lalkami i samochodzikami, chociaż do Gwiazdki jeszcze daleko, i chodząc po sklepie, miałam wrażenie, że oglądam wszystko przez obiektyw aparatu. Zniekształcony obraz pokazywał dzieci z lizakami większymi od ich głów. Warczenie samochodów wydawało się tak samo głośne jak na ulicy w godzinie szczytu, lalki Barbie były bardziej blond niż zwykle, a tłum sprawił, iż poważnie obawiałam się, czy w pewnej chwili nie ruszy w naszą stronę, by nas udusić. Musiałam wyjść. Wyprowadziłam Violet na zewnątrz i poszłyśmy do domu. Może czeka na mnie słodka wiadomość od Josha, z którym bardzo chciałam porozmawiać i przeanalizować sytuację.

Niestety, ani słowa od Josha, tylko krótki SMS, że będzie na spotkaniu „do późna”. Ciekawe, Troy Kincaid dzwonił trzy razy. Pojawiła się nowa, prywatna oferta od rodziny, która za dwa miesiące wraca do Portugalii. Zona ostatnio przeszła operację przeszczepu nerki, dochodziła do siebie w domu i nie chciała, żeby ludzie łązili po jej sypialni. Zleciła sprawę Troyowi Kincaidowi jako jedyjnemu pośrednikowi, a ponieważ cena mieściła się w naszym budżecie (ledwie), musiałam sprawdzić to mieszkanie; zapytał, czy możemy przyjść.

Po obejrzeniu z Troyem tuzinów nor weszłam, zobaczyłam i już wiedziałam. To tak jak z facetami: trzeba pocałować setki żab, a potem wiesz, że to ten jedyny. A to miejsce było domem.

Przeszłam się korytarzem, zerknęłam na sypialnię, która miała się stać azylem Violet, i jeszcze jedno małe pomieszczenie, które pewnego dnia zamierzałam przeznaczyć na pokój dla dziecka numer dwa. Wszystko było wprost idealne.

- Załatwione - powiedziałam zdecydowanie. - To jest to. To będzie nasz dom.

Oczywiście nie było to takie proste. W Nowym Jorku, mieście wspólnot mieszkaniowych, nie można tak po prostu wpłacić kasy i dostać klucz. Nie, nie, nie, w krainie sąsiadów w pionie, gdzie usytuowanych jeden nad drugim mieszkało dwunastu nowojorczyków z dwunastoma opi-

niami, musieliśmy najpierw przejść przez niesławne spotkanie zarządu wspólnoty.

Czyli oprócz przedszkoli Violet zawisło nad nami przygotowanie się do spotkania zarządu - stustronicowe podanie tomisko żądające wszystkich informacji o naszych zobowiązaniach podatkowych, formularze, których mieliśmy po dziurki w nosie, i listy polecające - nie tylko finansowe od szefa Josha i naszych księgowych, lecz także towarzyskie referencje świadczące o tym, że mieliśmy dobrą pozycję społeczną i przyjaciół na odpowiednich stanowiskach (tzn. w miłych wspólnotach w sąsiedztwie).

Zamieszkanie w tym budynku, dostanie się do tej klikki - dość ścisłego grona wielu „miłych” rodzin, wśród których znajdował się m.in. prezenter wiadomości z NBC i prawnik reprezentujący gwiazdy - przedstawiało się więc dość problematycznie. A nie było to przecież żadne oszłamiające, wymyślne miejsce, tylko zwykła cicha, wysadzana drzewami ulica. Dom za to okazał się prawdziwie „szpanerski”: z wyściełanymi wytartą skórą krzesłami w holu i starymi portierami, którzy pracowali tam od czterdziestu lat.

Na drugi dzień, kiedy Josh i Violet również przyszli obejrzyć mieszkanie, formalnie złożyliśmy ofertę. Usiedliśmy z Troyem w pobliskim bistrze Payard i spisaliśmy osoby, które moglibyśmy poprosić o listy polecające. Część finansowa nie stanowiła problemu; Josh miał świetnego kumpla, agenta od hipotek. To było małe piwo, podobnie jak listy od Parkera Elliotta i innego starego przyjaciela Josha, Milтона McDermotta.

- A ty, Hannah? - zapytał Troy. - Będziemy potrzebować również referencji od twoich przyjaciół.

Rzuciłam Joshowi nerwowe spojrzenie, nie bardzo wiedząc, jak powiedzieć Troyowi, że jeszcze nie mam w No-

wym Jorku przyjaciół. Leigh wynajmowała mieszkanie na przedmieściach, listy polecające od niej nie wywarłyby odpowiedniego wrażenia. Bee (która przecież w zasadzie nie była moją przyjaciółką) traciła na wiarygodności, bo jej mąż wystawiał referencje Joshowi.

- Może mogłabym poprosić... znajomego, Tate'a Haysa. Jest wykładowcą na Columbii i uczył mnie na Berkeley.

- Okej, super - stwierdził Troy. - Dobrze. A jacyś inni przyjaciele? Będzie potrzebna jeszcze jedna osoba, najlepiej przyjaciółka.

Cholera. Nic. Zastanowiłam się, czy Maggie Sinclair by czegoś nie skrobnęła. Wszystkie dziewczyny znały procedurę, może naciągnęłaby nieco fakty i napisała, że znamy się, powiedzmy, od ślubu Bee? Ach.

- Chyba zapytam jeszcze Maggie Sinclair.

- O, tak, znam Maggie, byłaby idealna, wprost idealna. Świetnie. Teraz musiałam ją tylko poprosić.

...dobre wiadomości rozchodzą się... bardzo szybko...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliott: Podobno Allenowie składają ofertę na mieszkanie.

Maggs10021: Naprawdę? To wspaniale!

BeeElliott: No nie wiem, to podobno gdzieś na wschód od Lex.

Maggs10021: Więc?

BeeElliott: Budynek kategorii B, ale co tam.

Słyszałaś o dzieciaku Tessy?

Maggs10021: Nie, a co?

BeeElliott: Podobno źle poszły rozmowy. Lara mówiła mi, że mały wykazuje odporność na zadania domowe.

Maggs10021: A co to? Nie chce odrabiać lekcji?

BeeElliott: Terapeuta szkolny twierdzi, że to poważny problem; Hallie uważa, że nigdzie go nie przyjmą – do dupy.

Maggs10021: Muszę się wylogować – jestem dziś bardzo zmęczona, dziecko kopie jak opętane + całą noc nie zmrzyłam oka...

BeeElliott: Okej, pa!

38

Z nowym ciężarem zbierania papierów na karku poprosiłam Amber, by pobawiła się z Violet, a sama zajęłam się załatwianiem spraw (odbiór zeznań podatkowych, czekanie w Kinko's, nuda). Kiedy już wszystko załatwiłam, znalazłam się na Dziewięćdziesiątej Szóstej i zaczęłam iść Piątą Aleją na północ od parku, w Harlemie. Nogi niosły mnie do kampusu Columbii. Był piękny. Pomyślałam o Barbarze Hershey w filmie *Hannah i jej siostry*, przebiegającej między budynkami uniwersytetu z ciężką od książek torbą. Zajęcia z Tate'em uwielbiałam, ale szczerze nie znosiłam większości pozostałych, zwłaszcza tych ze specjalnymi wymaganiami, czyli nauk, które nazywałam rozrywką dla palantów. Moją specjalizację kochałam nad życie, a reszta mogła nie istnieć, lecz kiedy spacerowałam po terenie uniwersytetu, poczułam nostalgię. Brakowało mi życia studenckiego - niekoniecznie uczenia się do egzaminu, ale bycia częścią większej całości. Tęskniłam za tłumem młodych ludzi. Za społecznością. Za przynależeniem.

Zapytałam brodatego hipisa, gdzie znajduje się wydział historii sztuki, i podażyłam według jego wskazówek. Budynek okazał się kompletnie inny niż na moim uniwerku - piękniejszy i większy, bardziej w stylu Wschodniego Wybrzeża. Miał też podobne do muzealnego wnętrza pomieszczenie ze zdjęciami obrazów, które studenci musieli nauczyć się rozpoznawać w czasie egzaminów. Zajrzałam

do kilku sal przez okna w drzwiach - w jednej zobaczyłam wykładowcę z wielkim wskaźnikiem opisującego wazy Etrusków, w drugiej siwowłosa kobieta zajmowała się kwiecistym obrazem z okresu francuskiego rokoka, wreszcie innej trwało seminarium - na ścianie wisały przykłady szalonej sztuki lat osiemdziesiątych.

I wtedy przez okno sali wykładowej dostrzegłam Tate'a. Wymachiwał rękami, opisując holenderski pejzaż. Cicho otworzyłam drzwi i usiadłam na wolnym krześle z tyłu pełnego studentów audytorium.

- Tutaj mamy zakurzoną, wyciszoną topografię zwykłej, niemal szarej drogi z idącą postacią. Ale spójrzcie na niebo - pełne wigoru i siły. Postać jest pozbawiona emocji, ale popatrzcie na to drzewo - antropomorfizowane, poskręcane jak w agonii, krzyczące z głębi własnych zakotwiczonych korzeni.

Co tam drągi, nostalgia to prawdziwy narkotyk. W ciągu ostatnich miesięcy celowo wracałam do wspomnień, bo stanowiły bezpieczną przystań. Dziwne: zanim poznałam Josha, lawirowałam między związkami i samotnością, i zawsze wracałam myślami do Tate'a Hayessa. Kiedyś wyobrażałam sobie, jak by to było z nim? Co by się wydarzyło, gdybyśmy nie poprzestali na jednym pocałunku? Ale wszystko to były tylko mrzonki przeszłości, jakbym opłakiwała coś, co nigdy nie zdarzyło się w moim dwudziestojednoletnim życiu. To było niczym erotyczny sen, który kiedyś mi się przyśnił, z tym aktorem z *Hrabiego Monte Christo*, Jimem Caviezelem. W mojej wizji zdierał ze mnie ubranie i nie wpadałam na niego, kiedy kupował tylenol w Duane Reade, nie przyprowadzałam go do mojego mieszkania. Nie, ja byłam ubrana w przepiękną suknię balową jak ta partnerująca mu aktorka. Fantazja miała miejsce na niepraw-

dopodobnej płaszczyźnie: biegliśmy razem przez zamglone wrzosowiska, a potem on kładł mnie na trawie i rozwiązywał mi gorset. Nie kopiowałam i nie klejałam go, swojej fantazji, do rzeczywistości. Kopiowałam i klejałam siebie do jego kostiumowego życia. Taka właśnie była sfera moich scenariuszy.

Kiedy miałam dwadzieścia pięć lat i byłam samotna, w marzeniach o profesorze Hayesie występowała młodsza, dziewczęca ja. Wyobrażałam sobie, co by było, gdyby nie przestał mnie całować tamtego deszczowego popołudnia. Zostawaliśmy kochankami, podróżowaliśmy razem i on pokazywał mi cały świat. Byłam niedoświadczoną, uwielbiającą go uczennicą, która sprawiała, że czuł się młody i jakby nowo narodzony.

- Poproszę o następny slajd. Och. To... to jest arcydzieło. - Popatrzył na obraz jak na miłość sprzed lat, którą przypadkiem spotkał w spożywczym. Widać w nim było to nerwowe podniecenie na widok czegoś, co znał dobrze, ale czego od dawna nie oglądał. Kiedy mówił, rozpoznawałam prawie seksualne podniecenie. Przedstawiał studentom obraz Vermeera van Delft, opowiadał, jak to było, kiedy artysta unosił pędzel, by namalować perły.

- W tym obrazie Vermeera można wyczuć delikatną ciszę pokoju, kiedy ważą się losy tej panny. Surowość moralnych zasad odzwierciedlała lęk przed kulturą, w której hołubiono cnotę i wystrzegano się próżności, lecz zarazem pławiono się w przyprawach i jedwabiu. Na barkach ludzi spoczywał ciężar przywilejów oraz przymus poszukiwania równowagi w obliczu surowego rozdźwięku między życiem w luksusie a deklarowanym odrzucaniem rzeczy materialnych.

Ze zdumieniem stwierdziłam, że chociaż od tamtych czasów minęły całe wieki, dawni Holendrzy i ja mieliśmy

ze sobą coś wspólnego, bo ja też zostałam wrzucona w świat rzeczy materialnych i próbowałam płynąć pod prąd. Tylko że wokół zamiast tulipanów o zawyżonych cenach pełno było markowych wózków Bugaboo.

Profesor kontynuował. Zatraciłam się w słowach wirujących nade mną w kolorowym blasku slajdu. Nagle włączono światło i zajęcia się skończyły. Hayes poinstruował studentów co do egzaminów końcowych w przyszłym tygodniu, a oni pospiesznie ładowali swoje laptopy do toreb i wychodzili z sali przy akompaniamencie zapinania zamków błyskawicznych i szurania tenisówek. Siedziałam cicho i patrzyłam, jak zbiera notatki i przeczesuje dłońią włosy. Obsługujący rzutnik chłopak opuścił budkę wraz z zestawem slajdów.

- Profesorze Hayes... Tate - rzuciłam, kiedy ostatnia studentka zarzuciła na ramię swój plecak i wyszła.

- Hannah, jaka miła niespodzianka! Co ty tu robisz?

- Mam do ciebie prośbę.

- Cokolwiek zechcesz. Może usiądziemy gdzieś i wypijemy kawę?

Dziesięć minut później przycupnęliśmy w starej kawiarni z ciemnymi odgrodzonymi boksami i małymi stolikami. Mieszał swoje espresso, kiedy wróciłam z moim wielkim, spienionym napojem.

- A co to? - zapytał, wpatrując się w gigantyczny kubek, do którego zaczęłam wsypywać mnóstwo cukru, jakby naczynie się paliło, a cukiernica była wężem. Ze swoim słodkim kubasem wyglądałam jak siedmiolatka przy jego filiżance gorzkiego, dorosłego espresso.

- To mochaccino. *Grandisssssssimo.*

- Podejrzałam, że weźmiesz coś spienionego i wyszukanego - powiedział. - Teraz to chyba jasne - ty to czekolada. Chyba przypominam sobie małe kuleczki ze

sreberka na swoim biurku, kiedy stała tam miseczka czekoladek Hershey Kiss. Bardzo cię absorbowwała.

Ale miał, kurwa, świetną pamięć.

- Naukowcy twierdzą, że czekolada zawiera enzym, który czyni człowieka szczęśliwym - wyjaśniłam. - Zresztą od dawna o tym wiedziałam. Przeprowadziłam dokładne badania.

- A więc, moja droga, jakież to wielkie życzenie mogę spełnić?

- Ach, trochę to zwariowane, ale właśnie kupujemy - no, próbujemy kupić - mieszkanie i potrzebujemy rekomendacji.

- Załatwione. Robię to bez przerwy, żaden problem. Jejku. Byłam wniebowzięta.

- Naprawdę?

- Oczywiście, każdy musi przez to przejść. Znam procedurę. Może być najpóźniej w przyszłym tygodniu? Wpadnij przed piątkiem po moim dyżurze i opinia będzie na ciebie czekała.

- Idealnie, wielkie dzięki. Jesteś prawdziwym darem niebios.

Następnego dnia radośnie mieszałam z mlekiem płatki owsiane Maple and Brown dla Violet i śpiewałam przy tym „Płatki owsiane! Płatki owsiane! Płatki owsiane!”, kiedy zadzwonił telefon. Uśmiechałam się, widząc, jaka podeksytowana śniadaniem była moja córka, gdy w słuchawce usłyszałam ostry, podirytowany głos. Chichot zastąpiła gęsia skórka.

- Proszę z panią Allen.
- Dzień dobry, Hannah Allen przy telefonie.
- Nelly Abercrombie. Rejestratorka z przedszkola przy Piątej Alei.

- Tak, słucham! - Bicie serca.
- Nie przyszli państwo na rozmowę dziś rano.

Co? Nie odezwali się przecież! Założyłam, że przegrałam losowanie upragnionego podania. Na stronie internetowej napisane było wielkim, tłustym drukiem, że zostaniemy poinformowani na piśmie i m a m y n i e d z w o n i ć do przedszkola.

- O Boże, pani Abercrombie, nie dostaliśmy żadnej informacji, bardzo przepraszam.

- To my nie dostaliśmy żadnej informacji zwrotnej, więc...

Bum. Twierdziła, że kłamię?

- Przysięgam, jestem bardzo zorganizowaną osobą. Nigdy nie przeoczylibyśmy niczego tak...

- To dlaczego państwo nie zadzwonili?

- Cóż, na stronie internetowej jest podane, by tego nie robić. O to samo prosiła osoba, z którą rozmawiałam. Nie chciałam być nachalna.

- Nie podejrzewała pani, że coś jest nie tak, kiedy wszyscy znajomi zostali poinformowani o terminach rozmów?
- huknęła.

Wyjąkałam coś upokarzającego na temat niedawnego przyjazdu do miasta i braku znajomych, którzy też starają się dostać do przedszkola. W odpowiedzi tylko parsknęła, a potem dodała:

- Nie wiem, co mam pani powiedzieć.

W tej chwili nasze szanse oficjalnie spłynęły z wodą w toalecie.

- Czyli po wszystkim, straciliśmy okazję?

Zamilkła na chwilę, chwilę, podczas której można było urodzić czworaczki.

- No dobrze, dam państwu drugą szansę. Jutro o dziewiątej rano przeprowadzamy ostatnią turę naboru - oznajmiła. Rozkazywała, nie zapraszała. - Punktualnie o dziewiątej.

- Dobrze, będziemy. Dziękuję pani jeszcze raz, ja... - Klik. Suuuka! Miałam tak wilgotne dłonie, że telefon prawie się z nich wysliznął. Wcisnęłam szybkie wybieranie, bez tchu i na skraju hysterii, i zadzwoniłam do Josha do biura.

- Jest na zebraniu.

- To bardzo ważne, nie może podejść na minutkę?

- Przykro mi, spotyka się z klientami w sali konferencyjnej.

Wpadłam w panikę.

- Czy może mu pani przekazać, że dzwoniła żona? Jutro rano o dziewiątej musimy być w przedszkolu.

- J u t r o ? Sprawdzę plan dnia...

Moje czoło zalewał pot i czułam jeziora potu pod pachami.

- To niemożliwe, ma już spotkanie o dziewiątej trzydzieści.

- Proszę posłuchać, niech pani je odwoła. To bardzo ważne. Nagły wypadek. Niech mu pani przekaże wiadomość, bardzo proszę. - Nigdy nie byłam bardziej przekonująca, wiedziałam jednak, że muszę podjąć wyzwanie.

Spojrzałam na Violet i odetchnęłam, ale w oczach stanęły mi łzy. Spieprzyłam sprawę, przez pomyłkę wyrzucając list? Nie, do diabła, to nie w moim stylu! Może się zwyczajnie zgubił. Kurwa! Koszmar.

Tego wieczoru Josh wrócił do domu o jedenastej. Spałam już. Spróbowałam się rozbudzić i go pocałować, ale był wykończony i powiedział, że to jutrzejsze spotkanie w przedszkolu totalnie zrujnowało mu poranek.

- Kochanie, przepraszam, wiem, że to zawracanie głowy...

- W porządku, Han. To nie twoja wina. Ta baba to jakiś koszmar.



Prawdziwy koszmar miał dopiero nadejść.

Dotarliśmy do wielkich drzwi przedszkola wyposażonych w dwa detektory metalu i strzeżonych przez czterech ochroniarzy, ponieważ „wiele ważnych rodzin przysyła tu swoje dzieci”. Zupełnie jak w Carnegie, pokoje okazały się luksusowe, z gzymsami, hole wyłożone dywanami, a kuchnia do zajęć z gotowania supernowoczesna. Dziwne, ale po przedszkolu oprowadzano nie jedną parę czy dwie, ale dziesięć, więc wszyscy się przepychali, żeby wejść

do sal, wyciągali szyje i walczyli o rozmowę z panią Abercrombie, dzięki której można było zdobyć dodatkowe punkty za sprawianie wrażenia zainteresowanych. Wszyscy rodzice byli starsi od nas i wydawali się dominujący i nachalni. Kiedy oprowadzanie dobiegło końca, weszliśmy do salonu z marmurową posadzką i krytymi skórą krzesłami ustawionymi w rzędzie. Zasiedliśmy na nich do sesji pytań i odpowiedzi, która rozpoczęła się sprawdzeniem obecności.

- Państwo Horowitz? - wyczytała pani Abercrombie. Potulna kobietka i jej mąż okularnik podnieśli ręce.

- Państwo Rutherford? - Ręce podniosła para blond.

- Państwo Allen? - Podnieśliśmy ręce.

- Cóż - dyrektorka pociągnęła nosem, przyglądając się nam - jak miło, że tym razem państwo przyszli.

Poczułam się tak, jakby Thor wypuścił w moim kierunku ognistą strzałę. Moje ciało trawił kwas jej tonu, spuściłam wzrok, potem spojrzałam na opanowanego Josha. Posłał mi lekki uśmiech. **P i e p r z y ć t o p i e p r z o n e p r z e d s z k o l e !** Już zdążyłam je zniecierwić. I jeżeli ona jest dyrektorką - od co najmniej trzydziestu lat - wszystko tu pewnie okaże się podporządkowane każdemu widzimisię tej ropuchy, czyli zlot czarownic gwarantowany.

- Zaczniemy zatem - powiedziała, kiedy skończyła sprawdzać listę świętych rodziców, którzy byli tak mili, że przyszli. Mówiła o filozofii placówki (każde przedszkole uważało, że jego filozofia jest oryginalna i unikatowa; do licha, to są w końcu tylko małe dzieci!), zaangażowaniu rodziców (od opiekowania się potomstwem na wycieczkach do przewodniczenia corocznej eleganckiej imprezie mającej na celu zebranie pieniędzy na jakiś cel), a potem zapytała, czy są pytania.

Jedna kobieta podniosła rękę.

- Tak, pani w tweedzie - udzieliła jej głosu dyrektorka.

- Powiedziała pani, że dzieci kończą to przedszkole ze znajomością pisania i czytania...

- Zgadza się. - Pani Abercrombie uśmiechnęła się szeroko.

- Cóż, hm, a jeżeli w grupie jest dziecko, które... pozostaje nieco w tyle? Czy nauczyciel poświęci mu więcej czasu?

Pomyślałam, że to trochę dziwne pytanie. Równie dobrze mogłaby włożyć koszulkę z napisem: „Hej, mój dzieciak jest nieco opóźniony!”.

Ale pani Abercrombie uprzejmie skinęła głową i wyjaśniła, że to się często zdarza.

- Wiemy, jak pracować z opóźnionymi uczniami - zaczęła. - Mamy dużo rodzin z dziećmi poczętymi in vitro.

Co? Josh spojrział na mnie. Byłam w szoku. O co jej chodziło?

- Ludzie, in vitro po prostu nie jest metodą naturalną! - oznajmiła i spostrzegłam, że co najmniej dwie mamy wbijają wzrok w podłogę. - Najbardziej lepka sperma to nie ta, która w tym przypadku osiąga cel, i stąd te wszystkie dzieci nienadążające za rówieśnikami!

Au! Poczułam się tak urażona jej nieokrzesaną, politycznie niepoprawną i prawdopodobnie niezgodną z prawdą teorią, że prawie zerwałam się, żeby wyjść, ale byłam zbyt oszołomiona, by się ruszyć.

- Mamy nawet siedem par technobliźniąt w naszym przedszkolu. Siedem par! I w każdej z nich jedno dziecko jest opóźnione. Tak to działa. Jak już mówiłam, nie ta najlepsza sperma osiąga cel, ale ta wybrana przez techni-

ków laboratoryjnych! Nie ma w tym nic naturalnego, ludzie, nic naturalnego.



- Wycofujemy nasze podanie! - Wściekła wyleciałam na ulicę i ruszyłam z prędkością ponaddźwiękową.

- Uspokój się, słonko. Nie podchodź do tego tak emocjonalnie.

- Emocjonalnie? Ta suka jest opętana, Joshie, opętana. Nienawidzę tego przedszkola. Wyciągamy nasze podanie.

- Nie denerwuj się. - Chichotał, bardziej rozbawiony niż przerażony. - To wariatka, no i co z tego? Samo miejsce wywiera dobre wrażenie.

- Nie wiem, co zrobimy, Josh. Zostało tylko jedno przedszkole, Browne-Madison, a jeżeli i tam się nie uda, biedna Violet wyląduje albo w snobistycznym klubie country, albo zostanie najlepiej przysposobionym dzieckiem pod kuratelą tej suki.

- Oddychaj głęboko, moja miłości - poradził, śmiejąc się i głaszcząc mnie po głowie.

40

Gdy miałam już referencje od Tate'a Hayesa, zebrałam się na odwagę i zadzwoniłam do Maggie. Zapytałam, czy nie wybrałaby się ze mną na lunch, a ona zaproponowała spacer po parku z dziećmi. Kiedy tam dotarłam, właśnie żegnała się z Hallie - w dresie i z osobistym trenerem - która ledwie się ze mną przywitała, jednocześnie przyglądając się Violet.

- Witaj, Violet! - zagruchała przesadnie słodziutko. - Jesteś taka śliczna! Och, szkoda, że nie ma tu Julii Charlotte, ale została w przedszkolu, kurczę!

W butach Adidasa i w stroju do ćwiczeń projektu Stelli McCartney Hallie i jej trener pobiegli dalej, zostawiając mnie z Maggie. Opowiedziałam jej ze szczegółami o naszej przygodzie z nowym mieszkaniem.

- To wspaniale, Hannah! Bee mówiła, że nie mogliście znaleźć niczego mieszczącego się w waszym budżecie, czyli to wspaniałe wieści! - Fajnie, dzięki, Bee. Zaraz, a skąd ona to wszystko mogła wiedzieć? Ach.

- Tak, cóż, dobre wieści. Złe są takie, że potrzebujemy, hm, rekomendacji towarzyskich, czy czegoś takiego. Zastanawiałam się, czy miałabyś coś przeciwko temu, żeby napisać jedną dla mnie. Wiem, że to okropne, i czuję się taka skrępowana, prosząc cię o to, ale jestem... zdesperowana. Będę ci do końca życia zobowiązana.

- Ależ oczywiście! - odparła z promiennym uśmiechem. Wydawało mi się nawet, że wzruszyła ją moja proś-

ba, w końcu nie byliśmy sobie aż tak bliskie, ale z przyjemnością się zgodziła. - Napiszę coś w przyszłym tygodniu. Wiem, że te rzeczy trzeba szybko załatwić.

- Dzięki, Maggie. Jestem ci bardzo wdzięczna, naprawdę.

Siedzieliśmy chwilę w ciszy, patrząc na dzieci biegające po trawniku.

- Wiesz, Maggie - zaczęłam. - Ja... nie mam tutaj wielu przyjaciół i szczerze mówiąc, jest mi ciężko. Cóż, muszę się... przystosować. - Ni z tego, ni z owego poczułam okropną, niekontrolowaną falę łez czającą się pod powiekami. Prawie nie znałam tej dziewczyny, a to, co o niej wiedziałam, nie zachęcało do zwierzeń (głównie z powodu Bee, Hallie i Lary, jej mamzillowych przyjaciółek), ale coś w jej głosie, kiedy zostawałyśmy same, wskazywało na to, że prawdopodobnie tak naprawdę była dobrym człowiekiem. - Chodzi o to, że mój mąż pracuje od dwóch miesięcy bez przerwy i... tęsknię za nim. - Teraz łzy płynęły już strumieniem. - Tęsknię za mężem i czuję się samotna. Oczywiście żyję dla Violet, ona jest najukochańszą, najcudowniejszą córką, ale ja... ciągle jestem sama.

Wtedy zdarzyło się coś zdumiewającego, Maggie mnie objęła. Każda z jej przyjaciółek była totalną Łódmamą, która nie obejmowała nawet swoich dzieci, nie mówiąc o znajomych - od czasu do czasu może buziak w powietrzu - a to właśnie było to, czego teraz potrzebowałam.

- Posłuchaj - zaczęła. - Wiem, że czasem bywa ciężko. Wszyscy martwią się tylko sobą i swoim życiem i łatwo się zestresować, ale wy dopiero tu przyjechaliście! Nie martw się. Josh pewnie tylko musi udowodnić, ile jest wart, w końcu to nowa praca.

- Jest tak trudno. Nie mam o niczym pojęcia. Czuję się jak Marsjanka. Może byłoby inaczej, gdybym się tu urodziła.

- Wiesz, prawie wszyscy, których poznałaś, pochodzą z innych miast - powiedziała pocieszająco. - Hallie jest z Ohio. A Lara urodziła się w portugalskiej wiosce rybackiej z pięćset siedemdziesięcioma sześcioma mieszkańcami.

Nie-mo-żli-we.

- Co? Żartujesz - wyjąkałam zdumiona, wycierając twarz.

- Nie! To jest właśnie najzabawniejsze! Bee pochodzi z Manhattanu i jest jakby naszą przywódczynią. Ale Lara, Hallie? Są tak podkręcone tym miastem, że kompensują to sobie, stresując się potwornie swoimi dziećmi i bez przerwy ze wszystkimi konkurując.

- Boże, myślałam, że jestem taką wieśniarą...

- Absolutnie nie, Hannah. Jesteś ekstra! I nerwowa, ale... jesteś sobą. Te dziewczyny tak interesują się tym, czy tu pasują i nadążaniem za innymi, że tracą tożsamość.

- Jej... - westchnęłam, ocierając ostatnią łzę.

- Nie martw się - powiedziała i poklepała mnie po plecach. - I proszę: nie zmieniaj się.

- Mojej teściowej na pewno nie spodobałoby się to, co mówisz. Ona by chciała, żebym zmieniła się w Tess McGill - wyznałam. - Wydaje mi się, że byłaby znacznie szczęśliwsza, gdyby Josh poślubił kogoś takiego jak Bee.

Maggie siedziała cicho, nic mi na to nie odpowiedziała.

- Nie martw się - powtórzyła. - Ważna jest tylko twoja rodzina i to, co macie. Nie pozwól, by świat cię dołował.

Miała rację i ucieszyłam się, że z nią porozmawiałam. Kocham Leigh jak siostrę, ale trudno mi przy niej narzekać, bo już zdobyłam to, czego ona wciąż pragnie - męża i dziecko. Maggie rozumiała, pod jak wielką presją się znaj-

duję. Zdałam sobie sprawę, że chociaż żyła w samym centrum złotego kręgu, też musiała ją odczuwać.

Pożegnałyśmy się i poczułam się nieco lepiej. Na szczęście jutro miało przynieść coś pewnego - *Broadway Babies* - bo moje dni przypominały puste pole, które próbowałam jakoś zapełniać. Doszłam do punktu, kiedy kończący się papier toaletowy wywoływał radość, bo musiałam iść i kupić nową rolkę; to była konkretna sprawa do załatwienia, zadanie, dzięki któremu stawałam się użyteczna i wypełniałam pustkę. Teraz poczułam, że jestem na zakręcie. W końcu się przekonałam, że muszę się zaangażować w tujsze życie, krok po kroku, by nareszcie poczuć się jak w domu.

41

Jestem w Metropolitan Museum of Art z Tate'em Hayesem. Spacerujemy po Świątyni Dendur, wyglądając przez okna. Przez jeden z olbrzymich otworów patrzymy, jak lekki wiaterek zrywa ostatnie suche liście z prawie nagich czubków drzew.

- Jakie piękne. Nie mają prawie żadnych liści. Nie mogę uwierzyć, że jesień już się kończy - powiedziałam.

Wychylił się i oświadczył:

- Mam pomysł.

- Jaki?

- Chcesz zobaczyć magazyn? Wiesz, że wystawiają tylko dziesięć procent wszystkich eksponatów? Możemy zejść na dół i pokażę ci prawdziwe skarby.

- O Boże, to byłoby cudowne.

Podążam za nim korytarz za korytarzem przez wyłożone dywanem atria i idę marmurowymi schodami w dół do typowych niepozornych drzwi, których zwykle się nie zauważa w muzeum. Wszędzie są kamery i punkty kontrolne, ale on ma specjalną elektroniczną przepustkę, więc klikamy i schodzimy wciąż niżej i niżej, do sanktuariów muzealnego labiryntu.

Tate spogląda na kamerę i przechodzimy obok niej, jakby moja obecność była w porządku. Wybiera kod na klawiaturze przy masywnych, wzmocnionych drzwiach. Światła stają się zielone. Wchodzimy do ognioodpornej krypty, która kryje bogatą kolekcję prac wykonanych na papierze.

Długie szeregi rysunków i rycin w niewysokich, płaskich szufladach. Tate każe mi usiąść w zacisznym gabinecie w tej części magazynu. Zakłada rękawiczki, otwiera płaską szufladę i delikatnie kładzie przede mną arkusz.

To *Adam i Ewa* Durera. Linie są tak osobiste, czuję niewiarygodną bliskość z nadgarstkiem, który porusza się w przód i w tył, tworząc rysunek. Widzę każde żłobie nie igły; czuję się tak, jakbym mogła zobaczyć przebłysk myśli w każdym mikromilimetrze czerni.

Następnie Tate pokazuje mi rycinę Rembrandta *Hundred Guilder*. Dalej Lucasa van Leydena. Wiatrak. Biel papieru świeci między nacięciami drobnych linii. Nie wierzyłam, co trzymam w rękach.

- Cudowne doświadczenie. To jest zbyt piękne, by oglądać z bliska. „Nie zasłużyłam”!

Nie zrozumiał nawiązania do *Świata Wayne'a* i nagle poczułam się jak wielki głupek.

- Tak właśnie powinno się patrzeć na ryciny. Rozpowszechniano je, by stawały się znane, żeby je trzymano tak, jak ty je teraz trzymasz.

- Te linie - zachwycałam się, całkowicie pochłonięta tematem. - Czuję się bliska artyście.

- Rycie było dla niego równie naturalne jak oddychanie.

Spojrzałam na Tate'a. W jego wzroku czytałam prawdziwe poruszenie faktem, że doceniam to, co przede mną odkrył w tym tajnym skarbcu. W milczeniu patrzy na mnie, byłą uczennicę, i lekko muska moje włosy.

- Chodź. - Odwraca się i wychodzi. Przechodzą mnie dreszcze, kiedy posłusznie ruszam za nim.

Idziemy korytarzem do ogromnego pokoju ze ścianami z betonu, z wysokim sufitem. Pełno w nim metalowych ram, jak w sklepie z plakatami, ale te kryją się w stalowej

obudowie z zamkiem. Tate wyjmuję klucze i otwiera osłony, przesuwając placami po listwach, zatrzymuje się na jednej, uśmiecha się i wyjmuje ją. To Pieter de Hooch, ciche wnętrze z podłogą w szachownicę, matką i dzieckiem. Wzdycham; nie wierzę, że znalazłam się tak blisko tego dzieła. Widzę strukturę farby na drewnie.

- Och - wzdycham prawie miłośniczo, co uzmysławiam sobie po fakcie.

- Popatrz na to. - Tate wyciąga dwa obrazy Caravaggia. Po drugiej stronie pomieszczenia inna rama obejmuje stonowanego Whistlera, kolejna Roberta Henriego. Przytłaczają mnie ta chwila i otaczająca nas sztuka. Niezwykłe marzenie stało się rzeczywistością, która okazała się znacznie od niego lepsza.

- Malował dzieci w sposób, który przypomina mi ciebie.

- Dzięki. Uważasz mnie za dziecko?

Patrzy prosto na mnie, chyba nawet przeze mnie. Pomieszczenie wypełniają zimny beton, metalowe ramy i zamki. Ale uczucia i kolory w zamkniętych obudowach wrą, pulsują pod chłodnymi, stalowymi zasłonami. My też jesteśmy rozgrzani; pokój powraca teraz, w tej chwili, echem naszej przeszłości - oficjalna interakcja między nauczycielem i studentem, w kampusie, w gabinecie. Beton. Z wzorami wskazującymi kolejność i sposób przechowywania dzieł wokół nas. Ale pod spodem, przynajmniej dla mnie, pod dżinsami i golfem studentki, przez plecak z książkami pulsują żar i kolor: portrety intymności, martwe natury rozbijałego, niespokojnego oceanu żądry.

- Nie - odpowiada cierpliwie, jakbym naprawdę była dzieckiem. - Nie uważam. Ale masz po dziecięcemu błyszczące oczy.

Wyciąga ku mnie rękę, przeczesał palcami moje włosy i przyciąga mnie do siebie zdecydowanym ruchem. Dłonią obejmuje twarz, trzymając moją głowę, jakby była cennym przedmiotem, i całuje mnie elektryzująco, pocałunek otula nas jak wtedy w gabinecie, dawno temu. Przyciska swoje wargi do moich, są słodkie i gorące niczym jabłecznik. Jego ręce wędrują w dół, dotyka moich ramion i pleców, ściskając i całując mocniej. Obejmuję go, potem wplątam palce we włosy, dotykam szyi. Nie mogę złapać tchu, jakbym znalazła się pod wodą. Pocałunek jest intensywniejszy i dłuższy niż ten w jego gabinecie, przekraczamy przeszłość i wkraczamy na nieznaną, straszne terytorium. Zanurzam się w nim, wysysam z niego pożądanie jak powietrze, którego potrzebuję, by oddychać, schodzę każdym mięśniem w podwodny zamazany obraz i teraz przez jego ciepłe usta moje płuca się wypełniają. Kładę dłoń na jego karku i czuję skórę pleców tuż pod linią włosów. Podnosi mnie z zimnej, szarej podłogi w swoich objęciach, a pocałunek staje się jeszcze bardziej gorączkowy i desperacki.

Zdejmuje okulary i chce je położyć na biurku, ale spadają na podłogę. Wraca do mnie z uśmiechem i całuje mnie tak mocno, że poddaje mu się całe moje ciało. Muszę go mieć. Jego dłonie wędrują najpierw po ubranych w koszulkę piersiach, potem wdzierają się pod nią. Po raz pierwszy gwałtownie łapie powietrze, potem prowadzi mnie do miejsca, gdzie była ostatnia w rzędzie, teraz wyciągnięta rama. Jesteśmy ukryci przez wzrokiem potencjalnych ciekawskich, schowani w rogu, a jego ręce wędrują po mojej klatce piersiowej, a potem w dół, na uda. Podciąga moją koszulkę i podnosi mnie na cementową półkę na końcu szafy. Półka okazuje się zimna, ale i zamrażarka nie ostudziłaby żaru mojego ciała ani o stopień. Twarz przy twarzy. Całuję go, moje ręce na jego plecach, chwytam go, jakbym

chciała się upewnić, że jest prawdziwy. Jego ręka wędruje w dół i rozrywa mi majtki. Prawie krzyczę z zaskoczenia i przyjemności, a on kładzie mi dłoń na ustach i wchodzi we mnie tak gwałtownie, że zamykam oczy przy każdym ruchu. Odchylam głowę. Całuje moją szyję, powstrzymuję jęk, kiedy zakrywa mi usta gwałtownie i zarazem opiekuńczo. Wśród nas są obrazy, w niebo strzelają włoskie cherubiny, zapowiadają nas trąbki, struny lutni na każdej z hiszpańskich martwych natur wibrują wraz ze mną, a każda scena piknikowego koncertu z epoki rokoko rezonuje z naszymi ruchami. Uczestnicy sceny rodzajowej w stylu Falstaffa wiwatują, lśniące liście pejzaży drżą na naszą cześć, poruszane naszymi oddechami. Nieśmiałe uśmiechy namalowanych panien są teraz przeznaczone dla mnie, on napiera na mnie i przyciska do ściany, aż wstrzymuję powietrze na kilka desperackich, pełnych napięcia chwil.

- Och, Hannah!

- Mamusiu? MAMUSIUUUUUUUUUU!

Co?

- MAMO!

Czy Violet też jest w Metropolitan? Zdezorientowana, czuję, że znalazłam się na dnie oceanu, a blask nieba wysoko w górze to głos Violet, przywołujący mnie z bezdechu do powierzchni rzeczywistości, do życia. Rzucam się jak wyjęta z wody ryba, skrzela pulsują, z podmorskich toni w ostre powietrze świadomości.

Budzę się. I wychodzę z łóżka. I idę po swoją córkę.

42

- To normalne.

- Nie, nie jest normalne, Leigh. Jestem mężatką! - odparłam, kręcąc głową; było popołudnie, Violet bawiła się klockami. - Kocham Josha. Nie fantazjuję o innych ludziach.

- To nie jesteś normalna! - wykrzyknęła. - Fantazjowanie jest zdrowe, Hannah! W porządku, zwyczajnie czujesz się winna, bo chodzi o kogoś, kogo znasz, a nie o *Orlanda* Blooma, jak w przypadku każdej innej kobiety.

- Chyba tak.

- Pamiętasz, jak w szkole raz miałaś ten szalony erotyczny sen o tym swoim jajogłowym partnerze w laboratorium, kiedy razem zmiotliście wszystkie próbówki na ziemię i pieprzyliście się na stole obok palników Bunsena?

- Dzięki, że o tym wspomniałaś.

- Nie o to chodzi, chcę ci tylko wytłumaczyć, że to nie ma znaczenia! Przecież nie pałałaś sekretną żądzą do tego palanta! Przestań analizować. To tylko sen! To nie żadna zdrada.

- Od dawna tak smacznie nie spałam. Przez pierwsze dziesięć minut po przebudzeniu byłam w szoku. Zwykle nawet nie pamiętam snów. Ale tym razem dopiero kiedy otworzyłam lodówkę, żeby przygotować butelkę dla Violet, zimne powietrze uzmysłowiło mi, że to się nie stało naprawdę.

- To nic złego, Hannah! Po fantazji ze świrniętym naukowcem chciałaś się wyparzyć w gorącej wodzie. Ten przynajmniej jest seksowny. Sama chciałabym mieć takie sny.

- Jezu, nie mogę nawet o tym myśleć. Dobra, widzimy się jutro, muszę iść.

Odłożyłam telefon i usiadłam na podłodze obok Violet. Nasza wieża rosła coraz wyżej, a mała stawała na palcach, by dołożyć kolejne klocki; pomyślałam, że budowla zaraz się przewróci, a jej upadek dorówna mojemu. Czułam się niestabilnie, zupełnie jak ta budowla. I właśnie w chwili, kiedy wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić, wieża runęła na podłogę.

43

Wciąż dziwnie odurzona niepokojącym snem dla dorosłych zabrałam Violet do naszego przyszłego mieszkania. Chciałam mu się dobrze przyjrzeć i dokonać kilku pomiarów. Troy zawiadomił nas, że w tym tygodniu zarząd zwołuje posiedzenie, a potem robi przerwę na dwa miesiące, więc członkowie zgodzili się spotkać z nami i przeanalizować nasze finansowe zestawienia, mimo że nie dołączyliśmy jeszcze referencji. Ostateczna decyzja miała zostać podjęta po skompletowaniu wszystkich wymaganych dokumentów. Z ulgą przyjęłam ten krok, przybliżający nas do przekręcenia klucza w drzwiach własnego domu, choć ta chwila wciąż wydawała się odległa. Mimo to czułam się związana z budynkiem. Portier Tony był przeziębiony, a miejsce ciepłe i wygodne. W holu spotkałam nadzorcę, powiedział, że Tony właśnie wyszedł, ale udało mu się znaleźć klucz w szafce, a ponieważ już wpłaciliśmy dziesięcioprocentową zaliczkę i rodzina zajmująca lokal wprowadziła się tydzień wcześniej, stwierdziłam, że mam prawo pochodzić po pokojach, wyobrazić sobie w nich swoją rodzinę i życie po opuszczeniu tragicznego mieszkania służbowego, które najbardziej ze wszystkiego przypominało białe pudło. Nadzorca pogłaskał Violet po głowie i powiedział:

- To twój nowy domek.

Modliłam się, żeby to była prawda - żebyśmy przeżyli piękło spotkania z zarządem.

Kiedy weszłyśmy na górę, zmierzyłam się z kółkiem, na którym było aż dziesięć kluczy. Otwierając drzwi, usłyszałam śmiech i ze zdziwieniem w salonie ujrzałam Troya. Pokazywał mieszkanie innym? Zamurowało mnie. A potem zobaczyłam jego „klientkę” - Bee.

- Och, cześć... - rzuciłam chłodno. Co oni tu, do diabła, robili? Wiedziałam, że ona nie stanowiła dla nas konkurencji, bo ze swojego pałacu wyprowadziłaby się tylko do czegoś większego, a to miejsce było dwa razy mniejsze. Violet wyskoczyła z wózka i obiegła ich w kółko, podczas gdy ja stałam bez ruchu.

- Cześć, Hannah - powiedział nerwowo Troy z akcentem brytyjskich wyższych sfer. - Pokazuję Bee wasze mieszkanie, miałem klucz...

- Aha.

- Jest bardzo ładne - pochwaliła Bee. - Nie spodziewałam się, że okaże się takie przestronne. To przecież taki nijaki budynek.

Nie wiedziałam dokładnie, co to mogło oznaczać, ale nie zabrzmiało dobrze.

- Chciałam tylko coś zmierzyć... - oświadczyłam, mignęłam ich i poszłam do sypialni.

- W porządku, Hannah, zadzwonię za kilka dni, jeszcze przed zebraniem zarządu - rzucił Troy, a potem oboje wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Jejku. Nie podobało mi się, że mój pośrednik potajemnie wprowadza tu Bee. Nie było między nami zobowiązań typu prawnik-klient lub lekarz-pacjent, ale poczułam, że to dziwne i nie w porządku. Pewnie błagała go, czy może obejrzeć chatę - wiedziałam, że miała obsesję na punkcie domów innych ludzi, uwielbiała komentować cudze mieszkania, gusty, konta bankowe etc. Hmm.



Troy nie odezwał się przed spotkaniem zarządu. Wydzwaniałiśmy do niego bez skutku i zaczęłam w końcu wariować, dosłownie błagałam go w wiadomościach na poczcie głosowej, aby dał nam jakieś ważne wskazówki. Nadal miałam mu za złe, że pokazał Bee nasze mieszkanie; im więcej o tym myślałam, tym dziwniejsze mi się to wydawało i byłam wściekła, że nawet nie próbował się ze mną skontaktować.

Ostrzegłam Josha, żeby nie spóźnił się na rozmowę z zarządem. Na szczęście dotarł punktualnie, pocałował mnie w policzek i wmaszerowaliśmy do holu dwadzieścia sekund przed czasem.

Maggie mówiła, że taka rozmowa to w zasadzie powitalne koktajl party. Ale nie tym razem.

Weszliśmy do środka i ujrzelśmy pięciu facetów w odprasowanych garniturach. Wszyscy byli bankierami. Przepraszam, jeden był prawnikiem specjalizującym się w nieruchomościach: gospodarz i przewodniczący zarządu, który praktycznie kazał swojej żonie się wynieść, żeby mógł urządzić spotkanie w ich salonie, całym w bieli. Dosłownie w bieli. Pomyślałam, że to hotel Iana Schragera lub szpital psychiatryczny. Włożyłam moje świetne skórzane kozaki do kolan (Leigh nazywała je butami „Pieprzę cię!”), bo były takie odjechane. W dodatku dzięki nim zyskiwałam całe dziesięć centymetrów i czułam się bardzo pewna siebie oraz pozbierana w porównaniu z moim codziennym dresowo-drożdżówkowym wizerunkiem. Nie tak szybko, Hannah.

- Przepraszam, pani Allen - powiedział przyglądający mi się gospodarz, Wynn Sutherland. - Czy mogłaby pani zdjąć kozaki? W tym domu nie chodzi się w butach.

Wzięłam głęboki oddech i pozbyłam się wściekłości z wyдыхanym powietrzem. Josh najwyraźniej wyczuł moje emocje i się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że nie ma pani oczka w pończosze - zażartował inny garnitur. Kiedy wycodził słowa przez swój szczękoscisk, coś sobie przypomniałam. Tak naprawdę to miałam pieprzone prawie trzycentymetrowe oczko. Dokładnie na goleni. Trzymałam kilka par podartych rajstop, które nosiłam pod spodniami i z tymi kozakami. Oczywiście przez myśl mi nie przeszło, że zostanę poproszona o zdjęcie butów, w końcu tu nie Osaka!

Spokojnie zdjęłam buty, demonstrując oczko w stylu punk, i cicho usiadłam. Josh się uśmiechał; myślałam, że się wścieknie. Rozszerzyłam nozdrza.

Pięciu członków zarządu rozsiadło się na białej kanapie i dwóch fotelach po jej bokach. Nam zaproponowano ławkę. Tak, powodującą hemoroidy, nowoczesną, twardą, drewnianą ławkę. Było mi wszystko jedno, który modny projektant przyłożył do niej rękę - okazała się cholernie twarda.

- No więc - zaczął Wynn, popijając wodę sodową (nam nic nie zaproponowano). - Hannah, jest pani tylko mamą, tak?

Tylko mamą. Słowa śmierci.

- Cóż, mam wyksz...

- Aha. A pan, Josh, pracuje dla Jupiter Capital?

Przez następne czterdzieści pięć minut Josh mówił, a ja przytakiwałam jak dobra żona. I starałam się zakryć ciało prześwitujące przez podarte rajstopy. Czułam się niewidzialna. Pieprzyć ich. Czyja w ogóle chciałam wprowadzić się do tego samego budynku co oni? Kiedy wcześniej tu przychodziłam, nikogo nie widziałam. Pewnie, mimo że mieszkają jeden nad drugim, wcale nie spędzają razem czasu. Może nawet nie spotykają się w windzie.

Nareszcie, kiedy rozmowa zmierzała ku końcowi, jeden z nich zapytał o Violet. Na jakie zajęcia chodzi? Gdy Josh wspomniał Milford Prescott, cóż, garnitur się ożywił.

- Nasz mały Wynn Czwarty - mówimy na niego Quattro - uwielbiał tę szkołę. Świetne miejsce. - Mrugnął do mnie. Czy to oznaczało, że zostaliśmy przyjęci? Zaczynałam rozumieć, że ci wszyscy ludzie używali szkół jako pewnego rodzaju klubów, które przyciągały ludzi tego samego typu.

Już na ulicy Josh wkurzył mnie, naśmiewając się z moich rajstop.

- Przepraszam, ale tu nie pieprzona Japonia! - poskarżyłam się, a on chichotał i starał się mnie pocieszyć.

- Kotku, to nieważne.

- A właśnie że ważne! W końcu studiowałam historię sztuki. Zdejmowanie butów jest oznaką unізoności. Zostałam upokorzona!

- Proszę cię, oszczędź mi tej ikonografii - drażnił się, obejmując mnie ramieniem.

- Mówię poważnie! Nie śmieć się! W tym wszystkim chodziło tylko o ciebie. Jakbym była z celofanu. Słyszałeś go? „Tylko” mama!

- Nie bierz sobie tego do serca. Potraktuj to jako część gry o to mieszkanie.

- Tutaj o wszystko się gra, prawda?

...i to by było tyle w kwestii poufności zarządu...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliot: Podobno napisałaś list do zarządu dla Hannah i Josha Allenów?

Maggs10021: Tak!

BeeElliot: Jak do tego doszło? Boże, co za tupet, że cię poprosiła.

Maggs10021: Nie miałam nic przeciwko temu, żaden problem...

BeeElliot: Ten dom jest ładny, ale żadna rewelacja.

Maggs10021: Mnie się podoba! Clara Peacock mieszkała tam, zanim przeprowadzili się do Greenwich.

BeeElliot: Nieważne. Biedny Josh. Kupuje jej to mieszkanie i nie ma pojęcia, że ona go zdradza.

Maggs10021: Jesteś pewna? Nie mogę sobie tego wyobrazić.

BeeElliot: Powiem Parkowi, że widziałam ją z tym facetem. Jeszcze mu nie mówiłam. Ale im częściej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że Josh powinien wiedzieć.

Maggs10021: Bee, nie rób tego - to nie twoja sprawa.

BeeElliot: Josh jest naszym przyjacielem. A co będzie, jak ona go czymś zarazi? Parker musi o tym wiedzieć, to w końcu jego najlepszy kumpel.

I znowu w najmniej odpowiednim momencie wpadła Lila, żeby zobaczyć się z Violet i podarować jej bardzo niepraktyczną jedwabną sukienkę.

- Dzień dobry - rzuciła, mijając mnie tanecznym krokiem i oceniając pokój, który oczywiście jak zwykle tak wcześnie rano nie różnił się wiele od Afganistanu.

- Lila! - krzyknęła Violet i podbiegła do babki. Jej paluszki wciąż kleiły się od płatków owsianych, więc uścisk sprawił, że Lila prawie się odsunęła. Nie zniosłaby przecież, gdyby jej lniany garnitur przypadkiem został upakowany zabłakanymi płatkami.

- Co ci podać do picia? - zapytałam.

- Chętnie wypiłabym nieco san pellegrino - odparła.

Hm... nie miałam pellegrino. A może... kranówki? Albo... kranówki?

- Och, właśnie nam się skończyło - skłamałam. - Może wody niegazowanej? Albo soku? Mamy jabłkowy i pomarańczowy...

- Soku? Boże, nie, dziękuję. To kopalnia cukru! Proszę, nie mów, że poisz Violet tą ohydą. Pełno w nim syropu kukurydzianego z fruktozą. Bee mówiła, że choć w Carnegie serwują dzieciom sok jabłkowy w trakcie posiłku, na jej prośbę nauczycielka daje Westowi wodę z lodem. O wiele zdrowsza.

W żyłach zawrzała mi krew.

- Wiesz, Lila - powiedziałam, hamując się jak tylko potrafiłam. - Odrobina soku jeszcze nikogo nie zabiła. Jako dziecko piłam sok litrami i nic mi nie jest.

Uśmiechnęła się pogardliwie, bez słowa. W tej chwili to do mnie dotarło. Ona uważała, że byłam wielką, tłustą, żłopiącą sok krową, niegodną Josha i tej dzielnicy.

- A zmieniając temat - rzuciła nagle i niespodziewanie. - Wczoraj widziałam się z Bee i jej matką, Bee wspomniała, że teraz koniecznie trzeba pisać list pierwszego wyboru.

- Masz na myśli przedszkola?

- Tak. Musisz napisać do Carnegie i dać im znać bezwzględnie, że bez wątpienia na nich najbardziej ci zależy.

- Ale... nie wiem, czy to jest...

- Posłuchaj, H a n n a h - wymówiła moje imię, jakby oznaczało mniej więcej tyle samo, co K-U-P-A. - Nie możesz marnować czasu. Mówimy o edukacji Violet i nie wolno tego procesu traktować lekko.

- Nie traktuję go lekko! Nie jestem tylko przekonana, czy właśnie Carnegie zapewni Violet to, czego dla niej chcemy. Porozmawiam o tym z Joshem, kiedy wróci.

Wściekła się.

- To kobiety zwyczajowo zajmują się takimi rzeczami. Masz napisać list na papeterii, którą ci z przyjemnością zamówię, bo przypominam sobie, że twoje składane karty z monogramem są zrobione z czegoś dziwnego. To musi być wytłaczana, ładna karta. Zajmę się tym.

Nie mogłam w to uwierzyć. Ta suka wkracza do mojego domu, mówi mi, że używam gównianego papieru klasy D, mam zły gust, wagę ciała i maniery.

- Lila - byłam o krok od walnięcia jej w łeb - przykro mi, ale Violet i ja musimy wyjść, mamy zajęcia. Wrócimy do tego tematu później.

- Tak, na pewno - powiedziała, wstając. - Niech Josh znajdzie wolną chwilę w weekend, powinniśmy usiąść i porozmawiać.

45

Następny dzień był szalony: zajęcia w centrum w Milford Prescott, pralnia oraz zakupy spożywcze - Violet uwielbiała chodzić do Food Emporium, gdzie mieli małe wózki na zakupy z flagami, na których napisane było „Trenujący klient”. Cieszyłam się, bo ją to ekscytowało, a martwiłam się, bo wyjście stamtąd zabrało nam dwie godziny, gdyż mała latała alejkami i jak mały walec prawie taranowała starsze panie oraz nianie z dwustronicowymi listami sprawunków. Wróciliśmy do domu i zaczęłam rozpakowywać zakupy, zastanawiając się, co ugotować. Josh nie odzywał się całe popołudnie. Wcześniej zostawiłam mu dwie wiadomości i przygotowywałam dobry obiad - przynajmniej najlepszy, jaki potrafiłam. Właśnie dzwoniłam na jego komórkę, kiedy usłyszałam, jak wchodzi do domu. Była ósma, czyli jak na niego bardzo wcześnie. Bardzo mnie to uradowało.

- To ty, Josh? - zawołałam. - Prawdziwy cud!

Podbiegłam do niego. Twarz miał mokrą od deszczu.

- Cześć, słońce! Jak fajnie, że już jesteś! - powiedziałam i spróbowałam go objąć. Ale kiedy się nachylałam w jego stronę, zauważyłam poważny i chłodny wyraz jego twarzy. Powstrzymał mnie wyciągniętą ręką.

- Nie.

- Co jest?

Odetchnął gwałtownie. Był wściekły. Zaczęłam się martwić, że coś złego wydarzyło się w pracy. Ale nie miałam pojęcia, na co się zanosilo.

- Hannah - zaczął. - Wiem o tobie i Hayesie.

- Nie rozumiem?

- Wiem, że się... widujecie.

Co? Jego słowa zmroziły mi krew.

- To niedorzeczne, my nie...

- Nie mów tak. Hannah, ja wiem. Nie rozumiesz?

Wiem na pewno.

- Mylisz się! Kochanie, przysięgam, że go nie tknęłam...

- Najpierw chodźcie do muzeów, potem jesteście tak blisko, że on nagle pisze dla ciebie list polecający do zarządu, a potem dowiaduję się, że spotykacie się nie tylko w muzeach, całujecie się...

- Całujemy się? Josh, nieprawda! Tak, spędziliśmy razem trochę czasu, ale to było niewinne - co miałam robić? Przenoszę się tutaj dla ciebie, a ty pracujesz do północy! Cały czas jestem sama.

- Czyli pieprzysz swojego starego profesorka? - Wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać.

- Nieprawda! - Łzy płynęły mi po twarzy, bo czułam się potwornie winna z powodu swojego snu.

- Byłaś moim najlepszym przyjacielem - pokręcił głową. - Tworzyliśmy drużynę, ale w ciągu kilku ostatnich miesięcy ty... odsunęłaś się ode mnie. Nie zaprzeczaj, Hannah. Codziennie mniej ze sobą rozmawiamy...

- Bo ty wiecznie masz spotkania! Nigdy nie mogę cię złapać przez telefon!

- ...a teraz dowiaduję się, że spędzasz czas z facetem, którego kiedyś ubóstwiałaś. Postaw się w mojej sytuacji, Hannah! Chciałabyś, żebym ja się tak zachowywała? Podczas gdy ty pracowałabyś szesnaście godzin na dobę?

Stałam, drżąc, a mój świat rozpadał się na kawałki. Udało mi się już przeżyć traumę na wielu poziomach, ale

Josh zawsze był moją opoką, moją skałą i nie mogłam znieść tego, że traciłam to oparcie.

- Jeszcze dziś lecę do Szwajcarii, idę się spakować. Musieli kogoś wysłać i sam się zgłosiłem, bo w tej chwili nawet patrzeć na ciebie nie mogę.

- Co? Jeszcze dziś?

- Mam samolot o jedenastej pięćdziesiąt pięć.

- Nie możesz teraz wyjechać! Musimy o tym porozmawiać. Kochanie, jesteś całym moim życiem! Przysięgam, między mną a Tate'em nic nigdy nie zaszło!

- Aha, to teraz to jest Tate. Nie mogę teraz z tobą rozmawiać, padam z nóg.

- Kochanie - wciąż płacząc, wyciągnęłam do niego rękę.

- Wracam za dziesięć dni i wtedy o tym porozmawiamy.

Ryczałam jak bóbr i chodziłam za nim, błagając, by nie wyjeżdżał. Mój mąż zasunął zamki toreb podróżnych, zapiął płaszcz, pocałował Violet i ruszył do wyjścia.

- Josh, kocham cię - zdołałam tylko wystękać, zmęczona płaczem, wciąż szlochająca, z worami pod oczami.

Wypuścił powietrze z płuc, miał smutny, zmęczony wyraz twarzy.

- Ja ciebie też kocham - powiedział.

Zanim zamknęły się drzwi windy, spojrzeliśmy sobie w oczy, ale były to spojrzenia pełne żalu, strachu i bez nadziei. Wątpiłam, czy mi wierzył. Wątpiłam w siebie jako dobrą żonę. Wątpiłam, czy potrafię żyć bez Josha.

46

Następnego dnia z trudem podniosłam się z łóżka, kiedy Violet się obudziła, i po śniadaniu powąłęsałam się chwiejnym krokiem po Lexington Avenue z surrealistycznym poczuciem, że oglądam wolno zamykające się drzwi. Oczywiście wpadasz w panikę dopiero wtedy, kiedy się zatrzasną. Przeszłam na drugą stronę ulicy zahipnotyzowana migającym, pomarańczowym światłem i znakiem NIE PRZECHODZIĆ. Syreny, piszczące hamulce tak-sówek i przechodnie rozmywali się, jakbym wcisnęła wielki guzik wyciszający cały świat wokół mnie. Słyszałam tylko swój rozszalały puls i ciężki oddech. Kiedy twierdziłam, że nie pamiętam swojego życia, zanim spotkałam Josha, nie przesadzałam.

Josh i ja poznaliśmy się na imprezie, kiedy bańka mydlana niezliczonych spółek internetowych jeszcze nie pękła i ludzie ciągle urządzali zwariowane, przesadzone przyjęcia w całym San Francisco. Kapele grywały do białego rana, woda lała się strumieniami, wszyscy nosili koszulki i kapelusze z adresem internetowym własnej firmy. Tak naprawdę była to jedna wielka parada świrów, imprezujących, żeby nadrobić czas stracony na czytanie książek. Wariowali i łudzili się, że pierwsze oferty publiczne są tuż-tuż, że maniacy komputerowi otrzymają w spadku cały świat, z wyjątkiem złotych kajdanek giełdy.

Byłam przekonana, że gdyby ktoś kaszlnął w tym pokoju pełnym polarów, but marki Teva wypadłby mu z gard-

ła. Siedziałam na kanapie w stylu lat sześćdziesiątych w hotelu Marina i patrzyłam na tłum w białych czapeczkach z daszkiem i ciuchach w kolorze khaki.

Pamiętam, że utknęłam przy dziewczynie, która przedstawiła się jako projektantka szwajcarskich scyzoryków. „Dziwne - pomyślałam - przecież wszystkie są takie same!”. Zastanawiałam się, czy ona decyduje o tym, że w danym roku dodadzą nóż do otwierania listów lub zmieniają kolor z czerwonego na niebieski? Jakby mówiła: „projektuję buty marki Birkenstock” albo „nożyczki”. Co tu jest do projektowania? Nawijała o różnych wielkościach, kiedy zauważyłam wchodzącego Josha. Jego uśmiech szerokością dorównywał długości mostu Golden Gate, ale bez napisu „Nie skakać”.

Kilka razy nawiązaliśmy krótki kontakt wzrokowy, ale nigdy nie miałabym odwagi tak po prostu do niego podejść, zwłaszcza że rozmawiał z dwiema rozchichotanymi blondynkami, które okazały się mistrzyniami w śmianiu się z jednoczesnym odrzucaniem głowy do tyłu i odsuwaniem włosów z czoła. Z odległości prawie pięciu metrów potrafiłam zauważyć, że jego charyzma i urok były zaraźliwe.

Jedzenie na imprezie okazało się paskudne (oczywiście podano znacznie więcej koktajli niż przekąsek), więc podjadałam rodzynek z pudełka, które miałam zawsze przy sobie, jak sześciolatka. Do dziś przypisuję zasługę tym właśnie rodzynekom, bo zanim się zorientowałam, Josh przeszedł przez pokój i przedstawił się mnie oraz dziewczynie od scyzoryków.

- Wielbicielka rodzynek - rzucił z uśmiechem. - Moja bratnia dusza.

- Tak, jestem chyba uzależniona - odparłam na wpół przerażona tym, jak drętwo to zabrzmiało, choć wniebowzięta, że też uwielbiał winogrona, to znaczy rodzynek.

ki, nie wino. - Zawsze mam ze sobą te czerwone pudełeczka.

- Sun-Maid są super - powiedział z zainteresowaniem.

- Ale czy jadłaś kiedyś rodzyнки Pavich?

- Jakie? Nie. Coto?

Dziewczyna od scyzoryków najwyraźniej stwierdziła, że rozmowa o rodzyńkach jest niefajna, bo wstała i poszła zanudzać kogoś innego.

- Żartujesz. Uwielbiasz rodzyнки i nie próbowałaś Pavich? Wariatka. Biją na głowę te w czerwonych pudełeczkach.

- Uwielbiam Sun-Maid. Wierzę w lojalność wobec jednej firmy.

Po godzinie rozmowy ogarnęło mnie to rozgorączkowane podniecenie, jakie czujesz, kiedy uświadamiasz sobie, że, jejku, rozmawiasz z tym gościem już dłużej niż chwilę. Wibrowało między nami sporo NS (Napięcia Seksualnego) i byłam jednocześnie zdenerwowana i napalona; pamiętam nawet, jak moja przyjaciółka Eliza i jej chłopak dyskretnie pokazali mi uniesione kciuki za puszystą głowę Josha. Ale, cholera, zawsze byłam najgorszą flirciarą na ziemi. Nie umiem ze śmiechem odrzucać głowy do tyłu, spuszczać powiek w stylu „chodź do mnie” czy powalająco odgarniać włosów. Żadnych gier, żadnych gównianych zasad, żadnej strategii. Właśnie dlatego często pieprzyłam sprawę, otwierałam się jak brama i straszyłam facetów swoimi czułymi sposobami postępowania. A ponieważ dostrzegłam Josha, kiedy rozmawiał z tamtymi lalkami, opadły mnie wizje jego z królowymi konkursu na hawajską piękność - ze złotą opalenizną i platynowymi, satynowymi lokami do tyłka. No i stwierdziłam, że nigdy się mną nie zainteresuje.

Gdy impreza miała się ku końcowi, poprosił o mój adres e-mailowy, a kiedy mu powiedziałam, że studiuje na Ber-

keley, odparł, że często tam bywa i może wobec tego umówimy się na kawę.

Tate Hayes uczył już wtedy w Nowym Jorku i od jego wyjazdu nie poznałam nikogo równie interesującego. Aż spotkałam Josha. W poniedziałek, po zajęciach, w trakcie których ciągle o nim myślałam, zajrzałam do swojej skrzynki pocztowej i w środku znalazłam puszkę rodzynek Pavich. Dołączona była krótka notatka: „Czas spróbować prawdziwego rarytasu, Króla Rodzynek”. Odwróciłam karteczkę, która okazała się wizytówką Josha ze wszystkimi jego namiarami. Zdenerwowana i podekscytowana otworzyłam puszkę. To dzięki smakowi naturalnych słodczy poczułam, że mogę się zadurzyć w tym chłopaku, i w myślach modliłam się, by to była zapowiedź nadchodzących cudowności. Wróciłam do domu i włączyłam komputer, żeby do niego napisać.

*Królu Rodzynek,
Wasza szlachetna, ususzona, winogronowa wysokość,
pokornie wycofuję swoje stwierdzenie wychwalające
zalety gównianych Sun-Maid. Niech żyje okrągła per-
fekcja Pavich.
Wasza lojalna poddana, na zawsze wdzięczna,
Hannah Greene.*

Kliknęłam „wyślij” i resztę poranka spędziłam, pracując, aż poczułam burczenie w brzuchu. Kiedy sięgałam do puszki po kolejną garść rodzynek, mój komputer odezwał się znanym, radosnym „ping”!

*Jego wysokość pyta, czy jesteś Pani głodna i chętna zjeść
obiad.*

Odpisałam „absosmurfnie”, podejrzewając, że jako dziecko lat osiemdziesiątych zrozumie aluzję, i czekałam na odpowiedź, niecierpliwie wierząc się na krześle.

Spotkaliśmy się dwie godziny później, ale zdążyliśmy się ledwie przywitać na rogu ulicy, kiedy gruchnął grzmot, zobaczyłam błyskawicę niby wyjętą z kreskówki i lunął gwałtowny deszcz. Staliśmy blisko delikatesów spożywczych, więc krzycząc, rzuciliśmy się w stronę zielono-niebieskiego neonu. Dobiegliśmy przemoczeni do suchej nitki i dyszący jak Carl Lewis po sprincie.

- Cholera jasna - zaklął mokry Josh. - Czuję się jak Dan Akroyd w *Nieoczekiwanej zmianie miejsc* w mokrym kostiumie Świętego Mikołaja!

Zastanowiłam się. Lubi filmy.

- Ja myślałam o Johnie Cusacku w *Pewnej sprawie*, kiedy stoją zagubieni na poboczu drogi - powiedziałam.

- Dobrze. - Uśmiechnął się. Mokre włosy kleiły mu się do twarzy, a oczy wyglądały bardziej zielono przy zarumienionych, mokrych od deszczu policzkach.

Tak zmarzłam, że chwyciłam styropianowy kubek i podeszłam do automatu z gorącą czekoladą.

- O, tak! - rzucił Josh. - Czekolada z automatu to jest to!

- Wiem, to nektar bogów. - Ten facet najwyraźniej miał takie same kubki smakowe jak ja.

- Na Stanfordzie razem z przyjaciółmi byliśmy od tego gówna tak uzależnieni, że zaprzyjaźniliśmy się z gościem z kuchni i latem przesmuglował nam automat do domu.

- Boże, moje marzenie! Tyle tylko, że nabrałabym gabarytów Roseanne Barr.

- Nie masz się czym martwić - odparł, patrząc na mnie.

Spuściłam wzrok, zawstydzona i oficjalnie zadurzona. Poszliśmy do uroczej kawiarni, usiedliśmy i rozmawialiśmy przez trzy godziny; o filmach (uwielbiałam to samo co on, od Woody'ego Allena po *Chłopaków z ferajny*), zwierzakach z dzieciństwa (ja: złota rybka Billy Ocean, on: golden retriever Topaz), pracy, starych miłościach, rodzinach, przyjaciółach, Nowym Jorku, nartach i potrawach różnych kultur (im pikantniejsze, tym lepiej). Odwiózł mnie do domu i pocałował w policzek, zanim się pożegnaliśmy. Pobiegłam na górę, sprawdziłam pocztę i zwinęłam się w kłębek w łóżku z katalogiem Pottery Barn. Wybierałam właśnie ręczniki z monogramami, kiedy za kwadrans dwunasta odezwał się telefon. Przestraszył mnie, bo było już zbyt późno, by ktokolwiek dzwonił.

- Przepraszam, że tak późno - usłyszałam głos Josha.
- Chciałem tylko... upewnić się, że dotarłaś bezpiecznie na górę. Żadnych potworów w szafie, mam nadzieję.

- Och, jesteś uroczy. Nie, jak do tej pory żadnych potworów. - Czułam, że się czerwienię.

- To dobrze. Więc... co robisz? - zapytał.

- Nic takiego - skłamałam. Zdążyłam już przemyśleć kwestię, jaki będzie mój monogram na ręcznikach, kiedy wyjdę za niego. - A ty?

- Kanał jedenasty, *Gwiazdne wojny*. — Najwyraźniej znalazł swoją nocną, filmową przyjemność.

- Nigdy nie przepadałam.

- Słucham? Na pewno jesteś Amerykanką? Ty grzesz-nico, kto nie przepada za *Gwiazdnymi wojnami*? Powinno się ciebie aresztować.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nienawidzę kosmosu. To jedna z moich zasad, żadnego kosmosu.

- Łamiesz mi serce. Carrie Fisher była moją pierwszą miłością.

- Przepraszam - powtórzyłam, zastanawiając się, czy moje włosy są wystarczająco długie, by zapleść je w warkocze. - Nie cierpię przyszłości, gadających zwierzaków, science fiction, magii, latających przedmiotów, zaklęć...

- Dużo tracisz.

- Cóż, zostawię cię, żebyś mógł zrobić to, patrząc na księżniczkę Leię.

Zaśmiał się.

- Och, daj spokój, pooglądaj trochę ze mną...

Niechętnie włączyłam telewizor i obejrzałam kawałek.

Okej, Harrison Ford był słodki.

- Dziwne, że wcześniej był stolarzem - rzuciłam.

- Bardzo dziwne. I zagrał w tylu świetnych filmach.

Wytrzymałam kwadrans. Chewbacca ryczał, R2D2 wydawał z siebie warkoty i dziwne piski, C3PO straszyl komputerowym brytyjskim akcentem, a ja... przysypiałam.

- Jesteś tam? - zapytał Josh.

- Tak, przepraszam, odpływam. Chyba muszę iść spać.

- Okej, próbowaliśmy, prawda, Chewy?

Zaśmiałam się i powiedziałam mu dobranoc.

- Dobranoc, Hannah.

Następnego dnia poszłam z Violet na spotkanie z Bee i Maggie i już po kilku minutach zapytały, co się stało.

- Och, nie wiem - skłamałam; nigdy w życiu nie powiedziałabym im, że panikuję, bo Josh chce mnie zostawić, i że całe moje życie spływa właśnie z wodą w klozecie. - Stres, to wszystko.

- Wiesz, Hannah, to nie moja sprawa - zaczęła Bee; po takim stwierdzeniu zawsze następowało „ale”. - Ale może powinnaś zastanowić się nad jakimś treningiem. Maggie i ja mamy nasz pilates i jogę dwa razy w tygodniu, to bardzo pomaga uwolnić się od stresu, z jakim się zmagamy.

- Naprawdę - potwierdziła Maggie. - Chodź z nami!

Wzruszyłam ramionami i powiedziałam „może”, chociaż prawda była taka, że mnie to nie interesowało. Za żadne pieniądze nie dam się podwiesić do jednej z tych maszyn jak z *Frankensteina* za sto dolców za godzinę. Nie, dziękuję.

Lara i Hallie dołączyły do nas kilka minut później. Hallie oznajmiła natychmiast, że jej teściowie kupili dla Julii Charlotte dwa kucyki, żeby mogła się z nimi bawić w ich domu weekendowym w Millbrook. Już miałam się roześmiać, kiedy Lara powiedziała, że jej syn zaczął się uczyć gry na skrzypcach, uwielbia to i już próbuje opanować jakąś skomplikowaną sonatę. Z trudem wyobraziłam sobie trzylatka taszczącego pudło ze skrzypcami, ale nie dbałam o to, co je kręci.

- Och, kupiliśmy jeszcze pięknego, czystej krwi spaniela króla Karola - donosiła podekscytowana Lara. - To prezent gwiazdkowy. Nazwaliśmy go Jeter. Mój mąż uwielbia spacerować z nim w nocy. To zabawne - wynajęłam wyprowadzaczkę, ale on idzie obok niej - on trzyma smycz, a dziewczyna zbiera kupy! To takie śmieszne.

Całe szczęście, że Violet zgłodniała. Poszliśmy do domu, oszczędzając sobie dalszego słuchania raportów na temat genialnych dzieci Lary i Hallie oraz ich dzieciuchowatych prezentów. W domu już czekała Amber. Poczytałam trochę małej i zapadła w swoją popołudniową drzemkę. Wymknęłam się na manikiur i inne osobiste zabiegi (czytaj: woskowanie pach). Ale kiedy znalazłam się w pobliżu manikiurzystki na Lexington, zobaczyłam siedzące w środku i paplające Hallie oraz Larę. Nie czułam się na siłach znowu stawić im czoła. Byłam zdołowana i załamana i ostatnią rzeczą, której potrzebowałam, były bajki o tym, jak Julia Charlotte idealnie umie jeść pałeczkami lub dyskusje o genialności nowego filmu dokumentalnego o wytwórcach broni w Arabii Saudyjskiej. Poszłam więc dalej. Nogi poniosły mnie przed siebie, aż zatrzymałam się, kiedy zobaczyłam, jak facetka z matami do jogi otwiera drzwi klubu fitness. Stwierdziłam, że bardziej zdołowana już nie będę, więc zajrzałam przez okno i zobaczyłam kobiety w sportowych strojach, które z radością wbiegały po schodach prowadzących do centrum jogi.

I tak miałam na sobie spodnie od dresu oraz zapinaną na zamek bluzę z kapturem, a Bee i Maggie zasiały ziarenko, wspominając o treningach, co w sumie miało sens. Pomyślałam, że zobaczę, o co tyle cholernego hałasu. Moje wstępne inklinacje kazały mi olać jogę, ale przecież te miliony patykowatych lasek nie mogły się mylić, więc spontanicznie dołączyłam do grupy o drugiej piętnaście.

Czułam się lekko zdenerwowana i podekscytowana, kiedy patrzyłam, jak wszyscy rozkładają maty i instruktorka Raven staje z przodu sali. Było w niej coś uspokajającego i zrozumiałam, że dobrze zrobiłam, przychodząc na zajęcia. Uczestniczyło w nich wiele kobiet, silnych mieszkanki miast, a ja przyłączyłam się do tej grupy. Każdy był mile widziany, każdego czekało ciepłe, serdeczne przyjęcie. Zacznijmy więc omy!

Po jakimś kwadransie miałam ochotę się zabić. Raven łagodnie udzielała instrukcji i szeptała do nas, żebyśmy „weszły w chwilę”, znalazły się „w przestrzeni między wdechem a wydechem” i „podały się siłom, które powstrzymują nasze ciała przed byciem tym, czym mogą się stać”.

Bzdury. Raven podkreśliła temperaturę w sali do jakichś trzydziestu pięciu stopni i znalazłam się dosłownie w parnej dżungli stóp i tyłków. To była jakaś pieprzona sauna, a jedyny facet na zajęciach, który ćwiczył obok mnie, mruczał i jęczał cały czas jak jakiś cienias. Czułam na twarzy zarazki z tych wszystkich odbytów, a w nosie lepkie paluchy u stóp babochłopa z kucykami po mojej drugiej stronie. Siedziałam w pozach i myślałam o tym, że nie czuję ud, tyłek mnie boli, plecy zaraz wysiądą, całe moje życie to jeden wielki chaos, joga jest do dupy i chcę tylko wymknąć się stąd i objeść lodami Häagen-Dazs.

O co chodziło Raven, kiedy kazała mi odnaleźć moje wewnętrzne ja? Moje wewnętrzne ja chciało stąd spieprzać. Dlatego wyszłam po półgodzinie, stwierdzając, że i tak straciłam trzy dychy, więc nie będę dodatkowo marnować czasu. Wściekła instruktorka wyszła za mną z sali, tupiąc nogami w zrobionych na szydełku ocieplaczach.

- Wie pani, takie wychodzenie naprawdę zakłóca spokój grupy. To bardzo egoistyczne.

- Boże, przykro mi - rzuciłam z zażenowaniem. - Jakoś nie mogłam się zaangażować, przepraszam. - Ups.

- Może gdyby pani wytrzymała całe zajęcia, poczułaby pani, że to działa. - Rzuciła mi złe spojrzenie. Miałam ochotę powiedzieć jej, żeby się ode mnie odpieprzyła i zaintonowała jakąś pieśń, ale tylko się uśmiechnęłam, wiedząc, że i tak nie wrócę do jej śmierdzącej sauny.

Poszłam do domu, spocona i zde gustowana, czując się jeszcze gorzej niż rano. Byłam zawstydzona z powodu sprzeczki z joginką, paliły mnie policzki. Rozpłakałam się. Zbliżał mi się okres, miałam więc nadzieję, że to tylko napięcie przedmiesiączkowe, ale w głębi serca wiedziałam, że to coś znacznie poważniejszego: moje małżeństwo, moje idealne małżeństwo przechodziło kryzys z mojej winy. Josh miał rację, wpadłabym we wściekłość, gdyby chadzał po muzeach ze swoją starą miłością. Byłabym przerażona i zdruzgotana, gdyby przytrafił mu się erotyczny sen z nią w roli głównej, bez względu na opinię Leigh. Zadrżałam na myśl, że jest wściekły - i sam - w Szwajcarii. Płacząc histerycznie, zawołałam taksówkę. Musiałam powiedzieć Tate'owi Hayesowi, że już nie będziemy spędzać razem czasu.

48

Wciąż śmierzcząca potem zapłaciłam taksjarszowi i wbiegłam po schodach wydziału historii sztuki. Przeszłam obok sali wykładowej, myśląc, że może jeszcze go tam znajdę, ale aula była pusta. Skierowałam się do gabinetu i zastałam uchylone drzwi. Zapukałam i weszłam do środka, zastałam go siedzącego w skórzanym fotelu w kolorze koniaku.

- Ach, Hannah! Proszę, mam tu ten list dla zarządu.

Wzięłam dokument, skinęłam bez słowa głową i włożyłam go do torby.

- Wszystko okej? - zapytał, gdy dojrzał moją zestresowaną twarz. - Siadaj, siadaj.

Ale nie mogłam usiąść. Byłam zbyt nakręcona i przemierzałam gabinet jak współwięzień w Bellevue.

- Dziękuję za list. Ja tylko... to trudny moment. Przepraszam.

- Co się stało? - zapytał zatroskany i poruszony moim stanem.

- Jestem załamana! Przechodzę bardzo trudny okres, Josh i ja... mamy problemy, czuję się taka zdołowana! - Rozpłakałam się. Popłynęła nie jedna łza, nie dwie, ale całe strumienie. Żałowałam, że nie jest moim psychiatrą, bo mogłabym zwierzyć mu się ze wszystkiego, opowiedzieć o kłopotach, Lili, mamzillach, presji.

Wstał z chusteczką w rękę. Byłam mu wdzięczna, jego gabinet okazał się azylem z mądrą duszą do pomocy.

Ale kiedy sięgnęłam po chusteczkę, żeby wytrzeć oczy, chwycił mnie i pocałował.

Zaskoczona odepchnęłam go.

- Tate, nie! Nie po to tu przyszłam...

- Wiem, że o tym myślałaś. Kilka lat temu. Dla ciebie to takie odległe wspomnienie? - zapytał, dotykając moich włosów.

Ale mimo że w tej chwili czułam się zdruzgotana, samotna i pragnęłam kontaktu z drugim człowiekiem, i mimo że od dawna myślałam o nim w ten sposób, odstręczyłam mnie teraz. Nie żeby nie był przystojny i inteligentny. Ale nie był Joshem. Oto on, próbujący zdradzić żonę. A ja nie potrafiłabym zachować się tak wobec męża. Nie byłam aż tak pokręcona.

- Nie, ja tylko... nie mogę. Nie możemy się już więcej spotykać - powiedziałam zdecydowanie. I kiedy usłyszałam te słowa wypowiedziane na głos, to chociaż do niedawna jeszcze żyłam dla czasu z nim spędzonego, naprawdę przestałam chcieć go widywać. - Lecz dziękuję za wszystko. Dałeś mi bardzo wiele i jestem ci wdzięczna, ale... Kocham mojego męża - wyjaśniłam z płaczem. - Kocham Josha.

- Och, daj spokój, Hannah. Nie mów, że wierzysz w to burżujskie pojęcie idealnego małżeństwa.

- Wierzę - odparłam, nagle zdając sobie sprawę, że najwyraźniej musiał już nieraz zejść na manowce podczas częstych wizyt żony we Włoszech.

- Cóż, zatem przykro mi...

- Mnie też - powiedziałam. Obróciłam się i wyszłam, zamykając rozdział Tate'a Hayesa.



Zdyszana otworzyłam komórkę i wybrałam numer Leigh. Chciałam jej natychmiast o wszystkim opowiedzieć. O wszystkim. Nie minęła godzina, a siedziała w moim mieszkaniu i rozmawiałyśmy ściszonymi głosami, a Violet bawiła się lalkami na podłodze.

- Dobrze, uspokójmy się najpierw - poprosiła, kładąc dłoń na moim drżącym kolanie, bo niezbyt skutecznie powstrzymywałam się od płaczu. - Nic nie zrobiłaś, prawda? Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

- Leigh! - rzuciłam. - Oczywiście, że nie. Ale Josh o tym nie wie, najwyraźniej sądzi, że coś zaszło. Powiedziałam mu, że całowaliśmy się z Tate'em wtedy, dawno temu. Co ja sobie myślałam, spędzając z nim czas?... Nawet o nim fantazjowałam! Okropnie się czuję. Czuję się jak w-w-wrak człowieka - wyjąkałam.

- Nie martw się. Jesteście silni jak skała - pocieszała.

Usiadła obok i objęła mnie.

- Skąd on to wszystko wziął? - pytałam, z trudem łapiąc oddech. - Skąd biorą się takie plotki? Jestem wściekła. A jeszcze bardziej wkurza mnie fakt, że chociaż nie zrobiłam nic złego, wciąż czuję się winna, bo gdyby Josh prowadzał się z jakąś laską, chodził z nią do muzeów i w ogóle, odgryzłabym jej łeb.

- Z facetami jest inaczej. Dla nich bliskość zmienia się w intymność. Faceci nie prowadzą się z laskami, nie chcą jednocześnie ich przelecieć.

- Byłam taka samotna. Nigdy bym go nie zdradziła, tylko... potrzebowałam jakiegoś zajęcia, rozumiesz? Czuję się zagubiona.

Zadzwoił telefon. Zwykle pozwoliłabym, żeby włączyła się sekretarka, ale modliłam się, żeby to był Josh, więc rzuciłam się na słuchawkę.

- Hannah, cześć, tu Maggie! - usłyszałam. - Właśnie urodziłam Talbotta Xaviera Sinclaira! Prawie cztery kilo.

- Och, Maggie! To wspaniale, gratulacje! - Wzruszyło mnie to, że zadzwoniła do mnie ze szpitala.

- Jutro rano wracamy do domu i po południu od czwartej do szóstej urządzamy Picie Herbaty i Oglądanie. Gdybyście miały ochotę wpaść z Violet...

- Oczywiście, będziemy - odparłam. - Zatem do zobaczenia jutro. Pa!

- Co to, kurwa, jest Picie Herbaty i Oglądanie? - zapytała zdumiona Leigh, kiedy odłożyłam słuchawkę.

- Ludzie zwykle nie urządzają imprezy przed narodzinami drugiego dziecka, więc składa się wizytę, kiedy matka z potomkiem wróca do domu ze szpitala i pije się herbatę oraz ogląda dziecko, przynosi prezenty i tak dalej.

- Czyli w gruncie rzeczy chodzi o to, że te wszystkie bogate mamuski z kupą pieniędzy dostają jeszcze więcej.

- Do tego to się sprowadza.

Leigh siedziała ze mną całą noc, rozmawialiśmy o moich największych obawach i o tym, czy Josh mnie porzuci. Powiedziałam jej, że od chwili, kiedy zjawił się w moim życiu, czułam się nieskończenie bezpieczna i szczęśliwa. Poprosiła, bym jeszcze raz opowiedziała jej, jak się spotkaliśmy i zakochaliśmy w sobie, żebym oprowadziła ją po przeszłości. To miało mi pomóc wymyślić sposób zabezpieczenia naszej przyszłości. I rzeczywiście, kiedy skończyłam historię, coś przyszło mi do głowy.

Josh i ja umówiliśmy się na drugą randkę tydzień po tym, jak się poznaliśmy. Jedliśmy, rozmawialiśmy przez kilka godzin i opowiedzieliśmy sobie swoje biografie. Dowiedziałam się o druzgocącym fakcie, że jako chłopiec stracił ojca, a jego matka Lila przeszła drenaż emocjonalny po stracie męża. Zamknęła się przed Joshem i kiedy miał osiem lat, nagle i niespodziewanie przeprowadziła się z nim z przedmieść do Nowego Jorku.

- To potworne stracić ojca i opuścić dom. Tak nagle przeniosłeś się do miasta? - zapytałam z niedowierzaniem.

- To było przerażające. Ale wtedy prawie nic już nie czułem, jakby sytuacja nie mogła być gorsza. Mama weszła do mojego pokoju i powiedziała: „Czas się spakować. Możesz wziąć, co chcesz, ale musisz się pomieścić w tych dwóch walizkach”.

- Nie... - jęknęłam zszokowana.

- Tak, wziąłem jedną i wrzuciłem do niej wszystkie rzeczy i stojące w całym domu nasze oprawione zdjęcia. A do drugiej schowałem wszystkie moje klocki lego.

- Lego?

- Razem z tatą zawsze budowaliśmy dziwaczne, wymyślone drapacze chmur. Zajmowaliśmy wtedy salon, a bałagan doprowadzał mamę do szału - zaśmiał się. - Klocki przypominały mi tatę, bez przerwy realizowaliśmy nasze wielkie projekty. Chyba wydawało mi się, że jeżeli

wzmę te wszystkie małe elementy, uda mi się odbudować swoje życie, gdziekolwiek się znajdę. - Josh przerwał opowieść, kiedy zauważył pojedynczą łzę spływającą mi po policzku, mimo moich mężnych starań, by ją powstrzymać.

- Daj spokój, już dobrze! - powiedział najwyraźniej tym poruszony. Zadzwoiła jego komórka, ale ją wyłączył.

- Możesz odebrać - pociągnęłam nosem i otarłam kolejną łzę.

- Nie, nie, w porządku. - Popatrzył na mnie i zmienił temat: - Hannah, nie wierzę, że jesteś taką przeciwniczką telefonów komórkowych. Jak dajesz sobie bez nich radę? A co, gdybyś musiała pilnie się z kimś skontaktować?

Tak, to prawda: nie chciałam przenośnego aparatu. Niepotrzebny był mi dodatkowy rachunek ani guz mózgu w kształcie nokii. Poza tym byłam fanką publicznych telefonów na kartę (mimo ryzyka złapania zapalenia wątroby typu D).

- Nie wiem. Chyba po prostu nie potrzebuję komórki.

- Kiedy już ją kupisz, nie będziesz miała pojęcia, jak mogłaś bez niej żyć.

- Tak mówią.



Kilka dni później, podczas następnej randki, poszliśmy na koncert Nine Inch Nails, mojej ulubionej grupy. Mówię poważnie, Trent Reznor pomógł mi przeżyć liceum. Kiedy Josh włożył starą koszulkę z ich logo na drugą randkę, bez przerwy wdychałam, a on powiedział, że przypadkiem ma doście do biletów. Wybraliśmy się więc razem; byłam

podekscytowana i przygotowanie się do wyjścia zajęło mi czterdzieści pięć minut, chociaż w końcu i tak wyglądałam, jakbym po prostu włożyła swoje czarne dżinsy i bluzkę. Josh czekał przed wejściem, kiedy wyskoczyłam zaalarmowana magicznym dźwiękiem dzwonka (który był torturą, gdy wpadał ktoś inny, ale zdawał się cudowną muzyką, gdy wiedziałam, że za drzwiami stoi ON). Stał uśmiechnięty i wyglądał niesamowicie. Ten widok był mi już znajomy; przysięgam, że już wtedy kochałam Josha.

- Mam dla ciebie prezent - oznajmił figlarnie.

- Naprawdę? A co?

- Nadszedł czas, byś wkroczyła w nasze cudowne tysiąclecie.

Podał mi małą paczuszkę owiniętą kolorowym papierem i ozdobioną kokardką. Otworzyłam ją i w środku znalazłam telefon marki Virgin Mobile.

- Co? - zaśmiałam się z niedowierzaniem. - Nie możesz mi kupować komórek!

- Dlaczego nie? Jest na kartę, naładowałem ci ją na trzy miesiące. Jeżeli ci się nie spodoba, po dziewięćdziesięciu dniach możesz sprzedać to cacko na eBayu.

- Jest taki fajny i nowoczesny. Dzięki, Josh. - Mocno go uściskałam i poszliśmy na koncert. - Teraz musisz mi pokazać, jak z niego korzystać, jestem beznadziejna, jeżeli chodzi o tę całą technikę.

- Tak, dziewczyna, która nigdy nie miała kuchenki mikrofalowej.

- Mama nie chciała, żebym potem urodziła dzieci z sześcioma głowami.

- Telefon nie wysłał wiadomości do twojej macicy w sprawie dodatkowych główek. Tak się to robi...

Pokazał mi, jak wpisać numery przyjaciół i poprosiłam, by dodał też swój.

- Okej, zrób to sama. Wciśnij ten klawisz... - poinstruował mnie.

- Okej, a teraz J-O-S-H, już...

Udało się! Z dumą spojrzałam na ekran.

- Mam komórkę!

- A tak wysyła się wiadomości tekstowe, które się świetnie sprawdzają, kiedy nie słyszysz telefonu albo musisz się z kimś spotkać w hałaśliwym miejscu...

Wpisał „CZEŚĆ, HANNAH” w swoim telefonie i wcisnął „wyślij”. Mój aparat nagle zaczął wibrować.

- Achhhh! - krzyknęłam, nieprzyzwyczajona do czegoś trzęsącego się w kieszeni. Poczułam się tak, jakby mnie ktoś atakował. - Trzęsie się! To działa! Jak mam odebrać? - Byłam taką straszną, ograniczoną, niekompetentną idiotką.

- Wciśnij zielony klawisz.

Posłuchałam. Moją twarz rozpromieniła radość z technologii.

- J e j , jest, CZEŚĆ, HANNAH. Ale to fajne!

- Prawdziwa magia.

- Bardzo mi się podoba.

- No widzisz?

Zaczęliśmy rozmawiać o tym, jak podekscytowani byliśmy koncertem, i o innych rzeczach, które nas łączyły, co, muszę przyznać, było bardzo w stylu filmu *Przeboje i podboje*.

- Tamten gość miał rację - powiedział Josh, uśmiechając się do mnie. - Nie liczy się to, kim się jest, ale to, co się lubi.

Zgadzałam się z nim w zupełności. Człowieka określa to, co lubi. Ja na przykład nie lubiłam padać wieczorami z nóg, ale przepadałam za długimi spacerami. I muzyką na żywo. Nie znosiłam sportów, z wyjątkiem nart. Miałam

wspólne zainteresowania z tym wesołym facetem idącym obok mnie. I wiedziałam, że mogę rzucić się głową naprzód w tę miłość. Musiałam się kontrolować, żeby nie zadusić go uwielbieniem. Był taki pewny siebie, a jednocześnie prawdziwy. Mówił tak elokwentnie, a nie był sztywnym akademikiem. Okazał się silny i zabawny, najfajniejszy z ludzi. Zawsze byłam przekonana, że tylko na punkcie Tate'a Hayesa mogę dostać takiej obsesji, ale szybko zaczął schodzić na drugi plan.

Dotarliśmy na miejsce i kiedy zespół pojawił się na scenie, przeszedł mnie dreszcz podniecenia, a ostry, seksowny ton głosu Reznora dodał mi sił. Poczułam się ożywiona i seksowna. Przy refrenie pierwszej piosenki fani głośno wiwatowali, a ja zaczęłam poruszać się w takt perkusji. Stojący obok mnie Josh uśmiechnął się szeroko. Poklepałam go po ramieniu w geście szczerego podziękowania za to, że mnie tam zabrał, i zanurzyłam się w głośnej muzyce i wspaniałym tłumie ludzi.

Pod koniec utworu wszyscy wpadli w szal. Byłam podniecytowana jak diabli. Kiedy zabrzmiał bas na początku kolejnej piosenki, *Something I Could Never Have*, krzyknęłam z podniecenia i spojrzałam na Josha, który patrzył na mnie jak kot z Cheshire z *Alicji w krainie czarów*.

- O co chodzi? - zapytałam, chociaż prawie siebie nie słyszałam. Ale tylko dalej się uśmiechał.

- O nic - odparł, prawie zagłuszyła go perkusja.

Zaczęłam tańczyć i całkowicie poddałam się muzyce, wszyscy dookoła rzucali się jak szaleni. Byłam zupełnie wolna i naelektryzowana. Tak jak myślałam, radość chwili okazała się opium dla mas, bo poczułam się cholernie upojona i zupełnie jak siedemnastolatka. Nagle przestraszyło mnie wibrowanie z kieszeni. Przystałam tańczyć

przerażona, że od tyłu obłąpiał mnie jakiś palant. Ale potem przypomniałam sobie, że zostałam przecież dumną właścicielką komórki, i się uspokoiłam. Spojrzałam na Josha - wpatrywał się w scenę i śpiewał, wyjęłam telefon, którego numer nie był jeszcze nikomu znany; na pewno pomyłka. Wcisnęłam klawisz i na ekranie pojawił się napis: „nowa wiadomość”. Co? Wcisnęłam klawisz odbioru i odczytałam cztery słowa:

„MAM OCHOTĘ CIĘ POCAŁOWAĆ”.

Popatrzyłam na Josha, a on na mnie. Wysłał wiadomość, kiedy jak szalona rzucałam się przed nim w tańcu. Poczulałam ulgę, że nic sobie nie wymyśliłam, ulgę, że miłość może być taka łatwa.

Kiedy tłum podskakiwał i kłębił się wokół nas, zbliżyliśmy się do siebie jak w zwolnionym tempie. Josh wziął mnie w ramiona i pocałował powoli, a świat wokół nas stał się kombinacją zamazanego obrazu machających kończyn i tętniących akordów. Całowaliśmy się przez cały refren wśród wspólnego pulsowania mrocznego tłumu.

Salę wypełnił bogaty, skrzypiący dźwięk gitar, a my wciąż się całowaliśmy. Nie czułam strachu jak z Tate'em, żadnej nerwowej energii, tylko wyciszoną i ekscytującą radość. Radość z najlepszego pocałunku w moim życiu. Pocałunek numer jeden. Tego zawsze pragnęłam. Nowe uczucie, które utwierdziło mnie w przekonaniu, że to właśnie to.

Sala powoli pustoszała, a my z trudem mogliśmy iść, tak byliśmy sobą zajęci. Jedna dziewczyna, przechodząc obok, rzuciła: „Na pewno nie są małżeństwem!”. Wybuchnęliśmy śmiechem.

- Może kiedyś! - krzyknął Josh w odpowiedzi. Płonęłam z miłości do niego i z powodu tej odpowiedzi (zupełnie jak Sloane w *Ferris Bueller*. „On się ze mną ożeni!”).

Chciałam go dobrze poznać, całe jego życie, wszystkie wspomnienia, klocki lego i rozmowy, jak w *Matriksie*. Był mi bliski i nie chodziło o zwariowane zauroczenie, ale o dojrzałą rozkosz towarzyszącą przeczuciu, że znalazło się swoją drugą połowę. Jakbym usłyszała: „oczywiście”.

Doszliśmy do moich drzwi i założyłam, że wejdziemy na górę i poglujemy, w końcu nie mogliśmy się od siebie oderwać, ale Josh zatrzymał się i wziął mnie za rękę.

- Piękna dziewczyno - powiedział, obejmując dłońmi moją twarz. Chciałam się z nim kochać tu i teraz. - Zostawię cię teraz, żebyś mogła pójść spać. Ale umówimy się w piątek?

Całe czterdzieści osiem godzin! Nie!

- Jasne, dobrze.

Całowaliśmy się znowu przez jakieś piętnaście minut i w końcu poszłam na górę. Byłam zakochana. Musiałam sobie wyciągnąć strzałę Amora z tyłka. Podbiegłam do wieży i puściłam piosenkę, przy której pocałowaliśmy się pierwszy raz, żeby jeszcze raz przeżyć te emocje. Wspomnienia są jak oszczędności w banku, zawsze można z nich skorzystać, a ja właśnie złożyłam ogromny depozyt. Całą noc wracałam do niego i nie mogłam się doczekać piątku, by powiększyć swój skarbiec.

Była druga w nocy. Chciałam zadzwonić do Leigh, ale wiedziałam, że rano musi iść do pracy. Umyłam twarz - chociaż żaden morelowy żel nie byłby w stanie zmyć uśmiechu z mojej twarzy - i poszłam spać. Wydawało mi się, że widzę gwiazdy na suficie. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam zamykać oczy, ale właśnie wtedy usłyszałam dziwne buczenie w drugim pokoju.

Cholera jasna - ktoś był w moim mieszkaniu?! Wstałam przestraszona, sztywna ze strachu. Obawiałam się, że włamywacz w masce dobiera się do moich drzwi. Na palusz-

kach weszłam do salonu i odkryłam winowajcę. Mój telefon podskakiwał na podłodze, wibrując i przesuwał się po dywanie. Dzięki Bogu. Podniosłam go. Nowa wiadomość:

„CHCĘ CIĘ JESZCZE CAŁOWAĆ”.

Całe moje ciało ożyło. Tak bardzo go kochałam. I każda, nawet najmniejsza cząstka mnie była przekonana, że Josh zostanie moim mężem. Uśmiechnęłam się podniecona. Byłam szczęśliwa. Bicie serca nie pozwalało mi zasnąć, ale kiedy wreszcie zapadłam w sen, spałam smacznie po raz pierwszy od ponad roku.

50

Ponieważ byłam nieszczęśliwa i czułam się brzydka, postanowiłam przed herbatką u Maggie zafundować sobie manikiur. Poszłam do salonu Trevi Nail i kiedy manikiurzystka nałożyła bezbarwny lakier nawierzchniowy na mój bardzo kobiecy lakier Mademoiselle, zdecydowałam się jeszcze na krótki masaż pleców. Stwierdziłam, że mam trochę czasu i moje paznokcie spokojnie sobie wyschną. Kiki okładała pięściami moje twarde jak skała i zestresowane plecy, zmuszała je do poddania się zabiegowi, gdy ja siedziałam na krześle do masażu z twarzą w tym poduszkowym, zielonkawym okręgu w kształcie miski klozetowej. Jeżeli jednak myślałam, że się zrelaksuję, nie mogłam się bardziej pomylić.

Po dwóch minutach masażu (był przyjemny, choć nie wydawało mi się, żeby przynosił ulgę w mojej sytuacji) ktoś wszedł do sali. Rozpoznałam głos tej osoby, stawał się coraz donośniejszy, kiedy podchodziła do pobliskich stanowisk manikiurzystek.

- Jest taka pospolita. Ona i Josh są w porządku, ale wolałabym, żeby jakaś miłsza rodzina zamieszkała w twoim sąsiedztwie. Bardziej wytworna. Wiesz, mama Josha, Lila Allen Dillingham, ma taką klasę; chyba spodziewała się, że Josh lepiej wybierze towarzyszkę życia. Tak naprawdę kiedyś powiedziała mi, że byłabym dla niego idealna i żałuje, że już wyszłam za mąż! Zabawne, prawda?

Kurwa. Głos należał do ni mniej, ni więcej tylko Bee Elliott.

Co mogłam zrobić? Znalazłam się w pułapce, uwięziona z głową w misce klozetowej. Moje serce waliło jak oszalałe. Z każdego pora lał się pot. A więc Lila naprawdę uważała mnie za niewystarczająco dobrą. A do tego jeszcze myślała, że Bee byłaby wręcz idealna dla Josha! Myślałam, że dostanę zawału.

- No i, całkiem szczerze - kontynuowała szeptem najgłośniejszym z możliwych - ich małżeństwo chyba przechodzi kryzys.

- Naprawdę? - zapytała jej rozmówczyni, prawdopodobnie żona jednego z członków zarządu przyszłego domu.

- On naprawdę zasługuje na kogoś lepszego. Powinnaś zobaczyć, jak ona ubiera małą. W spodnie od dresu! Dziewczynki w klasie Westona w Carnegie wszystkie noszą śliczne sukieneczki, a we włosach mają piękne, wielkie kokardy. Zupełnie jakby nie zależało jej na wyglądzie własnej córki! Prawie w ogóle nie dba o swój! Nosi czarne džinsy i ohydne koszulki. Halo! Już nie jest w Kalifornii!

Byłam kompletnie zszokowana. Dajcie tu szybko defibrylator. Jeżeli śmierć naprawdę wita przyszłego nieboszczyka oślepiającym białym światłem, to ponury żniwiarz znalazł się tuż-tuż.

- Ale z jakiego powodu mają kłopoty? - zapytała kobieta. Sama bardzo chciałam wiedzieć.

- Skończyłam - szepnęła Kiki i poklepała mnie łagodnie po plecach.

Nie podnosząc głowy, mruknęłam:

- Proszę nie przerywać. Jeszcze ze dwadzieścia minut, bardzo proszę.

Kiki, ucieszona perspektywą dodatkowego zarobku, dolar za minutę, wróciła do okładania mnie pięściami i wał-

kowania mięśni. Reagowało całe moje ciało - każde słowo Bee rozbrzmiewało w nim echem i siekało moje serce na kawałki.

- Cóż, przypadkiem widziałam ją z tym facetem - wyjaśniła Bee. - Na Piątej Alei. Wysoki, z dłuższymi brązowymi włosami, w tweedowej marynarce. Wyglądało mi to na schadzkę. Powiedziałam o tym Parkerowi, nie uwierzył mi, ale stwierdził, że skoro Josh jest jego najlepszym przyjacielem, powinien mu to powtórzyć. Czyż to nie upokarzające?

A więc znalazłam odpowiedź. To ta kłamliwa suka nastawiła Josha przeciwko mnie, ta pieprzona, wredna suka!

Pociłam się tak, że można byłoby wykręcać moje ciuchy i napełnić całą wannę, ale zwalczyłam pragnienie, by wstać i ją zaskoczyć. Miałam ochotę chwycić metalowy pilnik do paznokci, wydłubać te jej niebieskie oczka i włąć do środka zmywacz do paznokci. Zamiast tego wzięłam głęboki oddech i pomyślałam o Joshu. Co zawsze powtarzał? Nie rób nic pochopnie, kiedy jesteś zdenerwowana. Uspokój się. A co mówili w *Ojcu chrzestnym*? „Bądź blisko z przyjaciółmi, a z wrogami jeszcze bliżej”...

51

Portier stojący pod antyczną, stalową markizą należącą do Sinclairów budynku przy Piątej Alei wpuścił mnie i Violet na przyjęcie z herbatką, gdzie dostrzegłam nie tylko mnóstwo ślicznych dzieci i ich ubranych w kostiumy od Chanel mam, lecz także huk prezentów. Niebieskie pudełka Tiffany'ego i czerwone Cartiera zajmowały prawie całe foyer z tapetą firmy Colefax & Fowler na ścianach. W salonie stał podwójny wózek z wielką kokardą, pełen owiniętych folią koszy z jasnoniebieskimi śpioszkami i pluszowym misiem ogromnych rozmiarów w kaszmirowym swetrze z wyhaftowanym imieniem Talbott.

Było oczywiste, że mała koszulka Lacoste, którą przyniosłam, okazała się niepozorna w porównaniu z resztą prezentów. Wiele nowojorskich mam (jak te na przyjęciu) stroiło swoich chłopców w jakieś wykwintne koszulki i kokardy. Gdybym miała chłopca, wybierałabym dla niego bluzki z długimi rękawami, sztruksy i tenisówki, a nie ciuszki w stylu małego lorda Fauntleroya z mnóstwem koronek i obciążonych aksamitem guzików.

Violet wyglądała na zachwyconą, od razu podeszła do jednej z dziewczynek; na szczęście nie mogła wyczuć wrzecznej, rozpalonej do czerwoności wściekłości w moim wnętrzu. Ujęła dłoń małej, trzymały się za rączki i bawiły na macie, a gość od balonów zrobił im z nich kapelusze. Patrzyłam, jak moja córka się bawi i nawiązuje kontakty z rówieśnikami; była taka czuła - ciągle obejmowała inne dzie-

ciaki i chciała trzymać je za rączki. Zauważyłam, że żadna z obecnych mam nawet nie patrzyła na swoje potomstwo - większość przyprowadziła nianie w wykrochmalonych uniformach, żeby móc swobodnie udzielać się towarzysko - oraz pić i oglądać - ale nawet te, które przyszły same (ach!) z dziećmi, rzadko spoglądały w ich kierunku. Przyjrzałam się obecnym, większości kobiet nie znałam. Wtedy zobaczyłam Hallie.

- Cześć, Hannah - rzuciła, lustrując mnie wzrokiem.
- J a k t a m r o z m o w y w p r z e d s z k o l a c h ?

Pewnie, kto by tam zaczynał od, powiedzmy, „Co u ciebie słyszą?”.

- Dobrze - odpowiedziałam. - Wiesz, jak to jest.

- Ile listów masz dla każdego przedszkola? Na przykład dla Carnegie? - Ludzie zwykle dostawali rekomendacje od rodziców dzieci już przyjętych. Ale ponieważ nie byłam z nikim zaprzyjaźniona na tyle, by poprosić (poza tym już zwróciłam się do Maggie po list polecający dla zarządu), liczba moich referencji równała się zeru.

- Niewiele... - odparłam, mając na myśli „ani jednego”.

- Oczywiście na Carnegie zależy ci najbardziej? Jak tylko je zobaczyłam, wiedziałam, że Julia Charlotte musi tam pójść. Masz zamiar napisać list pierwszego wyboru?

- Nie jestem pewna.

Lara usłyszała rozmowę i podeszła do nas.

- Ooooch, Hannah - wtrąciła się z kieliszkiem char-donnay w ręce. - Musisz, musisz, m u s i s z n a p i s a ć l i s t p i e r w s z e g o w y b o r u d o C a r n e g i e , t o z d e c y d o w a n i e z w i ę k s z y w a s z e s z a n s e .

- Ale... ja nie wiem, czy właśnie tego chcę. Inne przedszkola też mi się bardzo podobały, zwłaszcza Browne-Madison. Sprawiało wrażenie idealnego dla Violet, po-

dobnie jak ona jest ciepłe, opiekuńcze, nawet bardziej niż Carnegie. Budynek może nie wygląda tak imponująco, ale i tak wydaje się urocze.

- Browne-Madison? - zapytała Hallie z niedowierzaniem. - Hannah, może i są artyści, na luzie i tak dalej, ale mają opinię przedszkola klasy B.

- Nie możesz tak po prostu wysłać swojego dziecka do Browne-Madison, pomijając Carnegie - potwierdziła Lara. - To niemal wbrew prawu, to jakby odrzucić miejsce na Harvardzie na rzecz Hamilton.

Stałam bez słowa.

- Poważnie, Hannah. Listy pierwszego wyboru są klucze - oświadczyła Hallie. - Musisz dać znać pani Kincaid, że na pewno zapiszecie się do Carnegie, jeżeli zaproponują wam miejsce.

- Okej, dzięki - odparłam, już ich nie słuchając i rozglądając się za Maggie, z którą naprawdę potrzebowałam pogadać.

- Browne-Madison ma zdecydowanie niższy poziom - kontynuowała Lara. - Nie chcesz, żeby Violet chodziła do najlepszego przedszkola, a potem do szkół, które będziesz mogła wybrać?

- Chyba tak.

- Hal - rzuciła nagle Lara, patrząc na Hallie. - Cieszysz się na zimowe ferie? Gdzie znowu jedziecie, do Cap Juluca?

- Wiesz, byliśmy tam w zeszłym roku, więc w tym wybraliśmy Mill Reef - odpowiedziała Hallie i wycisnęła plasterki cytryny do swojej wody Perrier. - Ach, ten wyjazd tak mnie stresuje! Spóźniłam się, bo cały rano wysyłałam FedExem próbki kolorów i tkanin do JetSet Baby.

- Och, czyż nie są najlepsi?! - wykrzyknęła Lara. - Żyjemy dla JetSet Baby, ta firma stanowi dar niebios. Hannah,

musisz skorzystać z ich usług, kiedy będziesz się wybierać w podróż.

- A co oni robią? - zapytałam.

- Są rewelacyjni - oznajmiła Hallie. - To firma, która pomaga ci z przystosowaniem dziecka, kiedy podróżujesz. Polecił ich doktor Poundschlosser. To grupa utalentowanych dekoratorów, którzy przychodzą do twojego domu i robią setki zdjęć dzieciennego pokoju. Potem przemalowują twój apartament w hotelu na kolor pokoju dziecka i pokrywają wszystkie meble pokrowcami z tkanin identycznych jak twoje, więc dziecko czuje się jak w domu i nie staje się niespokojne.

Jednym słowem, okropność.

Ośłupiałam. Umarłyby, gdyby zobaczyły prowizoryczny, niepomalowany pokój Violet, który był zupełnie nijkim pomieszczeniem z łóżeczkiem. „Ile to może kosztować?” - pomyślałam, natychmiast dochodząc do wniosku, że lepiej się nie dopytywać - tego typu pytania wskazywały, że cię na coś nie stać. Ale zaraz, po prostu musiałam wiedzieć, ile te laski buliły za „przystosowanie dziecka” na dziesięciodniowych wakacjach.

- Nie tak dużo - odparła Lara, wruszając ramionami.

- Dziesięć tysięcy, mniej więcej. Zależy od tkanin.

Wykrzywiłam twarz z niesmakiem. Nie musiałam nawet mówić: „A niech to!”, ale i tak powiedziałam.

- Cóż, ale dzięki temu dzieci naprawdę lepiej śpią - Hallie broniła pomysłu, choć zapewne sama rozumiała, jaki był idiotyczny. A może nie. - Sen nie ma ceny.

- Och, coś o tym wiem! - dodała Lara. - Kiedy mój syn był mały, musieliśmy dodatkowo płacić niani, żeby chodziła z nim w nosidełku na bieżni w naszej siłowni, bo wtedy zasypia! Dobrze zainwestowane pieniądze, moim zdaniem.

Wyobraziłam sobie biedną, wykończoną Malajkę zasuwającą w białym uniformie na bieżni i wtedy zauważyłam podchodzącą do nas Maggie. Dzięki Bogu.

- Tutaj jesteś! - wykrzyknęła Maggie ubrana w owijaną sukienkę od Diane von Fürstenberg. Z wyjątkiem małego brzuszka wyglądała tak szczupło, że trudno było uwierzyć, by czterdzieści osiem godzin wcześniej urodziła dziecko.

- Wyglądasz olśniewająco, Maggie. Coś niesamowitego - powiedziałam z podziwem. - Mam nadzieję, że też tak będę się prezentować po drugim dziecku.

- Czyż nie jest szczuplutka? Zdecydowanie będziesz KMDG, Kate Moss Do Gwiazdki - stwierdziła Lara i pomachała do kobiety, która dopiero przyszła. Ona i Hallie pobiegły, żeby uściskać znajomą, a Maggie uśmiechnęła się do mnie, wiedząc dobrze, że ulżyło mi na jej widok.

- Moje gratulacje - powiedziałam i przytuliłam ją.

- J a księ masz? - zapytała.

- Hm, chyba okej - odparłam i wzruszyłam ramionami.

- Oprócz tego, że Hallie i Lara właśnie przemaglowały mnie w kwestii przedszkoli. Jesteśmy bez szans. Nie mamy żadnych listów polecających! Mam wrażenie, że potrzebuję rekomendacji od połowy miasta!

- Daj spokój, to wariatki - szepnęła Maggie, kręcąc głową. - Nie słuchaj ich. Poza tym możliwe, że teraz te przedszkola zwracają uwagę na koneksje, ale potem to już nie będzie istotne. A nawet jeżeli uczynią z referencji część swojej bandyckiej strategii, to nie przejdzie; uważam, że im grubsza teczka, tym głupsze dziecko.

Uśmiechnęłam się, ale potem znowu pojawił się dobrze mi znany niepokój.

- Gdzie jest Bee? - zapytałam, rozglądając się po pokoju.

- Hannah, chodźmy na chwilę do mojego pokoju - odparła z miną podwójnego agenta.

- Dobrze! Muszę koniecznie z tobą porozmawiać...

Poczułam nagły przypływ energii, kiedy podążałam za nią przez zatłoczony pokój z blondynkami w perłach i - w centrum uwagi - malajską nianią trzymającą maleńkiego Talbotta. Zatrzymałyśmy się dopiero w sypialni Maggie, udekorowanej jasnoróżowymi i beżowymi lnianymi tkaninami, miękkimi dywanami i z łóżkiem z baldachimem.

- Bardzo chciałam do ciebie zadzwonić, ale dopiero co urodziłaś i jesteś na pewno wykończona - powiedziałam z bijącym sercem. - Mimo to muszę z tobą porozmawiać. Coś się stało.

- Co?

Opowiedziałam jej zdarzenie z salonu kosmetycznego i, choć przerażona, Maggie nie okazała zdziwienia. A to dlatego, że wszystko to już słyszała.

- Posłuchaj, Hannah - zaczęła, kładąc mi rękę na kolanie, a ja otarłam zbłąkane łzy, choć wcześniej obiecałam sobie, że nie będę płakać. - Wiem. Wiem o wszystkim. Bee jest okropną, naprawdę okropną kobietą. Od dawna zdaję sobie z tego sprawę i w głębi duszy nienawidzę jej, ale zbyt jej się bałam, żeby cokolwiek z tym zrobić.

- Jak można być tak psychicznie niezrównoważoną i złośliwą jak ona? - zapytałam wciąż w szoku.

- To nie ty masz problem, tylko ona. Jest żałosna i nie-szczęśliwa - stwierdziła Maggie. - Zawsze była idealna i chce jako jedyna świecić przykładem, ale to wszystko to wielkie kłamstwo. Hannah, to o n a zdradza.

Słucham?

- Od ponad dziewięciu miesięcy sypia z Troyem Kincaidem.

- Naprawdę? - Osłupiałam; w tej chwili nawet lekka niczym piórko próbka materiału dla JetSet Baby mogłaby mnie zwalić z nóg. Nie do wiary. Szok. A więc idealna rodzina w stylu Ralpa Laurena jednak nie była tak doskonała. - Biedny Park! Mój Boże! Maggie, ja weszłam, kiedy Troy, cytuję, „pokazywał jej” moje mieszkanie. Jaka ja jestem głupia! - nawijałam jak najęta. Kurwa, oni to robili na mojej podłodze, cholerne świry.

Dosłownie myślałam, że się przewrócę.

- Poczekaj, to nie wszystko - powiedziała cicho.

- Coś jeszcze oprócz bycia nałogową kłamcząką, która pieprzy męża innej kobiety? - zapytałam.

- Twojego też próbowała przelecieć.

Jakby dała mi w łeb. Dziesięć razy. O n a co? Josh?

- Ale to zdarzyło się, zanim formalnie staliście się małżeństwem - wyjaśniła Maggie. - Kiedy raz tu przyjechałam na jakieś spotkanie, a ty byłeś gdzieś na Zachodzie, upiła się i przystawiała do niego. Wydaje mi się, że podkochiwała się w nim od podstawówki czy coś - kontynuowała. - Ale zdecydowanie odrzucił jej propozycje. To chyba dlatego tak cię nie lubiła, ale ukrywała to od pierwszego dnia twojego pobytu tutaj.

- Od pierwszego dnia? - Moje serce waliło jak oszalałe, myślałam, że się załamie. - W takim razie należy jej się Oscar za to całe przedstawienie. Wprowadzanie w arkaną, ale bzdura! - Zrobiło mi się słabo i miałam wrażenie, że wyłożone płótnem ściany zaraz się na mnie przewrócą.

- Hannah, muszę ci coś pokazać. - To powiedziawszy, Maggie wstała, sięgnęła do pięknego biurka z czasów regencji i z jednej szuflady wyjęła klucz, którym ukradkiem otworzyła inną. Zupełnie jak w *Niebezpiecznych związkach*, chociaż dopiero miało się okazać, jak bardzo

podobna była ta sytuacja. Wręczyła mi plik kartek, które okazały się zapisem rozmów komputerowych między Maggie a Bee.

- To chyba dlatego, że byłam prawnikiem - stwierdziła, patrząc, jak przerzucam strony. - Niczego nie wyrzucam.

To było to, tworzenie wrednej plotki, że posuwam Tate'a Hayesa. Ta suka Bee zasiała ziarna podejrzeń co do mojej tak zwanej niewierności, podlewała je w trakcie kolejnych rozmów i zebrała żniwo, kiedy jej własna zdrada sięgnęła szczytu. Byłam frajerką. Nie wiedziałam, czy się rozryczeć, czy wściekać. Zaczęłam płakać ze złości. Spojrzałam na Maggie i objęłam ją, kiedy pojawiły się pierwsze łzy.

- Dziękuję, że mi to pokazałaś - oznajmiłam spokojnie. - Maggie, musisz wiedzieć, że nigdy, przenigdy, nie zdradziłabym męża. On jest moim życiem.

Uściskała mnie i powiedziała, że o tym wie i że im lepiej mnie poznawała, tym mniej wierzyła w kłamstwa Bee. Podała mi chusteczkę i poklepała mnie po ramieniu.

- Ona jest znudzona, tak znudzona, że wymyśla plotki. Nie masz pojęcia, ile plotek puściła w obieg, żeby odwrócić uwagę innych od swojego małżeństwa albo po prostu dlatego, że taką miała zachciankę, bez powodu. Żeby wypełnić chwile ciszy na placu zabaw. Bee to najgorsza z przyjaciółek. I najgorsza z żon! Zachowuje się jak główna cheerleaderka, która zawsze przyciąga wszystkie spojrzenia, ale to jej nie wystarcza. Znudziła się miłością Parkera i zaczęła podrywać innych. Żałosne. A biedny Weston? Bee udaje, że jest supermamą, prawi kazania na temat najlepszej metody usypiania, reżimu karmienia albo zabaw, a nawet go nie widuje! Wychowuje go druży-

na niań, a ona i tak krytykuje inne matki i wypowiada się na temat, o którym nie ma pojęcia. Bóg jeden wie, co przez te wszystkie lata wygadywała na mój temat - zastanawiała się Maggie. Ale teraz nie miało to już znaczenia; rządy Bee nad wrogami w skórze przyjaciół już się skończyły. Maggie nawet nie zadzwoniła do niej, żeby zawiadomić o porodzie.

- A Hallie i Lara już wiedzą?

- Jeszcze nie. Zdałam sobie sprawę, że obie wręcz czczą Bee. Ich też nie lubię. Wiecznie konkurują i gadają o jakichś bzdetach.

Uśmiechnęłam się.

- Masz na myśli Julię Charlotte i jej egzamin do Mensy?

Maggie wybuchła śmiechem.

- Tak! Kabaret!

- Zawsze byłaś o wiele miłsza od innych dziewczyn - stwierdziłam wniebowzięta, bo wreszcie zyskałam przyjaciółkę mamę. - Nigdy nie rozumiałam, czemu się ich tak kurczowo trzymasz.

- Z powodu inercji - odparła, wzruszając ramionami. - Byłam zbyt zajęta, żeby nawiązać nowe przyjaźnie, poza tym zwykle unikam konfrontacji i najzwyczajniej nie chciałam się od nich odcinać. Tylko by o mnie gadały i miały używanie. Ale teraz już o to nie dbam. - Znowu wzruszyła ramionami. - Bo ty umiałaś podążać własną drogą i zrozumiałam, że ja też dam radę. Mam męża i rodzinę, a teraz również nową przyjaciółkę... - Objęła mnie i poczułam się ogromnie szczęśliwa, że dostrzegła prawdziwe oblicze swoich towarzyszek. Ale też i swoje - była silniejsza, niż się spodziewała, i mogła rozpocząć nowe życie bez tej kliki.

...i ostatnia wymiana zdań...

Błyskawiczna wiadomość od: BeeElliott

BeeElliott: Maggie, jesteś tam? Zostawiłam ci dwie wiadomości! Halo!!!!!! Moja lista użytkowników mówi, że jesteś online. HALO!!!

Maggs10021: Daj mi spokój, Bee. Kłamałaś na temat Hannah i wielu innych. Terroryzujesz kobiety, aby uważały, że są złymi matkami, ale tak naprawdę to ty jesteś żalostną matką, która nawet nie zna własnego syna. Nie chcę cię w moim życiu. ŻEGNAM.

BeeElliot: CO? CO, DO CHOLERY?

Użytkownik Maggs10021 jest offline

Tego wieczoru Josh miał wrócić do domu. Nie rozmawialiśmy od dwóch dni; zostawiłam mu wiadomości na poczcie głosowej, ale wiedziałam, że pewnie jest na polowaniu i znajduje się poza zasięgiem. Kiedy wylądował w Szwajcarii, też zostawił mi wiadomość, od dawna mieliśmy taką umowę, ale tym razem w jego głosie wyczułam ból i dystans. Nie mogłam się doczekać jego powrotu i drżałam tak bardzo, że obawiałam się, iż wywołam trzęsienie ziemi. Poczytałam Violet i przygotowałam obiad, zupę z dyni ze świeżym szczypiorkiem i śmietaną, i lasagne z pieczonymi warzywami oraz sosem z wódką. Niezbyt wyszukane dania, ale oglądanie Food Network przynosiło jednak rezultaty. Musiałam nakryć do stołu i zdecydowałam się przetrząsnąć kartony i znaleźć naszą ślubną porcelaną. Po otwarciu chyba szczęściu prawie się poddałam, a wtedy dostrzegłam pudło, na którym było napisane jak byk: „ślubna porcelana”. Wiedziałam, że jestem bardziej zorganizowana, niż mi się zdaje! Odwinęłam naczynia z folii bąbelkowej i ostrożnie nakryłam do stołu, zapaliłam świece, po czym przyjrzałam się scenerii. Po raz pierwszy wysiliłam się, żeby urządzić wszystko tak jak w Kalifornii; korzystanie ze ślubnej porcelany tak po prostu, bez powodu, nie dla gości, ale dla nas. Sprawdziłam lot Josha w internecie, okazało się, że samolot właśnie wylądował. Obliczyłam, że mój mąż powinien dotrzeć do domu za jakieś czterdzieści minut, bo nigdy nie latał z bagażem.

Kiedy rozglądałam się po salonie, czekając na jego powrót, postanowiłam zrobić porządek w swoim życiu i naprawić wszystkie błędy, jakie popełniłam. Chciałam zacząć od nowa, od czystej karty.

Pomyślałam o tym, jakich szkód narobiła Bee, ale w pewnym sensie byłam jej wdzięczna. Zatrzymała mnie, kiedy niczym ćma do ognia pędziłam do Tate'a, i zmusiła, bym zobaczyła, jaki on jest naprawdę - męskie wydanie Bee, niezdolne do osiągnięcia szczęścia z jedną osobą. Na pewno nie był zły, chociaż najwyraźniej nie miał wyrzutów sumienia z powodu zdradzania żony, co dla mnie oznaczało bilet w jedną stronę do piekła. Na pewno zawsze pragnął, by go pożądanego, tak jak on pożył dzieła sztuki, na widok których się ślinił. Bee, królowa idealnego zdjęcia na bożonarodzeniowej kartce, przypominała Tate'a w jego zapierającej dech w piersiach pasji do obrazu. Kontrolowane projekcje perfekcji, czy cokolwiek artysta chce, żebyśmy widzieli. Pomyślałam o tym, że miłość Tate'a do sztuki przewyższała nawet uczucie do żony; może rzeczywistą pasję rezerwował na to, co przedstawiono za pomocą farby - kochał nie prawdziwe rozgwieżdzone niebo, ale jego spotęgowaną, nasyconą, wirującą i pełną komet wersję van Gogha. Może bukiet prawdziwych polnych kwiatów w prawdziwym wazonie nie zrobiłby na nim wrażenia takiego, jak uwieczniony na płótnie pęk z oranżerii. Zabawne, kiedy rozmyślałam o swoim punkcie zwrotnym, przypomniałam sobie, jak kiedyś na zajęciach Tate pokazał nam martwą naturę z różnymi gatunkami kwiatów, które nigdy nie kwitną o tej samej porze roku. To był surrealistyczny, sztuczny twór, zupełnie jak jego związki z kobietami. Uwięziony w iluzji i zastępy, mógł sobie być wspaniały - to spojrzenie rzucone przez salę wykładową, ta wyprawa do muzeum... - ale nie lubił

rzeczywistości, tylko hiperboliczną, przesadzoną, namalowaną fantazję.

Wtedy, dawno temu, kiedy przeżyliśmy tę romantyczną chwilę zatrzymaną w czasie, ten pocałunek, który do niczego nie doprowadził... To było jak martwa natura. Podejrzewam, że wolał tak to traktować.

A ja potrzebuję prawdziwego uczucia. Owocu, nie jego namalowanej wersji. Malowane owoce nigdy nie gniją, może dlatego Tate tak je lubi. Żadnych pęknięć czy obtłuczeń. Między Joshem i mną zdarzały się kłótnie o stację radiową albo nieopuszczoną deskę klozetową, ale byliśmy ze sobą tak blisko, jak Tate czy Bee nigdy z nikim nie będą.

Ponieważ życie, jak wiemy, nie jest m a r t w ą naturą. Życie ewoluuje, a idealny księżyc na niebie nie musi zostać wiernie odwzorowany na obrazie, by dalej być idealnym. Jest tak cudowny, bo przemija, i już jutro ten wielki, nadęty krąg zacznie znikać, co prawie boli, bo jest to aż zbyt dobre. Nie ma też przycisku do przewijania w tył. Ani do zatrzymywania obrazu, co starali się oferować starzy mistrzowie. Ich strata. Bo zarówno Bee, jak i Tate, zawsze w pogoni za perfekcją i dramatycznym efektem, nigdy nie zakorzenia się w rzeczywistości, a zatem nigdy nie zaznają prawdziwego szczęścia.

53

Kiedy mój Josh wszedł do domu, podbiegłam do niego, a łzy płynęły mi po twarzy strumieniami. Równie silne emocje kazały mu objąć mnie strasznie mocno i od razu pojęłam - zrozumiał, że nigdy nie byłabym zdolna go zdradzić. Wzięłam go za rękę i pokazałam mu ucztę, jaką przygotowałam. Nie musiałam nawet wyciągać wydruków od Maggie (dowód rzeczowy numer 1A w sprawie Hannah przeciwko Bee, plus moje podsłuchiwanie wszech czasów), wszystko już wiedział.

Parker zadzwonił do Bee ze Szwajcarii na komórkę. Ona myślała, że już się rozłączyła, podczas gdy połączenie nie zostało przerwane i jej mąż usłyszał, jak uprawiała z Troym seks przez telefon stacjonarny. Oszołomiony zwierzył się ze wszystkiego Joshowi, przyznając, że od dawna podejrzewał Bee o zdradę. Kiedy Parker wreszcie złapał ją na kłamstwie, przyjrzał się wszystkiemu, co mówiła, przez pryzmat jej wiecznych oszustw. Powiedział Joshowi, że nigdy nie wierzył w to, co powiedziała o mnie i Tacie. Uważał, że rozpuszczała to kłamstwo albo po to, żeby odwrócić jego uwagę od własnego ohydneho postępowania, albo po prostu dlatego, że była podła.

- W głębi serca wiedziałem, że to nie może być prawda - przyznał Josh. - Ale Bee nakłamała Parkerowi, że widziała was, jak się całowaliście, i już sama myśl zniesmaczyła mnie i rozwścieczyła...

- Jak mogłeś w to uwierzyć? - zapytałam, wciąż płacząc.
- Kochanie, jesteś całym moim życiem. Ale sama bym

zwariowała, gdybyś zaprzyjaźnił się z jakąś babą i chodził z nią do muzeów. Miałeś prawo się zdenerwować, chociaż ja nie tknęłabym go palcem. Jesteś dla mnie tym jedynym.

Objęliśmy się i poszliśmy popatrzeć przed obiadem na śpiącą Violet. A na deser? Świeżo upieczony murzynek podany z dwoma biletami na sylwestrowy koncert Nine Inch Nails.

- Drugi rząd? Niemożliwe!

- Możliwe. - Rozpromieniłam się.

- Ale jak? Jak je zdobyłaś? Kazałem asystentce zadzwonić do wszystkich koników wmieście! Są nie do zdobycia.

- Weszłam na ten serwis z ogłoszeniami, Craigslist - wyjaśniłam. Moja odyseja była co najmniej zabawna. Ponieważ firma pośrednicząca w sprzedaży biletów okazała się skorumpowanym kartelem wrogim wszystkim fanom, bilety zostały wyprzedane w trzydzieści siedem sekund. Byłoby to oczywiście prawie niemożliwe, gdyby nie fakt, że nieuczciwi informatycy wrzucili do programu kod, za pomocą którego wykupili większość biletów, w chwili gdy aktywowano sprzedaż online. Więc bilety są wyprzedane i właściwie nikt nie zapłacił zwykłej ceny, wszystkie zostały zawyżone. Pewien gość zdobył jednak dwa bilety, a potem odkrył, że w sylwestra wysyłają go do Chicago, i postanowił sprzedać je za pomocą serwisu, który ja, razem z milionami innych ludzi, przeglądałam.

- Muszę wkrótce wyjść z biura - napisał. - Ktokolwiek pojawi się tu pierwszy z gotówką, dostanie bilety.

Wrzuciłam Violet do czerwonego wózka i dosłownie pobiegłam do jego szklanego biurowca przy Szóstej Alei. W wielkim holu, gdzie mieliśmy się spotkać, roiło się od ochroniarzy. Spociałam się jak mysz, ale kiedy zadzwoniłam na jego komórkę, powiedział, że już zszedł.

- Gdzie jesteś? - zapytał rozzłoszczony.
- Tu, w holu. Przy jakiejś paprotce w doniczce.
- Ja tu jestem i cię nie widzę. Stoi tylko jakaś mama z wózkiem.

Zaśmiałam się.

- To ja!

Obróciłam się i zobaczyłam przedziwnie wyglądającego bankiera z najgłupszym na świecie wyrazem twarzy, podchodzącego do mnie z komórką w ręku. Miał na sobie niebieską koszulę i spodnie khaki i patrzył na mnie, jakbym przybyła z kosmosu.

- Żartujesz - powiedział, zerkając na Violet. - To ty kupujesz bilety na Nine Inch Nails? Trzymajcie mnie, ludzie.

- Coś taki zirytowany, Brooks Brothers?

- *Touche*.

Zapłaciłam mu i podaliśmy sobie ręce, życząc sobie *bon voyage* i odjazdowego koncertu.

Josh płakał ze śmiechu.

- Pewnie pomyślał, że przyniosłaś Violet jako ofiarę dla Gotów.

- To było takie śmieszne, prawdziwie nowojorski moment.

- Nowojorski moment, co? - Josh się uśmiechnął. Wi-
dział, że powoli zaczynałam wszystko rozumieć.

- Ostatnio dużo było takich momentów - przyznałam.
- Musisz przyjść na zajęcia Vi z aktorami z Broadwayu, umrzesz ze śmiechu!

- Nie mogę się doczekać - powiedział i sięgnął po moją dłoń.

- No i przyszedł mi do głowy pomysł! Pewnie uznasz mnie za wariatkę, ale może z moich wycieczek do muze-
ów z Tate'em Hayesem wyjdzie coś dobrego: pomyślałam,

że chciałabym organizować zajęcia dla mam. Normalnych mam. Nie dla mamzilli, które gapią się na dzieci, kiedy doktor Poundschlosser robi notatki; to byłoby coś dla ich rozwoju. Gdybym znalazła kilka kobiet z dziećmi, może osiem lub dziesięć, mogłabym je oprowadzić po innej części świata sztuki każdego tygodnia. Galerie w Chelsea, studia artystów na Brooklynie, muzea, wszystko...

- Wspaniale - stwierdził Josh, nakładając sobie murzynka. - Świetnie to wymyśliłaś. Poza tym dzieci popatrzą na dzieła sztuki, kiedy będziesz zajmować się matkami...

- Myślisz, że to się może udać?

- Jestem przekonany że się uda.

54

W ten weekend, znowu zakochani i pewni naszego małżeństwa, poszliśmy wszyscy na brunch do Lili, żeby „usiąść i porozmawiać”. Wciąż byłam nieco roztrzęsiona z powodu uwag uczynionych przez Bee na temat tego, czy byłam warta Josha, i komentarza, jak to jego mama nie sądziła, bym wywiązywała się z obowiązków, ale mąż stał przy mnie murem i wiedziałam, że jestem kobietą jego życia.

Służba Lili przygotowała ucztę, którą delektowaliśmy się, zanim Watts zaszył się w swoim pokoju, a Violet zasnęła na parterze w swoim wózku. Josh i ja usiedliśmy z Lilą na ogromnej kanapie koloru burgunda. Zaczęliśmy rozmawiać. I nie przestawaliśmy przez długi, długi czas.

Josh oznajmił, że nie podoba nam się to jej wpadanie bez zapowiedzi. Stwierdził, że to naruszanie naszej prywatności i chociaż cieszyliśmy się, widząc ją, to dzwonek z holu nie był najlepszym pomysłem. Ja oznajmiłam, że wyczuwam jej niezadowolenie z mojego zaangażowania, lub raczej jego braku, w życie towarzystwa Nowego Jorku i nie życzę sobie, aby mi mówiła, iż nieodpowiednio się ubieram albo że Violet wygląda jak obdartus.

A potem opowiedziałam jej o Bee. O jej kochanej, idealnej Bee.

- J o s h a też by zdradzała - zapewniłam ją. - Ona z nikim nie potrafi być szczęśliwa. A ja może i nie jestem w two-

ich oczach tak „poukładana”, zaangażowana czy wytworna, ale, Lila, wiem o sobie jedno: jestem cholernie dobrą żoną i świetną mamą. A reszta nic mnie nie obchodzi.

Lila była niezwykle cicha. Słuchała moich słów, popijała herbatę z porcelanowej filiżanki ze złotym brzegiem i patrzyła to na syna, to na mnie.

- Skończyliście? - zapytała z lekkim uśmiechem.

Zamilkłam, wciągając powietrze, żeby odzyskać pewność siebie po przemowie.

- Tak. I mam nadzieję, że ty też - powiedziałam spokojnie. - Ze skończyłaś z wywieraniem nacisku w sprawie przedszkola i z bezustannym monitorowaniem, no i, po tym, czego się dowiedziałaś, z cytowaniem Bee Elliott jak Biblii.

Tak długo ukrywałam swoje uczucia przed Lilą, że kiedy je wreszcie z siebie wyrzuciłam, poczułam się jak oczyszczona. A Josh cały czas siedział przy mnie i otaczał mnie ramieniem.

- Przypominasz mi kogoś - powiedziała Lila cicho, patrząc na mnie.

Jezu, kogo? Zbłąkanego pasa? *Fille des rues*? Tłuszciocha z Zachodniego Wybrzeża jeżdżącego na rolkach po Venice Beach?

Muszę przyznać, że jej odpowiedź mnie oszołomiła.

- Mnie samą - przyznała i spuściła wzrok.

- Naprawdę? - zapytał uradowany Josh. - Bo sprzeciwiłaś się babci i dziadkowi, kiedy chciałaś wyjść za tatę?

- Tak - odparła Lila, ocierając łzę z oka, które (byłam tego taka pewna!) nigdy nie płakało. - Zdałam sobie wtedy sprawę z czegoś, co teraz wy mi przywieśliście na myśl: że gniazdo, które zbuduje się razem, i dzieci, to jedyna tarcza, jakiej człowiek potrzebuje do obrony przed światem. Na chwilę o tym zapomniałam. - Wyciągnęła do mnie

rękę i chwyciła moją dłoń po raz pierwszy w życiu. - Przepraszam.

Bee, jej wyśniona synowa, spadła z piedestału. I chociaż nie zmieniałam się nagłe w złote dziecko, wiedziałam, że uzyskałam od niej coś ważniejszego niż podziw dla moich ciuchów czy komplementy na temat fryzury: szacunek. Nie chodziło o zmianę równowagi sił; chodziło o to, że już się tak nie przejmowałam zdaniem Lili i zaprzestałam obsesyjnego pościgu za jej akceptacją albo akceptacją świata, jeśli już o tym mówimy. Do szczęścia potrzebowałam tylko naszego wzmocnionego rodzinnego kokonu, a świadomość tego sprawiła, że poczułam się wolna.

Mój nowy pomysł, który w jakiś drobny sposób mógł uatrakcyjnić życie pragnących wiedzy, a uzależnionych od kreskówek mam, sprawił, że w pełni zaangażowałam się we wszystkie zajęcia Violet. Tymczasem jesień zmieniła się w zimę. Stopniowo zaczęłam nawiązywać znajomości nie tylko z nianiami, lecz także z innymi mamami na zajęciach Milford Prescott i tydzień po tygodniu czułam się tam coraz swobodniej. Na początku wszyscy się sobie przyglądali - trochę patowa sytuacja - ale pod koniec semestru większość lodów została przełamana, za to lód pojawił się na drzewach i markizach za oknem.

Jedna z mam, Helena, przeszła z nami kilka przecznic po zajęciach i rozmawiałyśmy o tym, jaką mamy sympatyczną grupę.

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała z uśmiechem. - Na początku trochę mnie onieśmiałaś.

- J a ? - zapytałam z niedowierzaniem. - Żartujesz? Jestem totalną samotnicą! Nie mam tutaj nawet własnego towarzystwa.

- Ale o to właśnie chodzi - robiłaś swoje i miałaś takie fajne kolczyki, i w ogóle.

Nie bardzo wiedziałam, o co jej chodzi, ale zrozumiałam jedno: każdy ma na początku jakieś zahamowania. Nasze dzieci od razu wspólnie chwytały zabawki i zabierały się do śpiewania piosenek, a my pomału sprawdzałyśmy się nawzajem jak w liceum. Ludzka rzecz.

Nie wiem dokładnie, kiedy zanika ta dziecięca niewinność, przejawiająca się obejmowaniem drugiej istoty tylko dlatego, że jest tego samego wzrostu. Kiedy przestajemy się ekscytować, widząc na przykład małpę w zoo? Albo cyrk? Albo wiatraczek? Chyba niemożliwe jest znalezienie tej delikatnej granicy między naiwnością oraz niewinnością a „mam to gdzieś” albo byciem znudzonym. Ale mimo to odkryłam, że im bardziej się w coś angażuję, zagłębiając się, starając i nie martwiąc innymi ludźmi, tym szczęśliwsza się staję. Nie mam pojęcia, dlaczego na początku dałam się tak dręczyć Bee i jej grupie wspierającej. Teraz stanowiły przeszłość - oczywiście czasem na Madison wpadałam na Larę czy Hallie, ale już się nimi nie przejmowałam. Gadka-szmatka i *sayonara*.

Zwariowałam na punkcie zajęć *Broadway Babies* i coraz częściej rozmawiałam tam z jedną uroczą mamą, Tiną, która zapytała, czy nie wybrałabym się z nią do kabaretu, gdzie występowali niektórzy nauczyciele. Z radością się do niej przyłączyłam.

Josh i ja poszliśmy z Tiną oraz jej mężem i bawiliśmy się wspaniale - artyści zaprezentowali nieco bardziej pikantny styl niż ten na grzecznych i zabawnych zajęciach z dwulatkami, a ja byłam podekscytowana wyjściem z domu i podziwianiem ich talentu. Do dziś cieszę się, że i Violet ma z nimi kontakt.

Do Bożego Narodzenia wiele osób wraz z ekipą *JetSet Babies* zajmowało się swoimi planami wyjazdów na Antiguę, do St. Barth lub Lyford, a my z radością zostaliśmy w Nowym Jorku. Sylwetkę miasta ozdabiał lśniący śnieg, panowało przeszywające zimno, ale nam było wygodnie i ciepło w domu, ze sobą. Wreszcie mogłam odetchnąć i cieszyć się faktem, że szalejące burze pozostawały na zewnątrz i już nie było ich w moim życiu. Własnoręcznie

przygotowałam artystyczne kartki świąteczne i wcale nie uważałam, żeby były tanie czy niegustowne, choć wiedziałam, że dostaniemy góry wytłaczanych kart drukowanych w Oyster Bay Printery; mnie podobały się moje. Zrobione były z miłością. Kiedy siedziałam, wypisując nazwiska adresatów, zdałam sobie sprawę, że wokół mnie jest więcej miłych ludzi, niż myślałam. A opracowując plan otwarcia firmy, poczułam się bardzo zadowolona, bo w Nowym Jorku było więcej kobiet takich jak ja niż takich jak Bee. Normalnych, miłych, nie w rozmiarze XS. Chciały po prostu kochać swoje dzieci, cieszyć się życiem i nie wygłaszać bez przerwy macierzyńskich oświadczeń zaczynających się od: „Chodzi o...”. Jasne, zawsze będzie istniał konwulsyjny, niepewny siebie i konkurujący typ matek klasy A - w końcu to jest Nowy Jork - ale nie okazał się aż tak rozpowszechniony, jak kiedyś sądziłam. Często mnie pytano o stroje Violet i jej przedszkolne plany, ale słyszałam także okrzyki, jaka jest słodka, i propozycje wspólnych zabaw. Te kobiety w tłumie nie zwracały na siebie uwagi tak bardzo jak ich błyszczące i stylowe mamzillowe odpowiedniczki. Może z wyjątkiem Maggie, która najpierw należała do drugiej grupy, ale potem odnalazła spokój i szczęście w byciu po prostu normalną: bardziej otwartą, łagodniejszą mamą, która nie potrzebuje oglądać swoich zdjęć w kolorowych pismach, by czuć się lepiej. Stała się jedną z mam, które chciały być ciche i normalne. Nie szukały aprobaty swoich dzieci w oczach innych ludzi, tylko we własnych, w czytaniu maluszkom i patrzeniu im w oczy i byciu świadomą, jak silna jest więź między nimi. Miałam nadzieję, że takie kobiety przyłączą się do mnie w mojej misji - nie tylko pokazania im wielkiej sztuki i obudzeniu pragnienia nauki, lecz także zbliżenia mam do siebie.

56

W sylwestrowy poranek miasto było pełne śmiesznie ubranych turystów. Przypomniałam sobie, jaka wyobcowana się czułam, kiedy tu przyjechaliśmy, ale teraz, patrząc na ludzi z całego świata otwierających szeroko oczy i chłonących tempo, świeżość i puls metropolii, czułam się jak rodowita mieszkanka Nowego Jorku. Josh martwił się, że nie dam rady pójść na koncert Nine Inch Nails tego wieczoru, bo kiedy się obudziłam, wyglądałam nieciekawie, jakbym była nieco zagrypiona. Ale oświadczyłam mu, że za żadne skarby nie przepuszczę tego wydarzenia i zbiórę się do kupy. Poczułam ukłucie żalu, kiedy wybierał się do pracy w swoim idealnym garniturze (niestety, ani jednego dnia wolnego), zapinał spinki i poprawiał sztywny kołnierzyk. Uwielbiałam patrzeć, jak się ubiera, choć sama byłam rozczochrańcem siedzącym z Violet w łóżku. Pocałował nas na do widzenia i wziął swój bilet. Mieliśmy się spotkać za dwanaście godzin w Madison Square Garden. Z radością odkryłam karteczkę z tytułami pornosów na kuchennym stole: *Ciekawski George Bi*, *Punkt G* i *Dziewczyna w perłowym naszyjniku*.

Po dwóch godzinach siedzenia na kanapie i próżnowania przed telewizorem zmotywowałyśmy się do wyjścia do parku. Było zimno, pierwszy naprawdę zimny dzień. W połowie spaceru spadły na nas pierwsze płatki śniegu. Kiedy mroźne powietrze zaróżowiło policzki Violet i zaczęła łąpać śnieg językiem, poczułam się uszczęśliwiona porami roku.

- Mamusiu, pada śnieg! - Tak mówiła na śnieg.

- Wiem, pięknie, prawda?

Moja córeczka niedługo pójdzie do parku na sanki. Czułam się spokojna i szczęśliwa i kiedy zobaczyłam idącą w naszym kierunku Bee Elliott (nie miałam pojęcia, dlaczego jest w mieście, a nie w St. Tropez), nawet nie mrugnęłam. Mimo tego, co zrobiła, nie czułam nienawiści. No dobra, cholernie jej nienawidziłam, mówmy otwarcie, ale nie tą zawziętą, szczerą nienawiścią. Dlaczego? Bo była tak niesamowicie smutna i beznadziejna. Bo nawet nie знаła własnego dziecka, bo zawsze odgrywała Królową Bee i nie trzymała się z innymi, tylko ich prześcigała. Bo nigdy nie miała Josha i nigdy nie będzie miała, mimo wyśiłeków. Bo nigdy nie miała prawdziwych przyjaciół.

Kiedy zbliżała się do mnie na Madison Avenue, poczułam ucisk w brzuchu i minęłam ją bez słowa. Nigdy więcej jej nie spotkałam.

Nie była już królową Nowego Jorku. Nie dlatego, że popadła w niełaskę i wywołała ogromny skandal, bo Parker ją zostawił, ale dlatego, że - jak zdążyłam się przekonać - w Nowym Jorku nie było królowych. Może go podbić każda dziewczyna, która kocha życie. Tron i dwór Bee zniknął tego dnia, kiedy usłyszałam ją obrabiającą mi tyłek za moimi plecami, a nie pałałam nienawiścią i nie dałam ujścia wściekłości, bo przestała mnie kompletnie obchodzić. Wiedziała, jaka naprawdę jest, i wszyscy wiedzieli. Była jak złośliwy guz, który usunięto z ciała Nowego Jorku, jej siła została unicestwiona, a zdolność zatruwania odebrana.



Po spacerze na zimnym powietrzu Violet zasnęła w swoim puszystym ubranku w wózku, a ja skierowałam się do apteki po coś, co miało mi pomóc. Wróciliśmy do domu i ledwie zdążyliśmy przekroczyć próg, a już puszysty śnieżek zmienił się w zamieć, której towarzyszył grad. Obraz się zamazał. Przypomniało mi to Seattle i moją radość, kiedy deszcz walił w moje okno, zawsze wtedy czułam się bezpieczna, zwijałam się w kłębek i było mi błogo. Odezwał się telefon. Dzwoniła Sheila Stone, współpracowniczka Troya Kincaida, aby mi przekazać, że zostaliśmy zaakceptowani przez zarząd w nowym domu. Hurra! Głęboko odetchnęłam z ulgą, prawie dosłownie czując, jak kamień spada mi z serca. Rozejrzałam się po naszym służbowym mieszkaniu. „Było miło, ale *adios*” - pomyślałam.

Gdy wieczorem przyszła Amber, postanowiłam puścić głośną muzykę jak wtedy, przed randką. Włożyłam najfajniejszą czarną spódnicę, bluzkę, czarne kolczyki i długie buty; może i byłam nieco za bardzo wystrojona, ale mimo lekkiej grypy czułam się seksownie. Gotowa do wyjścia, pokazałam Amber, gdzie schowałam rybę na obiad dla Violet i ucałowałam moje maleństwo na do widzenia. Ale kiedy zbliżałam się do drzwi, coś sobie przypomniałam. Przed wyjściem musiałam jeszcze zrobić jedną rzecz.



Przyszłam do Garden, gdzie były już tysiące dzieciaków w gotyckim stylu, okolczykowanych ludzi pokrytych tatuażami i, tak, yuppie. Rozpromieniona ruszyłam w kierunku swojego miejsca, rozglądając się, czy w pobliżu sprawdzających bilety nie dostrzegę Josha. Zaczęłam się

nieco denerwować, że może zatrzymali go w pracy, ale wtedy zobaczyłam jego chłopięcą twarz wśród metalowców. Podszedł i uściskał mnie właśnie w chwili, gdy zgasło światło i tłum zaryczał. Wrzasnęłam do niego, że przyjęli nas w nowym domu, kiedy masy zaczęły wiwatować, a jego podniecony okrzyk zlał się za ich euforycznym chórem.

Głośne gitary rozpoczęły koncert, czuło się ekstazę dwudziestu tysięcy fanów. Energia była tak intensywna, że każda dusza wypełniała się szczęściem. Josh objął mnie ramionami, słuchaliśmy muzyki, a ja zaczęłam myśleć o tym, jak idealna to chwila. Nie czułam się jak brzydka trzydziestka, ale jakbym znowu miała dwadzieścia dwa lata. Naprawdę czułam się młodziej niż kiedykolwiek od narodzin Violet i zdałam sobie sprawę z dwóch istotnych rzeczy. Po pierwsze, po porodzie można być seksy, mieć własne życie i zainteresowania. Dzieci na chwilę przysłaniają wszystko, ale ta chwila przeniosła mnie do czasów, kiedy Violet nie było jeszcze na świecie, kiedy byłam sobą, silną i skoncentrowaną na sobie. Po drugie, te wszystkie małolaty wokół nas może i były zbuntowane i odjazdowe, ale ja miałam coś najlepszego na świecie: córkę, która nas kochała i którą my kochaliśmy nad życie. Czułam się wyjątkowa; pewnie nikt z naszego świata rodziców nie przyszedł na koncert, nie wydawało się również, żeby ktokolwiek z obecnych fanów miał w domu maleństwa śpiące w łóżeczkach. Ale jak to w Nowym Jorku, nigdy nie wiadomo.

Nagle poczułam telefon wibrujący w kieszeni. Spojrzałam na Josha zaniepokojona - może to Amber chciała nas zawiadomić, że coś stało się Violet? Nerwowo wyciągnęłam komórkę i zobaczyłam wiadomość: „KOCHAM MOJĄ ŻONĘ”. Ze łzami w oczach zaczęłam odpisywać,

a Josh położył rękę na moich włosach. Kilka sekund później zabuczał jego aparat: „KOCHAM MOJEGO MĘŻA I...”. Obrócił się w moim kierunku, kiedy telefon odezwał się raz jeszcze. Nowa wiadomość: „JESTEM W CIAŻY”. Tak, odkryłam to przed dwiema godzinami. Nasikałam na patyczek i pojawił się mały plus. W przeciwieństwie do Bee, Hallie czy Lary, które już dzwoniłyby, żeby zapisać jeszcze nienarodzone dziecko na kurs *Wolność przed trzecim rokiem życia*, po prostu odetchnęłam i z radością pomyślałam, że jedyną osobą, której chciałam o tym powiedzieć, była miłość mojego życia, Josh. Wniebowzięty objął mnie mocno i pocałowaliśmy się, mając świadomość, że za dziewięć miesięcy Violet zostanie starszą siostrą, a ja znajduję się w miejscu, gdzie można z radością czekać na bociana.

NASTĘPNIE...

MAMY smART: moja firma Mamy smART rozpoczęła działalność następnej zimy i od razu chwyciła. Tej wiosny dodałam troje nowych zajęć, wszystkie wypełnione po brzegi, z wycieczkami do pracowni artystów i do muzeów we wszystkich pięciu dzielnicach.

BEE ELLIOTT: Bee jest nadal napalona na Troya i zaabsorbowana nim, ale bez wątpienia i jego zdradzi. Po sfinalizowaniu swoich rozwodów przenieśli się do Londynu, zostawiając Westona z Parkerem. Bee i tak nigdy nie nawiązała bliskiej więzi z synem, ale zanim zaczniecie załować biednego Westona, przeczytajcie PAN & PANI ELLIOTT.

PRZEDSZKOLE CARNEGIE: zaproponowali Violet miejsce w klasie jesiennej. Nie skorzystaliśmy i wybraliśmy Browne-Madison. Coś mi mówi, że nie spowoduje to przekreślenia naszych szans na Harvard.

HRABIA ALEKSIEJ VON HAPSENFÜRER: Zakochał się w talencie Josha, podkradł go firmie i mianował swoim finansistą na terenie Stanów; umieścił go w biurze dwie dzielnice od domu i pozwolił dowolnie wybrać godziny pracy.

DR EMILE POUNDSCHLOSSER: został aresztowany pod zarzutem siedmiu prób unikania podatków. Proces ujawnił, że renomowany ekspert w dziedzinie rodzicielstwa nigdy nawet nie miał dzieci. Został wyleczony ze swojej manii posiadania w stanowym więzieniu.

PAN & PANI ELLIOTT: Po wyleczeniu ran i przyzwyczajeniu się do życia samotnego ojca Parker zaczął spędzać większość

czasu w naszym domu. Leigh też. W ciągu kilku miesięcy zbliżyli się do siebie i kiedy ja rodziłam, zaopiekowali się Violet. Leigh zwariowała na punkcie Westona i Violet, Parker dostrzegł, jak cudownie radzi sobie z dziećmi, i pod koniec roku byli już razem, szaleńczo zakochani i najszczęśliwsi na świecie.

LUCY SLOANE ALLEN: urodziła się czternastego września, waga: dokładnie trzy i pół kilo.

VIOLET GRACE ALLEN: kocha swoją małą siostrzyczkę, Nowy Jork, nowe przedszkole i swoją bardzo szczęśliwą mamę.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję genialnej edytorce i samodzielnej mamie Stacy Creamer za zrozumienie, pomysły i współczucie w kwestii niektórych zniechęcających aspektów bycia rodzicem w Nowym Jorku. Gorące podziękowania dla Joanny Pinsker, Julii Coblentz, Laury Swerdloff oraz dla ekipy z ICM: Amandy Urban, Jennifer Joel, Katie Sigelman i mieszkającej na Zachodnim wybrzeżu Josie Freedman. Jestem też wdzięczna superprawnikom Stevenowi Beerowi i Mary Miles z Greenberg Traurig.

Do wspaniałych mam: dziękuję za to, że pomogłyście mi nauczyć się śmiać z mamzilli, za zwariowane anegdoty i pokazanie mi, jak to działa: dziękuję Teresie Heinz, Laurze Huang, Tarze Lipton, Jane Timberlake, Alexis Mintz, Marisie Fox Bevilacqua, Liz Carey, Laurze Hammam, Britney Spears-Federline, Isobel Case, grupie z zajęć o piętnastej, Leslie Coch, Carrie Karasyov, Robyn Foreman, Abby Gordon, Jennifer Nordstrom, B. J. Blum, Olyi Thompson, Julii Van Nice, Lynn Biase i Jenn Linardos.

Dziękuję również powiernikom i zwolennikom, których poczucie humoru uwielbiam: Richardowi Sinnottowi, Frances Stein, Alice Ryan, Liz Herzberg, Andrew Saffirowi, Danielowi Benedictowi, Clarze Pang, Kathryn Wender, Karen Quinn, Chrisowi i Sashy Heinz, Andre Heinzowi, Michaelowi Koverowi, Jean Doyen, Naomi Waletzky, a zwłaszcza Jacky oraz Jadzie Davy.

Dziękuję również moim siostram, drogiemu klanowi: Vannessie Eastman, Jeannie Stern, Danie Wallach Jones, Laurze

Duff i drogiej Trip Cullman. I najwspanialszej notującej na planecie Ziemia, cudownej dr Lisie Turvey, bez której nie powstałaby ta książka.

No i oczywiście dziękuję rodzinie: Kargmanom, Robertowi, Sophie, Bess i mojej teściowej Marjie (którą wcale nie przypomina Lili!), babci Ruth Kopelman. Ogromne podziękowania dla kochanej mamy Coco, znanej także jako „babba”, która tyle poświęca swoim dzieciom i jest najlepszym wzorem do naśladowania dla córki; dziękuję Ariemu Kopelmanowi - za Twoje mądre przewodnictwo i za udowodnienie, że śmiech jest najlepszym lekarstwem, bratu Willowi za wspaniałą miłość, wsparcie i ciągłą inspirację. Moim malutkim Ivy i Sadie - żaden stres mamy nie jest ważny, kiedy mam Was, moje kochane maleństwa - oraz specjalne podziękowania dla Harry'ego, mojego ukochanego towarzysza życia.